

DRUGI TOM TRYLOGII  
„OSTATNI POLICJANT”

# OPUSZCZONE MIASTO



BEN H. WINTERS

  
QURARO

## RECENZJE PRASOWE

„Winters to utalentowany pisarz, który z łatwością snuje swoją opowieść od intrygującego początku do ekscytującego mocnego finału”.

*„Los Angeles Review of Books”*

„Tak jak w pierwszej części trylogii o detektywie nazwiskiem Henry Palace (*Opuszczone miasto* to część druga), tak i tutaj dominuje wątek kryminalny, lecz nie mniejszą rolę odgrywa dziwny, stojący w obliczu katastrofy świat, zarazem pomysłowy i niezwykle przemawiający do wyobraźni; łatwo uwierzyć, że koniec świata mógłby tak właśnie wyglądać. Winters – mistrz mieszania gatunków – znów w najlepszej formie!”.

*„Booklist”*

„Zawsze potrafię docenić książkę, która w nowy sposób podchodzi do wyeksploatowanego gatunku, a takie właśnie są obie części cyklu o detektywie nazwiskiem Hank Palace”.

*Nancy Pearl, „NPR’s Guide to 2013’s Best Reads”*

„Hank Palace niezmiennie da się lubić [...] czytelnik będzie się zastanawiał, w jaki sposób bohater wyjdzie znów cało z opresji i jak skończy się jego historia”.

*„Publishers Weekly”*

„Od dość dawna nie muszę się tłumaczyć z fascynacji literaturą science fiction, lecz ilekroć muszę to zrobić,

przywołuję książki takie, jak *Ostatni policjant*. Pozycja ta pochyła się nad człowieczymi emocjami i relacjami w okolicznościach, które w normalnej literaturze byłyby niemożliwe lub co gorsza, metaforyczne. Ta powieść zadaje istotne pytania na temat naszej cywilizacji, naszego społeczeństwa, rozpacz i nadziei. Nie przedstawia jednak łatwych odpowiedzi”.

*Michael Ann Dobbs, io9*

„Rzadko który kryminał zadziwił mnie tak jak ten – to międzygatunkowy mix, który ma pozornie małe szanse powodzenia, lecz ratuje się dzięki postaci ponurego, nieustępliwego i niewiarygodnie czarującego detektywa Hanka Palace’a oraz przede wszystkim dzięki schludnej, błyskotliwej, przemyślanej i odrobinę komicznej prozie Bena H. Wintersa”.

*J. Robert Lennon*

„Porządny kryminał z wyrazistymi bohaterami i rewelacyjnymi dialogami [...] w którym nadciągająca katastrofa nie jest tylko sztafą, lecz stanowi istotną część układanki, nad którą pracuje Henry Palace”.

*Booklist*

„Ten zmuszający do myślenia kryminał powinien trafić do każdego miłośnika gatunku dopuszczającego niecodzienne tło dla opowiadanej historii, jak również do tych czytelników,

którzy szukają świeżego spojrzenia na powieść  
katastroficzną”.

*Library Journal*

**BEN H. WINTERS**

**OPUSZCZONE  
MIASTO**

Przełożył  
ROBERT J. SZMIDT



# SPIS TREŚCI

**Mężczyzna myślący o kobiecie**

**Długa droga**

**Znaki i szybolety**

**Nie żyje, N. nie żyje, naprawdę nie żyje**

**Dziki kraj**

**Epilog**

## **Opuszczone miasto**

Ben H. Winters

*Tłumaczenie:* Robert J. Szmidt

Original title: *Countdown City. The Last Policeman Book II*

Copyright © 2013 by Ben H. Winters

All rights reserved.

First published in English by Quirk Books, Philadelphia, Pennsylvania.

This Book was negotiated through Livia Stoia, Livia Stoia Agency.

© Copyright for the Polish translation by Robert J. Szmidt, 2018

© Copyright for this edition by Wydawnictwo RM, 2018

All rights reserved.

Wydawnictwo RM, 03-808 Warszawa, ul. Mińska 25

rm@rm.com.pl

www.rm.com.pl

Żadna część tej pracy nie może być powielana i rozpowszechniana, w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób (elektroniczny, mechaniczny) włącznie z fotokopiowaniem, nagrywaniem na taśmy lub przy użyciu innych systemów, bez pisemnej zgody wydawcy. Wszystkie nazwy handlowe i towarów występujące w niniejszej publikacji są znakami towarowymi zastrzeżonymi lub nazwami zastrzeżonymi odpowiednich firm odnośnych właścicieli. Wydawnictwo RM dołożyło wszelkich starań, aby zapewnić najwyższą jakość tej książki, jednakże nikomu nie udziela żadnej rękojmi ani gwarancji. Wydawnictwo RM nie jest w żadnym przypadku odpowiedzialne za jakąkolwiek szkodę będącą następstwem korzystania z informacji zawartych w niniejszej publikacji, nawet jeśli Wydawnictwo RM zostało zawiadomione o możliwości wystąpienia szkód.

*Redaktor prowadzący:* Irmina Wala-Pęgierska

*Redakcja:* Urszula Gardner

*Korekta:* Bożena Sęk

*Nadzór graficzny:* Grażyna Jędrzejec

*Projekt okładki:* Mariusz Banachowicz

*Edytor wersji elektronicznej:* Tomasz Zajbt

*Opracowanie wersji elektronicznej:* Marcin Fabijański

*Weryfikacja wersji elektronicznej:* Justyna Mrowiec

ISBN 978-83-7773-837-5

ISBN 978-83-7773-950-1 (ePub)

ISBN 978-83-7773-951-8 (mobi)

W razie trudności z zakupem tej książki prosimy o kontakt z wydawnictwem:

[rm@rm.com.pl](mailto:rm@rm.com.pl)



*Dla Adeli i Shermana Wintersów  
(lat 43)*

*oraz*

*dla Almy i Irwina Hymanów  
(lat 44)*

*Nahui Olin nie było pierwszym słońcem. Jeśli wierzyć Aztekom i ich sąsiadom, wcześniej istniały cztery inne. Każde oświetlało świat zniszczony kosmiczną katastrofą. Te wydarzenia nie zawsze pociągały za sobą całkowitą zagładę, czasami dochodziło do istotnych przemian, na przykład ludzi w zwierzęta.*

*Meteoryty i komety w starożytnym Meksyku (Ulrich Kohler w „Geological Society of America Special Paper” 356: Katastrofy a masowa zagłada)*

*Na zawsze nie znaczy wiecznie  
Mówię „na zawsze”  
choć nie zamierzam żyć  
wiecznie.*

*Elvis Costello, Riot Act*

CZĘŚĆ PIERWSZA

# Męczyzna myślący o kobiecie

Środa, 18 lipca

Rektascensja 20 08 05,1

Deklinacja -59 27 39

Elongacja 141,5

Delta 0,873 j.a.

# 1.

- Ale on obiecał – mówi Martha Milano, jasne oczy jej błyszczą, policzki płoną z ekscytacji. Rozpacz, zadziwienie, desperacja. - Oboje sobie obiecaliśmy. Z milion razy co najmniej.

- Tak - odpowiadam. - Rozumiem.

Wyciągam chusteczkę higieniczną z pudełka stojącego na stole w jej kuchni, Martha przyjmuje ją, uśmiecha się blado, po czym anemicznie wydmuchuje nos.

- Przepraszam - dodaje, smarka raz jeszcze, potem bierze się w garść, siada prościej, nabiera tchu. - Ale przecież ty, Henry, jesteś policjantem.

- Byłem.

- No tak. Byłeś. Ale wiesz, czy...

Nie może dokończyć, nie musi jednak. Wiem, o co chce zapytać, ponieważ te słowa wiszą pomiędzy nami już od jakiegoś czasu: „Czy możesz coś w tej sprawie zrobić?”. Ja, rzecz jasna, bardzo chcę jej pomóc, lecz szczerze mówiąc, nie mam pojęcia jak. Trudno mi... nie, raczej nie umiem znaleźć słów, by to wyrazić. Od godziny siedzę więc i słucham, zapisując ważniejsze szczegóły i informacje w swoim cienkim niebieskim brulionie. Zaginiony mąż Marthy nazywa się Brett Cavatone; lat trzydzieści trzy, ostatni raz widziany w restauracji o nazwie Rocky's Rock' n' Bowl przy Old Loudon Road, koło centrum handlowego

Steeplegate. To knajpa jej ojca, wyjaśnia Martha, przyjazna rodzinnej rozrywce pizzerio-kręgielnia, nadal otwarta pomimo kryzysu, aczkolwiek z dramatycznie skróconym menu. Brett pracował tam przez ostatnie dwa lata jako prawa ręka jej ojca. Poprzedniego dnia rano mniej więcej za piętnaście dziewiąta wyszedł coś załatwić i już nie wrócił.

W przytłaczającej ciszy, która panuje w przytulnej, rozświetlonej promieniami słońca kuchni, przeglądam raz jeszcze skąpe notatki. Oficjalnie nazywa się Cavatone, ale dla mnie na zawsze pozostanie Marthą Milano, piętnastolatką, która po szkole pilnowała mojej siostry Nico i mnie przez bite pięć dni w tygodniu, póki nie pojawiła się mama, która dawała jej dziesięć dolców w nieodłącznej kopercie i pytała o zdrowie bliskich. Dziwnie się czuję, patrząc na nią jako na osobę dorosłą, co więcej, całkowicie załamana po tym, jak została porzucona przez męża. Jak dziwnie musiała się czuć, gdy stwierdziła, że spośród wszystkich ludzi wybrała mnie, chłopaka, który miał niespełna dwanaście lat, kiedy widzieliśmy się ostatni raz. Raz jeszcze wydmuchuje nos, a ja obdarzam ją przyjaznym uśmiechem. Martha Milano z zawsze wypchanym po brzegi purpurowym plecakiem JanSport, w koszulce z logo Pearl Jam. Wydmuchująca wiśniową gumę ustami umalowanymi cynamonowym błyszczkiem.

Dzisiaj już się nie maluje. Jej brązowe włosy pozostają w nieładzie, oczy ma podkrążone i zaczerwienione od płaczu, nerwowo obgryza paznokiec u kciuka.

- Obrzydliwe, prawda? - pyta, gdy zauważy moje spojrzenie.  
- Ale wiesz, od kwietnia kopałam jak smok. Brett nie wspomniał o tym słowem, choć wiedziałam, że bardzo mu się to nie podoba. Dlatego pomyślałam sobie, głupio w sumie, że rzucenie palenia może mi go przywrócić. Wybacz, Henry, czy... - Zrywa się nagle na równe nogi. - Chcesz może herbaty czy coś?

- Nie, dziękuję.

- Wody?

- Nie. Niczego mi nie trzeba, Martho. Usiądź, proszę.

Opada na krzesło, zagapia się w sufit. To chyba oczywiste, że chciałbym napić się kawy, ale z powodu zrozumiałych w obecnej sytuacji braków w zaopatrzeniu dostępność dóbr luksusowych - a w tych kategoriach postrzegane są teraz wszystkie używki - jest naprawdę ograniczona. Zamykam więc notatnik i spoglądam Marcie w oczy.

- To trudne - rzucam, powoli cedząc słowa. - Naprawdę. Poszukiwania osób zaginionych to dzisiaj ogromne wyzwanie.

- No tak. Nie... - Mruży oczy, potem zamyka powieki i znów je otwiera. - Rozumiem.

Powodów są dziesiątki. Setki nawet. Nie ma jak rozesłać rysopisu, wystawić nakazu ani dopisać takiej osoby do prowadzonej przez FBI listy porwanych i zaginionych. Świadkowie, którzy mogliby znać miejsce pobytu poszukiwanego, nie myślą o tym, by podzielić się z nami tą informacją, o ile sami już nie zaginęli. Nie mam sposobu na

sprawdzenie federalnych albo lokalnych baz danych. Szczerze powiedziawszy, całe południowe New Hampshire w miniony piątek zostało odcięte od prądu. Poza tym nie jestem już policjantem, a gdybym nawet był, nasza komenda przestała zajmować się tego typu sprawami. W związku z powyższym odnalezienie konkretnej osoby wydaje się niemożliwe, o czym lojalnie informuję Marthę.

- Zwłaszcza... – w tym miejscu zawieszam głos, aby włożyć w kolejne słowa tyle czułości, ile mogę – ...zwłaszcza że ostatnimi czasy coraz więcej ludzi jest porzucanych.

- No tak – odpowiada beznamiętnym tonem. – Rozumiem.

Martha wie o tym wszystkim. Każdy to wie. Cały świat ruszył w siną dal. Co chwilę ktoś znika z domu, by spełniać marzenia. Chce ponurkować, skoczyć ze spadochronem albo kochać się z nieznajomymi w publicznych parkach. Mnożą się także przypadki gwałtowniejszych odejść, nowych szaleństw, jakimi reagujemy na zbliżający się nieuchronny koniec. Sekty religijne przemierzają Nową Anglię we włosienicach, walcząc o nawróconych: Mormoni Zagłady, Boży Satelici... Współcześni samarytanie krążą przerobionymi na gaz drzewny albo węgiel wozami po opustoszałych autostradach, poszukując tych, którym mogliby nieść pomoc. Są także preppersi siedzący w piwnicach, zbierający, co tylko możliwe, gromadzący zapasy na postapokaliptyczne czasy, jakby dało się na nie przygotować.

Wstaję, zamykam notes. Zmieniam temat:

- Co słyhać w waszym kwartale?

- Jest dobrze - odpowiada Martha. - Chyba.

- Zorganizowaliście się jakoś?

- Tak. - Przytakuje od niechcienia, nie jest jeszcze gotowa, by zastanawiać się nad tym, jak będzie wyglądało jej samotne życie.

- Pozwól, że zapytam, oczywiście czysto hipotetycznie: gdybyś miała broń palną...

- Mam pistolet. Brett go zostawił... - zaczyna. Unoszę dłoń, uciszając ją w jednej chwili.

- Mówimy hipotetycznie. Czy gdybyś miała broń palną, umiałabyś się nią posłużyć?

- Tak - odpowiada. - Umiem strzelać. Tak. Kiwam głową. Świetnie. To właśnie chciałem usłyszeć. Posiadanie i sprzedaż broni są zakazane, lecz całe miesiące temu zakończyła się jakże krótka fala kontroli w domach. Ja także nie zamierzam jechać na rowerze aż na School Street, aby donieść, że niejaka Martha Cavatone trzyma pod łóżkiem pistolet należący wcześniej do jej męża - za co niechybnie zostałaby skazana na więzienie - ale też nie chcę wysłuchiwać ze szczegółami, co ukrywa przed policją.

Martha mamrocze pod nosem przeprosiny, zrywa się ponownie, otwiera drzwi spiżarni, sięga po leżące na chwiejnym stosie kartony papierosów. Zatrzymuje się jednak w pół ruchu, zatrzaskuje drzwi i odwraca się do mnie, przyciskając palce do oczu. To wygląda prawie zabawnie, znów zachowuje się jak nastolatka: impulsywne pragnienie



ukojenia duszy, a potem niemal natychmiastowa odraza do siebie. Przypominam sobie, jak mając siedem czy osiem lat, tuż po jej wyjściu stałem w przedpokoju naszego domu i węszyłem, by po raz ostatni poczuć ulotny zapach cynamonu i gumy do żucia.

- Dobrze, Martho, mogę pójść do tej restauracji i zadać ludziom kilka pytań - mówię... A w zasadzie słyszę, jak to mówię.

Ledwie kończę wypowiadać te słowa, ona przebiega przez pokój, zawisa mi na szyi, dyszy radośnie w pierś, jakbyśmy dobili targu, jakbym już odnalazł jej męża i sprowadził go do domu. Jakby Brett czekał za progiem.

- Och, dziękuję - piszczy. - Dzięki ci, Henry.

- Zaczekaj, Martho. Posłuchaj... - Odciągam delikatnie jej rękę z karku, cofam się o krok i stawiam ją przed sobą. Przywołując z pamięci surową minę dziadka, spoglądam z powagą w jej oczy. - Zrobię co w mojej mocy, by odnaleźć twojego męża, okay?

- Okay - szepce, jakby jej brakowało tchu. - Obiecujesz?

- Tak. - Kiwam głową. - Nie mogę jednak obiecać, że go odnajdę, a już na pewno nie dam ci słowa na to, że sprowadzę go do domu. Ale uwierz mi, zrobię co w mojej mocy.

- Rozumiem - przytakuje, uśmiechając się szeroko i znów przytulając policzkiem do mojego brulionu.

Nic na to nie mogę poradzić, więc także się uśmiecham. Martha Milano tuli się do mnie, a ja szczerzę zęby jak jakiś

głupek.

- Zapłacę, rzecz jasna - dodaje.
- Nie zapłacisz.
- No nie zapłacę, to znaczy nie pieniędzmi, ale znajdę sposób, by ci to wynagrodzić...
- Nie, Martho. Nie przyjmę od ciebie żadnej zapłaty. Daj mi się po prostu rozejrzeć, okay?
- Okay - mówi, ocierając z policzków ostatnie łzy.

\* \* \*

Martha znajduje dla mnie ostatnie zdjęcie męża, zupełnie dobre ujęcie całej sylwetki, zrobione kilka lat wcześniej podczas wypadu na ryby. Przyglądam mu się uważnie. Brett Cavatone, niski mężczyzna atletycznej postury, stoi na brzegu strumienia, przybrawszy klasyczną pozę: w wyciągniętej ręce trzyma ociekającego wodą okonia. Człowiek i ryba spoglądają w obiektyw z bardzo podobnymi sceptycznymi, ponurymi minami. Brett ma kruczoczną brodę, gęstą i nieprzyciętą, ale włosy na głowie są krótkie, przystrzyżone na jeża, dopiero odrastają.

- Martho, czy twój mąż służył w armii?
- Nie - odpowiada - był gliniarzem. Jak ty. Ale nie w Concord. Służył w stanówce.
- Jako mundurowy?
- Tak. - Marta zabiera mi zdjęcie i spogląda na nie z dumą.
- Dlaczego odszedł z policji?

- Sam wiesz, jak jest. Miał już dość. Chciał zmian, a tata właśnie otwierał restaurację. Chociaż nie do końca to rozumiem...

Duka: miał już dość, chciał zmian, jakby to nie wymagało dalszych wyjaśnień, jakby pomysł wystąpienia ze służby był oczywistą oczywistością. Wyjmuję fotografię z jej rąk i wsuwam do kieszeni, zastanawiając się nad przebiegiem własnej jakże krótkiej kariery: piętnaście miesięcy jako zwykły krawężnik, potem cztery na stanowisku detektywa, a dwudziestego ósmego marca wymuszone odejście na emeryturę z całą resztą wydziału.

Oprowadza mnie po domu. Zaglądam do szaf, otwieram szuflady należące do Bretta, nie znajduję jednak niczego interesującego ani znaczącego: latarka, kilka książek, tuzin uncji złota. Szafy i półki męża Marthy są pełne ubrań, co w normalnych okolicznościach mogłoby sugerować uprowadzenie albo morderstwo, ale na pewno nie zaplanowaną ucieczkę. Wczoraj podczas lunchu McGully podzielił się z nami zasłyszaną historią. Mąż i żona wybrali się na spacer po White Parku. Kobieta w pewnym momencie zerwała się do biegu, przeskoczyła żywopłot i po prostu zniknęła w oddali.

- Wcześniej powiedziała: „Czy możesz przytrzymać mi loda?” - mówił McGully, zarykując się ze śmiechu i waląc pięścią w blat stołu. - A ten dureń stał tam jak słup z dwoma lodami rękach.

Meble w sypialni Cavatone'ów są proste, ale ładne. Na

stoliku nocnym od strony Marthy leży różowy pamiętnik zabezpieczony miniaturowym mosiężnym zamkiem, jakby nadal była dzieckiem. Gdy go podnoszę, wyczuwam delikatną woń cynamonu. Doskonale. Uśmiecham się pod nosem. Na stoliku należącym do Bretta znajduję małą szachownicę, pionki są tak rozstawione, jakby rozgrywał partyjkę.

- Mąż lubił grywać sam ze sobą – wyjaśnia Martha, uśmiechając się czule do wspomnień.

Nad komodą dostrzegam niewielki, chociaż gustowny obraz przedstawiający ukrzyżowanego Chrystusa. Na ścianie łazienki koło lustra wisi slogan wypisany drukowanymi literami: JEŚLI JESTEŚ TYM, KIM POWINIENIEŚ BYĆ, MOŻESZ ZOSTAWIĆ ŚWIAT W OGNIU ROZŚWIETLONY!

- Święta Katarzyna – wyjaśnia Martha, pojawiając się w lustrze obok mnie. Wskazuje przy tym placem kolejne słowa. - Czy to nie piękna myśl?

Wracamy na dół i siadamy naprzeciw siebie na przepastnej sofie w salonie. Przy drzwiach wejściowych widzę cały rząd zasuwek, okna chronią żelazne kraty. Otwieram brulion, by zebrać dodatkowe informacje: o której mąż wyszedł do pracy, kiedy dokładnie wpadł ojciec, pytając: „Nie wiesz, gdzie jest Brett?“, co uświadomiło im obojgu, że Cavatone mógł zaginać.

- Zapytam teraz o coś, co może się wydawać oczywiste – rzucam, kończąc spisywać jej odpowiedzi. - Ale powiedz, co on twoim zdaniem mógłby teraz robić?

Martha wbija wzrok w obgryziony paznokieć.

- Sporo o tym myślałam, możesz mi wierzyć. Może to zabrzmie głupio, ale uważam, że chodzi o coś dobrego. Na pewno nie skacze na bungee ani nie wstrzykuje sobie heroiny. - Gdy to mówi, wracam myślami do Petera Zella, biedaka, którego wcześniej poszukiwałem. - Jeśli naprawdę odszedł, jeśli to nie...

Przytakuje. Jeśli to nie morderstwo. Taką możliwość także musimy wziąć pod uwagę. Wiele ludzi znika, ponieważ są zabijani.

- Na pewno dokonuje jakichś wielkich czynów - konkluduje Martha. - Czegóż, co w jego mniemaniu jest szlachetne.

Przyglądam końce wąsów. Wielkie czyny. Ciekawa myśl jak na małżonkę kogoś, kto dopiero co zniknął, i to bez słowa wyjaśnienia. Pomiedzy jej paznokciem a skórą dostrzegam maleńką kropelkę krwi.

- Nie sądzisz, że...

- Nie - zaprzecza Martha. - Na pewno nie chodzi o inną kobietę. Na pewno. - Potrząsa zdecydowanie głową. - To nie w stylu Bretta.

Nie naciskam, przechodzę do kolejnego tematu. Opowiada mi, że jeździł po okolicy na czarnym rowerze z dziesięciostopniową przerzutką. Nie, dodaje, nie miał stałych zajęć poza pracą i domem. Pytam więc, czy nie zechciałaby dodać czegoś jeszcze o mężu i ich małżeństwie, ale zdecydowanie mówi: nie. Byli razem, mieli wspólne plany, a potem zniknął.

I tak stoję przed pytaniem za milion dolarów. Jeśli nawet go

odnajdę - co w obecnej sytuacji wydaje się niemożliwe - porzucenie żony nie jest przestępstwem, nigdy nim nie było, nie ma więc takiej siły, która pozwoliłaby mi zmusić go do powrotu. Nie wiem, jak to wytłumaczyć Marcie Milano, choć podejrzewam, że ona już sobie zdaje z tego sprawę, toteż przechodzę dalej, mówiąc:

- Co mam zrobić, jeśli go odnajdę?

Nie odpowiada od razu, tylko pochyła się bardziej na sofie i spogląda mi w oczy głęboko, niemal romantycznie.

- Powiedz mu, że powinien wrócić do domu. Powiedz mu, że od tego zależy jego ocalenie.

- Jego... ocalenie?

- Powiesz mu to, Henry? Jego ocalenie.

Mamroczę coś pod nosem, sam nie wiem co, i zawstydzony wbijam wzrok w notes. Gorliwa wiara to coś nowego, nie dostrzegalem jej w Marcie Milano, gdy oboje byliśmy młodszy. Ona nie tylko kocha tego faceta i tęskni za nim; wierzy także, że zgrzeszył, opuszczając ją, za co zostanie skazany na niewysłowione męki w przyszłym życiu. A ono nadejdzie szybciej, niż powinno.

Obiecuję Marcie, że wrócę, jak tylko będę miał jej coś do powiedzenia, dodaję także, gdzie może mnie znaleźć, gdyby zaszła taka potrzeba.

Kiedy wstajemy, dostrzegam zmianę na jej twarzy.

- Jezu, tak mi przykro. Jestem taka... wybac. Co słyhać u twojej siostry?

- Nie wiem - odpowiadam.

Stoję już przy drzwiach, walcząc z kolejnym zasuwkami i łańcuchami.

- Nie wiesz?

- Będziemy w kontakcie, Martho. Dam ci znać, co udało mi się ustalić.

\* \* \*

Obecna sytuacja. Tak właśnie powiedziałem Marcie: Poszukiwania osób zaginionych to w obecnej sytuacji ogromne wyzwanie. Wzdycham, teraz dostrzegając ogromną nietrafność tego eufemizmu. Nawet dzisiaj, czternaście miesięcy po dokonaniu zaskakującego odkrycia, siedem miesięcy po wzroście szans na zderzenie do okrągłych stu procent, nikt nie wie, jak nazwać to, co ma nastąpić. „Sytuacja”, mawiają niektórzy; „to, co się dzieje”, komentują inni. „To szaleństwo”. Za siedemdziesiąt siedem dni, trzeciego października, sześćoipółkilometrowa asteroida 2011GV<sub>1</sub> wryje się w Ziemię i zabije nas wszystkich. Tak wygląda „obecna sytuacja”.

Ze schodów wiodących na ganek Cavatone'ów zbiegam pospiesznie prosto w słoneczny blask, odpinam rower od podstawy uroczego cementowego poidełka dla ptaków. Trawnik przed tym domem sięga aż do ulicy. Piękny dzień mamy dzisiaj. Jest gorąco, ale nie upalnie, niebo błękitne, kilka dryfujących białych chmurek. Zwyczajne lato. Na ulicy nie stoi ani jeden samochód, nie słyszę też żadnego w okolicy.

Zapinam kask i jadę ostrożnie do rogu, tam skręcam w prawo, w Bradley, potem kieruję się na wschód, ku Loudon Bridge i leżącemu za nim centrum handlowemu Steeplegate. Na końcu Church dostrzegam zaparkowany radiowóz, funkcjonariusz siedzi za jego kierownicą, młody chłopak w modnych okularach przeciwsłonecznych. Kiwam głową na powitanie, on odpowiada leniwie, obojętnie. Na drugi radiowóz trafiam u zbiegu Main i Pearl, tego kierowcę chyba pamiętam, aczkolwiek i jego odpowiedź na pozdrowienie można uznać za co najwyżej zdawkową – ledwie rusza ręką, nawet się nie uśmiecha. To jeden z całego legionu niedoświadczonych funkcjonariuszy, którzy trafili w szeregi tutejszej policji kilka tygodni przed niespodziewaną reorganizacją Departamentu Sprawiedliwości – tą samą, która doprowadziła do rozwiązania mojego wydziału i zwolnienia wszystkich detektywów. Nie otrzymuję już wprowadzie wytycznych, ale nowa strategia komendy wydaje się jasna: wszechobecność. Żadnych dochodzeń, żadnych interwencji, po prostu gliniarz na każdym rogu, szybkie reakcje na każdy objaw społecznego niepokoju, jak było podczas niedawnego Dnia Niepodległości.

Gdybym nadal służył w policji, w przypadku sprawy Marthy mógłbym posłużyć się formularzem 44-2. Wciąż pamiętam ten dokument, niemalże widzę go przed oczami: „Część I: procedury. Część VI: Nieprzewidziane okoliczności. Dodatkowe czynności dochodzeniowe”.

U zbiegu Main i Court zauważam człowieka, brudnego,



brodatego, bez koszulki, który wiruje, zadając powietrzu kolejne ciosy. Na uszach ma słuchawki, choć mógłbym iść o zakład, że nie emitują dźwięków muzyki. Odrywam dłoń od kierownicy, a brodacz odpowiada mi podobnym gestem, po czym sięga do pasa, jakby chciał zmienić głośność. Za mostem robię mały objazd, skręcam w kierunku Quincy Street i znajdującej się tam szkoły podstawowej. Przypinam rower do płotu okalającego jej boisko, zdejmuję kask i przeczesuję wzrokiem tyły budynku. Mamy środek lata, ale tu wciąż roi się od dzieciaków, codziennie przesiadują w tym miejscu od rana do wieczora, grając w co popadnie, ganiając po murawie boiska do nogi, sikając pod ceglana ścianą zamkniętej na głucho szkoły. Wiele z nich spędza tutaj także noce, obozując na ręcznikach plażowych i pościeli z motywami „Wojen klonów”.

Micah Rose kuli się na ławce na samym skraju tego terenu z nogami uniesionymi, podciągniętymi do klatki piersiowej. Ma osiem lat. Krążąca przed nim w kółko siostra Alyssa niedługo skończy sześć. Sięgam do kieszeni płaszcza po okulary, a ona klaszcze z radości, gdy wyciągam do niej rękę.

- Naprawiłeś!

- Nie ja osobiście - odpowiadam, zerkając w stronę Micaha, który nie odrywa wzroku od murawy. - Znam faceta, który się tym zajmuje. - Wskazuję głową ławkę. - Co jest nie tak z moim kumplem?

Micah podnosi głowę, by rzucić siostrze ostre ostrzegawcze spojrzenie. Alyssa odwraca wzrok. Ma na sobie dżinsową

kamizelkę, którą dałem jej parę tygodni temu, o dwa rozmiary za dużą, z naszywką Social Distortion na plecach. Wiele lat temu należała do Nico, mojej siostry.

- Dajcie spokój - rzucam, więc Alyssa zerka po raz ostatni na brata, a potem wypala:

- Przyszło tutaj kilku dużych chłopców z St. Alban. Zabierali nam, co chcieli, popychali wszystkich jak jakieś głupki.

- Zamknij się - mamrocze Micah.

Alyssa wodzi wzrokiem ode mnie do niego i z powrotem, widzę, że jeszcze chwila, a wybuchnie płaczem, lecz jakoś się opanowuje.

- Zabrali mu miecz.

- Miecz - mówię. - Hm.

Ich ojcem jest niezguła nazwiskiem Johnson Rose, z którym chodziłem kiedyś do liceum i który - jak się dowiedziałem - w zeszłym roku dał drapaka, by spełniać swoje najskrytsze marzenia. Matka, o ile dobrze wszystko zrozumiałem, topi żal w wódce i środkach przeciwbólowych. Ostatnimi czasy wiele dzieciaków spod szkoły opowiada podobne historie. Jest na przykład taki Andy Blackstone - widzę go teraz, odbija wielką gumową piłkę lekarską od ściany szkoły - którego z jakiegoś powodu wychowywał wuj. Gdy szanse na zderzenie wzrosły do stu procent, facet po prostu kazał mu spieprzać.

Kilka kolejnych wskazówek Alyssy i Micaha uświadamia mi, ku mojej wielkiej uldze, że chodzi o ulubioną zabawkę, plastikowy samurajski miecz, który należał kiedyś do

kostiumu ninja. Brat Alyssy od kilku tygodni nosił go wsunięty za pasek spodni.

- Okay - stwierdzam, ściskając Alysse za ramię i spoglądając Micahowi prosto w oczy. - To nic takiego.

- To po prostu do bani - rzuca z emfazą chłopak. - Do bani!

- Wiem.

Przerzucam kartki z notatkami dotyczącymi Brett Cavatone'a do miejsca, gdzie zapisuję mniej istotne sprawy. Przekreślam słowo: „okulary” i dopisuję: „miecz samurajski”, dodając kilka znaków zapytania. Gdy prostuję niezdarnie nogi ścierpnięte po długim przykucaniu, Andy Blackstone rzuca piłkę w moim kierunku. Odwracam się w porę, by chwycić ją po głośnym odbiciu od bruku. Guma uderza w moje dłonie z satysfakcjonującym, choć bolesnym plaśnięciem.

- Hej, Palace! - wrzeszczy Blackstone. - Zagramy w kopanego?

- Może później - odpowiadam, puszczając oko do Alyssy przed założeniem kasku. - Mam sprawę, którą muszę rozpracować.

## 2.

Okazuje się, że Rocky's Rock 'n' Bowl to spory murowany budynek o przyciemnionych witrynach i z kiczowatym logo umieszczonym nad wejściem - kilka nut i rodzina jak z kreskówki zażerająca się pizzą. Restauracja ta przycupnęła opodal łuszczącej się skorupy dawnego centrum handlowego Steeplegate. Aby do niej dotrzeć, należy przejść przez bezmiar przymarketowego parkingu, klucząc pomiędzy powywracanymi kosztami na śmieci i porzuconymi samochodami, którym złodzieje pootwierali maski, by rozszabrować silniki. Przed wejściem do knajpki na sporej skrzynce pocztowej siedzi niczym gargulec młody, na oko dwudziesto-, dwudziestojednoletni chłopak, jego brodę porasta rzadki młodzieńczy zarost, a tył głowy zdobi krótki kucyk. Gdy podchodzę, z jego ust pada powitalne: „Co tam?”.

- Jakoś leci - odpowiadam, ocierając spocone czoło chustką.

Chłopak zeskakuje ze skrzynki, zbliża się do mnie ostrożnie, powoli, niby grzecznie, ale nie wyjmując rąk z kieszeni. Stara złodziejska sztuczka, nigdy nie wiesz, czy ma tam pistolet czy tylko nóż.

- Niezły garniak, człowieku - rzuca. - Pomóc ci może w czymś?

- Szukam dobrej pizzerii - odpowiadam, wskazując głową znajdujący się za jego plecami przybytek.

- Jasne. Wybacz, nie dosłyszałem, jak się nazywasz.

- Henry - przedstawiam się. - Palace.

- Jak się o nas dowiedziałeś?

Zadaje serię pytań: ra-ta-ta-ta. Nie po to, by uzyskać odpowiedzi, ale by sprawdzić: jak bardzo nerwowy jest ten, z kim rozmawia? Czego może chcieć? Sam jednak wygląda na niepewnego, co rusz zerka na boki, odpowiadam więc spokojnie, trzymając ręce na widoku;

- Znam córkę właściciela.

- Bez jaj - mruczy. - Którą niby?

- Marthę.

- Marthę - powtarza, jakby zapomniał tego imienia, a chciał je zapamiętać. - Jasne. - Zadowolony z wyników przesłuchania cofa się o krok, by otworzyć mi drzwi. - Hejka, Rocky! - woła. Z półmroku dobiega ryk muzyki, czuję też mieszaninę przyjemnych zapachów. - Przyjaciel Marthy przyszedł. - Gdy mijam go, dodaje jeszcze, ale już do mnie: - Wybacz to nagabywanie. W tych czasach nigdy za wiele ostrożności, kumasz?

Przytakuję mu uprzejmie, zastanawiając się nieustannie, co takiego trzyma w kieszeni kurtki i czym traktuje gościa, który nie udziela mu satysfakcjonujących odpowiedzi: nożem, łomem czy pistoletem? W tych czasach nigdy za wiele ostrożności.

W lokalu puszczają wczesny rock and roll, nie aż tak drapieżny, za to głośny. Muszą mieć dobrze ukryty przed wzrokiem, ale rozkręcony na pełny regulator sprzęt zasilany akumulatorem. Rocky ma jedną salę gościnną, wielką jak

hangar z bardzo wysokim sklepieniem, co owocuje dodatkowym wzmocnieniem akustyki i echem. W jednym końcu dostrzegam otwartą kuchnię z opalonym drewnem sporym piecem, przy nim uwija się kilku pracowników w fartuchach, z podwiniętymi rękawami. Pociągają przy robocie piwo, rozmawiają, rechoczą. W części jadalnej stoją proste stoliki nakryte biało-czerwonymi obrusami, na nich dostrzegam pękate pojemniki z tłuczoną czerwoną papryką. Ściany za nimi zdobią winylowe płyty i wycięte z kartonu gitary. Są też neony stylizowane na reklamy szaf grających Wurlitzera, każdy nosi imię znanej bohaterki piosenek: Layla, Hazel, Sally Simpson, Julia.

Z kuchni wytacza się wielkolud w przybrudzonym białym fartuchu, unosi niedźwiedzią łapę w powitalnym geście.

- Jak leci? - pyta z podobną wymuszoną uprzejmością, kopiując chłopaka sprzed wejścia. Brzuch wyduły jak u Świętego Mikołaja, blade tatuaże kotwic na przedramionach, plamy po sosie na przodzie fartucha przywodzące na myśl ślady krwi. - Chcesz postrzelać czy coś do zjedzenia?

- Postrzelać?

Wskazuje za moje plecy. Sześć torów do kręgli przerobiono na strzelnice. Na jednym końcu stoją karabiny, na drugim widzę tarcze z ludzkimi sylwetkami. Na moich oczach kobieta ze słuchawkami na uszach przymyka oczy, naciskając spust broni do paintballa, paprząc lewe ramię celu żółtą mazią. Wykrzykuje coś radosnym tonem, a jej mąż, a może chłopak, kwituje ten sukces zdawkowym: „Nieźle”.

W następnej alejce przygarbiony siwowłosy staruszek człapie w kierunku broni.

Odwracam się do wielkoluda.

- Pan Milano?

- Mów mi Rocky - odpowiada, a jego rysy w momencie tężeją. - Mogę w czymś pomóc?

- Taką mam nadzieję.

Krzyżuje wielkie łapy na piersi, mruży powieki i czeka. W tle z bumboksa leci „Ooby Dooby”, klasyczny Roy Orbison. Uwielbiam ten kawałek.

- Nazywam się Henry Palace - wyjaśniam. - W sumie spotkaliśmy się już kiedyś.

- Doprawdy? - Uśmiecha się niby przyjaźnie, ale jakoś tak bez zainteresowania, jak restaurator, który miał okazję spotkać wielu gości.

- Byłem wtedy dzieckiem. Trochę urosłem od tamtej pory.

- Fakt - stwierdza, mierząc mnie spojrzeniem od stóp do głów. - Nawet więcej niż trochę.

Kwituję to uśmiechem.

- Martha prosiła mnie, żebym spróbował zlokalizować twojego zaginionego zięcia.

- No, no - mruczy Rocky, mierząc mnie uważniejszym spojrzeniem. - Jesteś gliniarzem? Zadzwoń na policję?

- Nie - odpowiadam. - Nie jestem policjantem. To znaczy kiedyś byłem, ale zostałem zwolniony.

- Kimkolwiek jesteś przyjacielu, pozwól, że oszczędzę ci zachodu - mówi. - Ten dupek przysięgał, że zostanie z moją

córką aż do chwili pieprznięcia, ale szybko zmienił zdanie i dał drapaką. - Mruczy coś, przekłada ręce. - Masz jakieś pytania?

- Mam kilka - przyznaję.

Zza moich pleców dobiegają nieustanne plaśnięcia kulek rozbryzgujących się na tarczach strzelniczych. Tego typu przybytki wyrastają ostatnio w całym mieście. Ludzie na rozmaite sposoby próbują przygotować się na czas po kataklizmie. Jedni trenują strzelanie, inni karate albo uczą się, jak zrobić sprzęt do oczyszczania wody. W minionym miesiącu biblioteka miejska urządziła darmowe prelekcje na temat: „Jak jeść mniej i przeżyć”.

Rocky Milano prowadzi mnie na tyły restauracji, do przylegającego do kuchni niewielkiego pomieszczenia. Od niepamiętnych czasów słyszałem plotki dotyczące taty Marthy, takie dziecięce bajdurzenie powtarzane szeptem głównie przez tych, których miała okazję niańczyć: ponoć miał powiązania i odsiedział swoje, a jego kartoteka jest gruba na milę. I mnie zdarzyło się kiedyś zapytać mamę, która pracowała podówczas na posterunku, czy mogłaby zdobyć te akta, ale pogoniła mnie tylko, jak w przypadku każdej innej durnej prośby dziesięciolatka.

A teraz stałem naprzeciw Rocky'ego, który z przepaszającym uśmiechem na twarzy uprzątał z krzesła stertę papierowych talerzy, abym miał gdzie usiąść. Sam zajął miejsce za pamiętającym lepsze czasy metalowym biurkiem. Potwierdził niemal wszystko, co usłyszałem od



Marthy. Brett Cavatone ożenił się z jego córką jakieś sześć lat temu, gdy pełnił służbę w policji stanowej. Niespecjalnie lubili się z teściem, lecz nie mieli także zatargów. Stary szanował zięcia i nie miał żadnych zastrzeżeń do tego, jak traktuje jego córkę. „Jakby była jakąś księżniczką, prawdziwą księżniczką”. Gdy Rocky zdecydował się na otwarcie restauracji, zięć zwolnił się z pracy, by zostać jego prawą ręką.

- Okay - rzucam, zapisując to wszystko. - Dlaczego?

- Dlaczego co?

- Dlaczego zaczął pracować tutaj?

- Aha. A ty nie chciałbyś ze mną pracować?

Zerkam na niego ostro, nadal jednak uśmiecha się pewnie.

- Pytałem raczej o to, dlaczego zdecydował się na odejście z policji

- Wiem, o co ci chodzi - odpowiada, a jego uśmiech rozszerza się jeszcze bardziej. - O to musiałbyś zapytać jego, nie mnie.

Żartuje, rzecz jasna, nabija się ze mnie, ale to mnie mało obchodzi. Prawdę powiedziawszy, cieszy mnie możliwość obcowania z ojcem Marthy. Imponuje mi to rozpadające się z wolna miejsce i fakt, że facet mimo wszystko stara się utrzymać je na chodzie, dając innym ludziom choć namiastkę normalności w czasach poprzedzających „pieprznięcie”.

- Wracając do Bretta - mówi tymczasem Rocky rozparty teraz wygodnie, z dłońmi splecionymi za głową. - Facet był naprawdę niesamowity. Ciężko harował. Jak wół. Spędzał

tutaj więcej czasu niż ja. To on zbił krzesło, na którym teraz siedzisz. To on wymyślił fikuśne nazwy dla wszystkich specjałów w karcie. - Rocky rechocze, wskazując nieświadomie salę jadalną, gdzie małżeństwo ze strzelnicy siedzi teraz przy stoliku i zajada się pizzą. - To chyba jasne, że ludzie są zadowoleni. W tym tygodniu specjalność zakładu nosi nazwę: „Życzymy powodzenia w znalezieniu choćby jednego kawałka pieprzonego mięsa”. - Tym razem jego rechot kończy się kaszlem. - W każdym razie plan wyglądał następująco: prowadzimy ten burdel wspólnie, a kiedy kipnę albo pomiesza mi się do reszty we łbie, biznes przechodzi na niego. To na szczęście nigdy się nie wydarzy dzięki jasnie wielmożnej, tfu, pani asteroidzie, ale kiedy powiedziałem, że będziemy mieli otwarte aż do października, on tylko burknął: „Jasne”. Żadnych fochów. Od razu w to wszedł.

Przytakuje. Okay. Zapisuję wszystko co do słowa. Ciężko pracował, zbił krzesło, otwarte do października. Zapelniam świeżą stronę niebieskiego brulionu.

- Dał słowo - dodaje skwaszonym tonem Milano - ale wiesz, jacy są dzisiaj młodzi, oni wszystko mogą obiecać.

Odkładam ołówek, nie mając pojęcia, co odpowiedzieć. Nagle dociera do mnie, jak absurdalnego zadania się podjąłem. Największa nawet liczba najprecyzyjniejszych informacji nie przygotuje mnie do pójścia w ten zdziczały świat i nie pozwoli mi odnaleźć męża Marthy Milano, nie mówiąc już o przemówieniu mu do rozumu i zmuszeniu do powrotu. Kucharze przy pobliskim piecu nagle wybuchają

śmiechem i przybijają sobie piątkę. Za plecami Rocky'ego widzę przypiętą do ściany tarczę strzelniczą. Niebieska plama pokrywa niemal całą twarz wymalowanej na niej postaci. Strzał w dziesiątkę.

- A co z przyjaciółmi? Czy Brett miał wielu znajomych?

- Raczej nie - stwierdza Milano, po czym pociąga nosem i drapie się po policzku. - W każdym razie ja nic o nich nie wiem.

- Jakieś hobby?

Wzrusza ramionami. Chwytam się brzytwy. Nie chodzi mi o pasje, tylko o wady, a raczej o jakieś nowe uzależnienie, które mogło zmusić go do ruszenia w trasę, skoro cały świat przeszedł właśnie na ostateczne odliczanie. Może chodzi o dziewczynę? Problem w tym, że teściowie zazwyczaj niewiele wiedzą o romansach. Z ukrytych głośników napaarza teraz Buddy Holly. „A Man with a Woman in his Mind”. Kolejny wielki przebój. Ostatnimi czasy nie słyszę zbyt często muzyki - odebrano mi dostęp do radia w samochodzie, a nie mam ani iPod'a, ani wieży. W domu, przeczesując częstotliwości na skanerze policyjnym w poszukiwaniu komunikatów rządowych, trafiam czasem na żywiołowego prezentera, który każde mówić na siebie Dan Dan Radio Man.

- Możesz mi powiedzieć, dokąd twój zięć miał się udać, kiedy wyszedł wczoraj rano?

- Tak - odpowiada. - Wyskoczył na zwykłe zakupy. Po mleko, ser, mąkę. Papier toaletowy. A gdyby się udało, po

kilka puszek przecieru pomidorowego. Zazwyczaj pojawiał się tutaj przed otwarciem lokalu, ustalaliśmy listę zakupów i wypadał na tej swojej dziesięciobiegówce, a wracał w okolicach lunchu ze wszystkim, co tylko znalazł.

- A gdzie tego wszystkiego szukał?

Wybuch śmiechu.

- Następne pytanie proszę.

- No tak - stwierdzam. - Rozumiem.

Odwracam kartkę w notesie. Warto było spróbować. Wczorajszego ranka Brett z pewnością nie udał się do żadnego legalnie działającego sklepu spożywczego, ponieważ ich działalność jest ściśle kontrolowana przez służby rządowe, które dbają o jak najprecyzyjniejsze zarządzanie zapasami i dzielenie żywności, a także o racjonowanie jej, wymianę barterową oraz zużycie wody w okresie poprzedzającym zderzenie. Nic więc dziwnego, że ktoś taki jak Rocky Milano nie zamierza dzielić się wiedzą na temat zaopatrzenia, zwłaszcza z przepytującym go gościem, z człowiekiem, który miał do niedawna bliskie powiązania z policją. Swoją drogą ciekawe, jak Brett Cavatone radził sobie z takim naginaniem obecnie obowiązującego prawa: wcześniej był przecież gliniarzem, a nad jego głową w sypialni wisiał obraz Jezusa.

- W takim razie pozwolisz, że zapytam, czy na jego wczorajszej liście było jakieś szczególne miejsce? Takie, w którym nie bywał codziennie?

- Niech pomyślę - odpowiada, przymykając powieki, aby

przejrzeć zapisy poczynione w głowie. - Tak. Szczerze powiedziawszy, wczoraj rano miał zajrzeć do Suncook.

- Gdzie dokładnie?

- W miejsce zwane Butler's Warehouse, to taki sklep meblowy. Klient, który wpadł do nas na obiad w ostatni weekend, wspomniał, że wciąż pełno tam starych drewnianych stolików. Pomyśleliśmy więc, że warto by je obejrzyć i sprawdzić, czy nadają się jeszcze do czegoś.

- Rozumiem... - rzucam, po czym milknę. - Mówiłeś, że on jeździł na te zakupy rowerem, tak?

- Tak - potwierdza Milano, sam robiąc króciutką przerwę. - Udało nam się znaleźć przyczepkę do tego cholerstwa. Już wspomniałem, że chłopak był pracowity jak wół.

Spogląda mi prosto w oczy, brwi ma lekko uniesione, a ja nie mogę się powstrzymać przed myślą, czy powinienem w to wszystko uwierzyć. Wyobrażam sobie masywnego, choć przysadzistego mężczyznę z bujną brodą, tego z fotografii otrzymanej od Marthy. Pedałuje zawzięcie w gorący lipcowy poranek, mocno spocony i pochylony, ciągnąc za sobą z Suncook przyczepkę wypełnioną okrągłymi stolikami.

Rocky zrywa się raptownie z fotela, więc oglądam się przez ramię, by popatrzeć tam gdzie on. To ten chłopak z zewnątrz, z rzadką młodzieńczą bródką i kucykiem.

- Hej, Jeremy - wita go Milano, oferując przybyszowi kpiący salut. - Co tam słyhać na świecie?

- Nie jest źle. Przyszedł pan Norman.

- Bez jaj - mruczy Rocky. - Tak wcześnie?

- Czy mam...

- Nie. Już idę. - Mój gospodarz przeciąga się jak niedźwiedź, po czym zawiązuje ponownie fartuch. - Słuchaj, nasz przyjaciel chce się czegoś dowiedzieć o Bretcie - rzuca do Jeremy'ego. - Masz coś do powiedzenia na ten temat?

Chłopak uśmiecha się, ale też jakby płoni. Jest żylasty, niski, ma delikatne rysy i przenikliwe spojrzenie.

- Brett jest zajebisty.

- Owszem - rzuca Rocky Milano, przechodząc z wnęki do kuchni, aby zająć się kolejnym zamówieniem. - A przynajmniej taki był.

\* \* \*

Gdy opuszczam Rocky's Rock 'n' Bowl, dostrzegam skulonego za tylnym kołem mojego roweru mocno zaniedbanego pręgusa, który miauczy przeraźliwie, jakby wystraszyło go zawodzenie samochodowego alarmu dobiegające z pobliskiego parkingu za centrum handlowym Steeplegate. Nad naszymi głowami przelatuje z rykiem myśliwiec, szybki i jeszcze głośniejszy, zostawia za sobą białą smugę przecinającą idealny błękit nieba. Zaleciał daleko w głąb lądu, myślę, wyciągając kota, kotkę, jak się okazuje, z kryjówki i odstawiając ją na chodnik. Większość jednostek sił powietrznych stacjonuje obecnie blisko oceanu, aby wspierać straż wybrzeża w akcji zawracania imigrantów uciekających przed kataklizmem. A przybywa ich z każdym dniem, jeśli wierzyć słowom Dana Dana Radio Mana:

docierają do nas na pokładach wielkich frachtowców i tratw, na jachtach i skradzionych okrętach wojennych – niekończąca się fala uchodźców z półkuli wschodniej gotowych zrobić wszystko, by znaleźć się jak najdalej od miejsca, w które uderzy Maja, by dotrzeć na kontynent oferujący szansę na odwleczenie niechybnej śmierci, nawet jeśli tylko chwilowe.

Polityka naszego rządu jest prosta: zawrócić albo zatrzymać. Jednostki straży wybrzeża mają zawracać każdy statek, który może ruszyć w rejs powrotny, a pozostałe przejąć i doprowadzić w wyznaczone miejsca. Tam imigranci są masowo rejestrowani i przewożeni do odizolowanych obozów, które bądź już powstały, bądź są dopiero budowane wzdłuż wybrzeża.

Jakiś odsetek uciekinierów umyka jednak naszym patrolom albo zostaje przeoczony. Niektórym udaje się także ujść nawet antyimigracyjnym milicjom, które w nadmorskich stanach polują na każdego obcego. W Concord widziałem tylko kilku takich ludzi: chińską rodzinę obszarpaną i wycieńczoną, zebrzącą przez kilka tygodni o coś do jedzenia przy siedzibie Kryzysowego Systemu Dystrybucji Żywności, w skrócie zwanego KSDŻ, pod piekarnią Waughów na South Street. Stałem tam w kolejce po trzy spore bułki, z których oderwałem po kawałku i dałem biedakom, jakbym dokarmił gołębie albo kaczki.

\* \* \*

W drodze powrotnej zatrzymuję się na od dawna niekoszonym trawniku przed lokalnym urzędem stanowym. Zewsząd dobiega radosna wrzawa, pohukiwania i śmiechy. Rozbawieni ludzie siedzą parami bądź trójkami przy rozstawionych na trawie stołach. Rodziny, małżeństwa, odświętnie odziani staruszkowie. Przed nimi kosze piknikowe, otwarte butelki wina. Na skrzynce stoi mówca, mężczyzna w średnim wieku, łysy, ręce złożył przy ustach w tubę i grzmi:

- Bostońscy Patrioci! US Open! Outback Steakhouse.

Odpowiadają mu pełnym aprobaty śmiechem, nawet wiewatami. Robią coś podobnego już od kilku tygodni. Ktoś wpadł na pomysł, znakomity skądinąd, by ludzie gromadzili się w takich miejscach i czekali cierpliwie na swoją kolej, jeśli chcą powiedzieć, czego im brakuje w tym świecie. Scenę tę obserwuje uzbrojona w broń maszynową para policjantów: milczący, nieruchomi, w czarnym wyposażeniu bojowym wyglądają jak roboty.

- Ping-pong, Starbucks - rzuca kolejny mówca.

Ludzie biją brawo, pohukują, trącają się łokciami. Za jego plecami stoi młoda matka z oseskiem na ręce, ona też dorzuca swoje trzy grosze:

- Te wielkie pudła popcornu, jakie można dostać podczas świąt.

Wiem, że w zajmującym piwnicę barze na Phoenix Street urządzone są parodie takich spotkań, ich organizatorem jest dawny asystent menadżera Capital Arts Center. Tam właśnie



ludzie z udawaną powagą wymieniają rzeczy, za którymi nie będą tęsknić, takie jak: konsultanci z biur obsługi klienta, podatki, Internet.

Wsiadam na rower i pedałuję najpierw na północ, potem skręcam na zachód, gdzie czeka mnie spotkanie przy lunchu. Cały czas myślę jednak o Bretcie Cavatonie – o facecie, który poślubił Marthę Milano, a potem ją porzucił. Wyobrażam go sobie: twardy facet, niegłupi, silny. I... jak to ujęła Martha?... szlachetny. Robi coś, co w jego mniemaniu jest szlachetne, tak mniej więcej powiedziała. Ja wiem tylko jedno: do stanówki nie przyjmują byle kogo. Nigdy też nie słyszałem, by któryś z tamtejszych funkcjonariuszy porzucił służbę dla pracy w restauracji.

### 3.

- Przychodzi baba do lekarza, ponieważ coś ją zabolało. Lekarz zrobił jej wszystkie badania i mówi: Przykro mi, ale ma pani raka. - Detektyw McGully gestykuje jak wodewilowy aktor, łysina mu czerwienieje, w basowym głosie daje się wychwycić początki rechotu. - Problem jest taki, że nic z tym nie da się zrobić. Nic! Zero naświetlań, zero chemii. Skończyły się nawet tabletki, a sprzęt nie działa jak trzeba przy zasilaniu z generatorów. Czysty burdel. I pan doktor dodaje: Posłuchaj, paniusiu, mam smutną wiadomość, zostało ci tylko pół roku życia. - Culverson przewraca oczami, ale McGully zmierza do puenty. - A baba na to: Pół roku? Super. To i tak będzie o trzy miesiące więcej, niż pożyją wszyscy inni.

McGully szczerzy się jak przystało na komika, macha rękami, normalnie boki zrywać. Uśmiecham się pod nosem. Culverson wyskrobuje do herbaty resztki miodu.

- Walcie się obaj - słyszymy reprimendę popartą machnięciem pulchną łapą. - To było śmieszne.

Detektyw Culverson odpowiada niezrozumiałym pomrukiem, upijając jednocześnie łyk herbaty, a ja skupiam się ponownie na notatniku, który spoczywa na blacie otwarty obok stosu nieprzeczytanych kart dań. Ruth-Ann, kelnerka z Somerset Diner, dba o to, by menu było zawsze uaktualniane, zmienia je więc co tydzień, czasem coś

dopisując, ale najczęściej wykreślając grubym czarnym markerem niedostępne już potrawy.

McGully wciąż zaśmiewa się z własnego kawału, zaraz też wyciąga z kieszeni dwa cygara, popychając je w kierunku Culversona, który zapala oba, po czym oddaje jedno właścicielowi. Ta celebra upodabnia moich kumpli: biały łysol w średnim wieku i czarny brzuchacz równie posunięty w latach nagle podczas wspólnego posiłku stają się do siebie podobni jak dwie krople wody. Przymusowi policyjni emeryci, cieszący się drobnymi przyjemnościami niczym stetryczali osiemdziesięciolatekowie.

Oni palą, a ja przeglądam notatki sporządzone tego ranka. Przypominam sobie Marthę obgryzającą paznokcie, gapiącą się gdzieś w przestrzeń.

- Ta historia wydarzyła się naprawdę - dodaje McGully. - Oprócz tego zdania kobiety o pół roku życia. Beth ma przyjaciółkę, u której zdiagnozowano niedawno nowotwór, czterdziestolatkę. I nic nie da się zrobić. Słowo daję.

- Co słyhać u Beth?

- Wszystko w porządku - odpowiada McGully. - Robi swetry na drutach. Powtarzam jej, że mamy lato, a ona na to, że przecież niedługo zrobi się zimno. No to pytam: Chodzi ci o ten moment, kiedy słońce zostanie połknięte przez chmury pyłu?

Wypowiada te słowa, jakby to miał być kolejny żart, ale nikt nie wybucha śmiechem, nawet on.

- Słyszeliście o Dotsesie? - pyta Culverson.

- Owszem - mruczy McGully. - A o zastępcy gubernatora?

- Tak. Czyste szaleństwo.

Słyszałem już te opowieści. Zagłębiając się więc w treść swoich notatek. Jak zdołam odzyskać plastikowy miecz samurajski?

Ruth-Ann, wiekowa, siwowłosa i przygarbiona, podchodzi, by zebrać opróżnione talerze. Podsuwa też palącym popielniczki, więc wszyscy jej dziękujemy. Poza płatkami owsianymi i serem jedyny napój, jaki może nam zaproponować, to herbata, ponieważ głównym jej składnikiem jest woda wciąż płynąca z kranów. To jednak szybko może się zmienić, zważywszy na fakt, że właśnie pozbawiono nas prądu. Obecność wody w kranach zależy już wyłącznie od tego, ile pozostało jej w zbiornikach wyrównawczych, i od decyzji Departamentu Energii, wątpię jednak, by politycy potraktowali nasze miasto lepiej od pozostałych miejscowości w stanach północnego wschodu - zależy, zależy, zależy...

- Hej, Palace - rzuca niespodziewanie Culverson z wystudiowaną nonszalancją, jakby nagle coś wpadło mu do głowy. Sztywnieję momentalnie, ponieważ wiem, o co chce zapytać. - Masz jakieś wieści od siostry?

- Nie.

- Nic?

- Nic.

Pytał już o to wcześniej. I będzie to robił w przyszłości.

- Nie odezwała się?

- Nawet słowem.
- Nie zamierzasz jej szukać? - wtrąca McGully.
- Nie - odpowiadam. - Nie zamierzam.

Spoglądają na siebie znacząco. Jaka szkoda. Zmieniam więc temat.

- Pozwólcie, że o coś zapytam. Ile mil jest stąd do Suncook? Culverson przekrzywia głowę.
- Bo ja wiem? Co najmniej sześć.
- Nie - poprawia go McGully. - Osiem. I to z hakiem.

Wydmuchuje chmurę gęstego dymu, którą muszę odgonić machnięciem dłoni. Wcześniej było to zadanie wentylatorów, ale teraz, gdy zamarły z braku zasilania, nad naszą lożą wisi gęsta szara zawiesina.

- Dlaczego pytasz? - interesuje się Culverson.
- Facet, którego szukam, miał tam pojechać rowerem po kilka stolików.
- Rowerem? Takim z przyczepką?
- Facet, którego szukasz? - powtarza McGully.
- Zaginiony.
- Chciał je przywieźć z Suncook? - mamrocze Culverson. - Za kogo on się ma, za byka?

- Zaraz. Chwila. - McGully przygląda mi się uważniej, cygaro żarzy mu się pomiędzy palcami ułożonymi w V. - Zaginiony? Prowadzisz jakieś dochodzenie, detektywie?

Streszczam im sprawę: moja dawna opiekunka, uciekający mąż, pizzeria przy centrum handlowym Steeplegate.

- Facet jest funkcjonariuszem? - dopytuje Culverson.

- Był. Rzucił robotę dla tej pizzerii.

Widzę jego minę, ale McGully przejmuje inicjatywę:

- Czym ci ta laska zapłaci za odnalezienie męża?

- Przecież mówię, że to moja dawna znajoma.

- Nie znam takiej waluty jak przyjaźń.

Culverson śmieje się w zamyśleniu. Mogę się założyć, że skupił się na innym elemencie: jak funkcjonariusz mógł się zamienić w dostawcę pizzy?

McGully nie odpuszcza jednak.

- Powiedziałaś jej, że to bezcelowe?

- Wspomniałem, że nie będzie łatwe.

- Nie będzie łatwe? - Rozbawia go to, aż wali pięścią w stół.

- Można i tak powiedzieć. Ale wiesz doskonale, co powinieneś w takiej sytuacji mówić, Ichabodzie Crane. Faceta nie ma, koniec, kropka. Albo nie żyje, albo siedzi w jakimś obskurnym burdelu, daje sobie w żyłę w Nowym Orleanie czy jakimś innym Belize. Zostawił ją, bo tak mu w dupie zagrało, więc najlepiej dla niej będzie, jeśli zapomni o nim. Niech ustawi sobie fotel na werandzie i przygotuje się na ostatni zachód słońca.

- Taaa, jasne - fukam.

Kończę tę wymianę zdań, opuszczając wzrok na przeredagowane menu. Ciemnożółte promienie słońca przebijające się z trudem przez brudne witryny sprawiają, że cienie na stoliku przypominają więzienne kraty. Gdy odrywam od nich wzrok, widzę, że McGully kręci głową.

- Lubisz tę dziewczynę? W takim razie nie rozbudzaj w niej

falszywych nadziei. Nie marnuj jej czasu. I swojego też.

Przenoszę wzrok na Culversona, który uśmiechając się blado, puka opuszkami palców w czoło.

- Wspominałem wam już, chłopaki, że moim sąsiadem jest Sierżant Piorun? - mówi.

- Co? - dziwi się McGully.

- Ten prezenter pogody? - dodaję.

- Z kanału Czwartego, między szóstą a dziesiątą. Mój osobisty celebryta. - Zaczyna obmacywać kieszenie, jakby czegoś szukał.

I on, i ja nadal często nosimy służbowe blezery, ja dodaję do mojego krawata. McGully przychodzi w polo z wyszytym nazwiskiem na kieszonce.

- Zazwyczaj nie rozmawialiśmy ze sobą - wyjaśnia Culverson. - Mijaliśmy się, rzucając sobie zdawkowe cześć, ale ostatnio, odkąd na całej ulicy zostaliśmy tylko on i ja, wpadam do niego okazjonalnie z wizytą. Po prostu pukam do drzwi i zagaduję. Facet jest dość leciwy, jak wiecie. - McGully ćmi cygaro, widać że nudzi go ta opowieść. - Wczoraj jednak Sierżant Piorun wpadł do mnie, ponieważ chciał mi coś pokazać. Twierdził, że nie powinien tego robić, ale nie mógł się oprzeć.

Culverson znajduje w końcu to, czego szukał, oczywiście w kieszeni blezera, i kładzie na stole przede mną. To broszura, cienka, ale bardzo elegancka. Złożona na troje, błyszcząca, pełna zdjęć uśmiechniętych starszych ludzi, którzy siedzą w wyłożonym drewnem salonie, cud-miód, że

palce lizać. Widzę także fotografie bohatercko wyglądających strażników przemierzających sterylne czyste korytarze. Para młodych ludzi szczerzy się nad posiłkiem: pod zastawą lniany obrus, na talerzach makaron i sałatka. Nad tym wszystkim nader gustowny napis: Świat Przyszłości czeka na ciebie...

- Świat Przyszłości? - pytam, gdy McGully chwyta broszurkę.

- Jedno wielkie gówno - prychna, obracając ją w dłoniach. - Cała fura gówna.

Rzuca ulotkę na stół, a ja czytam napisy na ostatniej stronie. Świat Przyszłości oferuje miejsca w „starannie dobranym, doskonale zabezpieczonym schronie położonym w odludnym miejscu Gór Białych w stanie New Hampshire”. „Doskonale zabezpieczonym” wypisano italikami. Oferowane są trzy pakiety pobytowe: standardowy, premium i luksusowy.

Odkładam ulotkę na stół.

- Masz - kpi McGully. - Weź chusteczkę, obetrzyj ręce z tego gówna.

Zauważam, że nigdzie nie ma podanej ceny pobytu w niesamowitym Świecie Przyszłości. Mówię o tym Culversonowi, a on wyjaśnia, że zdaniem jego sąsiada ceny będą ustalane indywidualnie w zależności od tego, kto się zgłosi. Innymi słowy trzeba będzie oddać wszystko, co się posiada.

- Wczoraj wieczorem widziałem, jak przyszli i zabrali z domu Sierżanta Pioruna samobieżną kosiarkę, taką małą



lodówkę na wino i mikrofalówkę - kontynuuje Culverson. - Dzisiaj rano rozwalili młotami jego szopę i zabrali wszystkie cegły. Faceci w kombinezonach roboczych. Wydaje mi się, że takie stroje są idealne, jeśli chcesz ograbić kogoś ze wszystkiego, co ma.

- Nie próbowałeś ich aresztować? - pyta McGully, na co otrzymuje jedno z tych spojrzeń zdających się mówić: „Czyś ty oszalał?”.

- Tak - burczy Culverson. - Pogroziłem im pięściami. Myślisz, że się przejęli?

Obracam ulotkę w palcach. Nowoczesna placówka medyczna. Dobre żarcie. Marne stoliki.

- Poza tym - dodaje Culverson. - Powinniście widzieć radość na twarzy Sierżanta. - Odchyła się na krześle i spogląda na nas jak lis, który wpadł do kurnika. - Szczerzył się jak przygłup. W życiu nie widziałem tak uszczęśliwionego staruszka.

McGully także wygląda na poruszonego. Strzepuje popiół do własnej filiżanki.

- Więc w czym problem? - pyta, choć zna odpowiedź, podobnie jak ja.

Naszemu koledze to jednak nie przeszkadza, moment później słyszemy wyjaśnienie:

- Może nadzieja, jaką dajesz dziewczynie, tej dawnej opiekunce, jest fałszywa, ale to zawsze nadzieja. Taka iskierka w ciemności, nie? - McGully prychnął z irytacją, więc Culverson spogląda na niego. - Mówię poważnie, stary. Może

nie oszaleje z rozpaczy, dopóki Palace będzie dla niej pracował.

- Otóż to - wtrącam. - Właśnie to.

Culverson spogląda na mnie ostro, potem znów przenosi wzrok na McGully'ego.

- Może Palace także nie zeświruje, jeśli będzie miał nad czym pracować.

Pochyliłam się nad notatnikiem, postanawiając iść za ciosem.

- Gdzie byście poszli po składniki, gdybyście chcieli zrobić pizzę? Szef wysłał gościa wczoraj rano po składniki, zakładam jednak, że nie chodziło o zwykłe zakupy.

- To chyba zrozumiałe - zgadza się Culverson. - Żadna pizzeria nie używa sera z KSDŻ.

Nie wymawia tego skrótu poprawnie, litera po literze, tylko jak zwykłe słowo: kasdeż. Kryzysowy System Dystrybucji Żywności.

- Gdzie mógłby coś wyszabrować? U Pirellego?

- Nie pytaj mnie. Ja radzę sobie dzięki własnemu ogródkowi i gościnności Ruth-Ann. Ale mój szanowny kolega jest żonaty i ma bardziej wygórowane potrzeby.

Na dłuższą chwilę zapada cisza. Culverson odkłada cygaro na popielniczkę i gapi się na McGully'ego, który w końcu unosi ręce ku niebu, wzdychając teatralnie.

- Do kurwy nędzy - syczy. - Bazar w dawnym Elks Lodge. Przy South Street, za Corvant.

- Jesteś pewien? - Zapisuję to w notatniku, poruszając nerwowo nogą. - Dopiero co tam byłem po naprawione u

Pauliego okulary. Ale to miejsce wyglądało mi na dokładnie rozszabrowane.

- Góra może tak, ale nie podziemia - zapewnia mnie. - Facet pojechał po ser, przecier pomidorowy, oliwki. To musiało być Elks. Stawiam dolary przeciw orzeszkom. Jakby co, mów im, że ja cię przysyłam.

- Dzięki, kolego - mówię, odkładając ołówek i szczerząc zęby.

- Nie zapomnij, musisz mieć coś na wymianę

- Wielkie dzięki.

- Taaa, jasne. Wal się.

- Gdzieś tam w głębi tego ohydneho cielska kryje się dusza człowiek - wtrąca Culverson, spoglądając z uznaniem na byłego detektywa.

- Ty też wal się na ryj.

Ruth-Ann wraca, zwinna jak zawsze dzięki ortopedycznym butom. Uśmiecham się do niej, a ona w odpowiedzi puszcza do mnie oczko. Wpadam do Somerset od czasu, gdy skończyłem dwanaście lat.

- Ile jesteśmy winni? - pyta jak zwykle Culverson.

- Gazylion bilionów dolarów - odpowiada jak zwykle Ruth-Ann, zanim obróci się na pięcie i odejdzie.

\* \* \*

Po powrocie do domu wsypuję resztki z naszych talerzy do plastikowej miski i przywołuję gwizdnięciem psa, puchatego

bichona frisé imieniem Houdini, który należał wcześniej do pewnego dilerka narkotyków.

- Hej, moment - rzucam, gdy widzę, jak pędzi przez pokój w kierunku wyżerki. - Siad. Waruj!

Ignoruje mnie; szczeka radośnie, po czym zanurza pyszczek w resztkach z lunchu. Niedługo po tym, jak trafił do mnie, wpadłem na pomysł, że wyszkolę go na psa ratownika, ale szybko zrezygnowałem. Ten drań nie ma zamiaru słuchać poleceń ani robić, co mu się każe: jest jak rozbrykane zwierzęce dziecko. Siadam więc na krześle przy kuchennym stole i patrzę, jak się objada.

Okłamałem wcześniej Culversona i McGully'ego, jak za każdym razem wcześniej, gdy pytali mnie o młodszą siostrę. Wiem, gdzie teraz przebywa i co robi. Nico związała się z grupą maniaków, dla których ta asteroida jest tylko kolejną teorią spiskową w rodzaju sfingowanego lądowania na Księżycu czy zamachu na Kennedy'ego i którzy wierzą, że zdołają to udowodnić. Nie znam jednak szczegółów ich misji i szczerze powiedziawszy, nie mam zamiaru ich poznawać. A już na pewno nie mam ochoty na wyjaśnianie tego wszystkiego kolegom z byłej pracy. Wolę zajmować myśli innymi sprawami.

- Wybacz, stary - mówię do Houdiniego, kiedy opróżniwszy miskę, spogląda na mnie wyczekująco. - Nie ma więcej.

Włączam skaner i tak długo kręcę gałką, jak długo nie natrafiam na Dana Dana Radio Mana. Mówi właśnie o komisji Mayfaira, ciele senacko-kongresowym, którego

zadaniem jest wyjaśnienie przyczyn porażki NASA oraz pozostałych agencji, nie wyłączając agend Departamentu Bezpieczeństwa Narodowego, które „nie wydały stosownych ostrzeżeń ani nie poczyniły adekwatnych przygotowań całe lata, a nawet dekady wcześniej”. Mieliśmy sporo radochy, omawiając prace tej właśnie komisji podczas posiłków w Somerset, to znaczy ja i moi koledzy byli detektywi. Po posiłku wyobrażaliśmy sobie, jak senator Mayfair usiłuje dociec, kto i kiedy dowiedział się pierwszy o istnieniu 2011GV<sub>1</sub>.

- To porażające! - kpił McGully, imitując zagniewany głos i gesty polityka. - Nasi naukowcy spiskowali z tą asteroidą od samego początku!

Dan Dan Radio Man z nieskrywanym niesmakiem relacjonuje, że Eleanor Tollhouse pełniąca funkcję zastępcy dyrektora NASA w latach 1981–1987, dzisiaj osiemdziesięciosiedmioletnia staruszka, którą sprowadzono do Senatu na przesłuchanie, jest przetrzymywana w klatce... Ponoć umieszczono ją tam dla jej bezpieczeństwa.

Zmieniam częstotliwość skanera. Houdini wciąż wpatruje się we mnie z takim żalem w oczach, że nie wytrzymuję i odsypuję mu ćwierć kubka suchej karmy dla psów, choć miałem nadzieję, że tego nie zrobię, skoro udało mi się przynieść do domu resztki wspólnego posiłku. W tym pudełku mam już tylko jedną porcję, a gdy i ją zużyję, zostanie mi raptem szesnaście opakowań zawierających po dziesięć miarek. Houdini zjada dwie takie miarki dziennie,

więc powinno nam to wystarczyć na siedemdziesiąt siedem dni dzielących nas od zderzenia, ale kto by to liczył?

Wstaję, przeciągam się, potem napełniam mu miskę wodą. Niezły żart mi wyszedł. Kto by to liczył? Jak to kto? Wszyscy bez wyjątku liczą.

## 4.

Pies szczeka, więc otwieram oczy i siadam z ciężko bijącym sercem.

- Co się dzieje, stary? - pytam. - Słyszałeś coś?

Houdini warczy przed drzwiami frontowymi, kilka stóp od podniszczonej sofy, na której sypiam od kwietnia. Nie przestaje szczekać, głośno i natarczywie, co do niego niepodobne. Wstaję niezdarnie, przesuwam sofę, by podnieść cztery poluzowane deski podłogi. Macam przez moment na ślepo, dopóki palce nie trafiają najpierw na sejf, a potem na klawiaturę panelu zamka. Po otwarciu drzwiczek wydaję długi nóż i rugera LCP.

Houdini wciąż powarkuje, miota się po sieni od lewej do prawej i z powrotem. Każę mu się zamknąć, choć wiem, że nie posłucha. Mijam go więc powoli, ostrożnie, zaciskając palce na broni, idę dalej, dopóki nie dotknę ramieniem drzwi.

- Spokojnie, stary - mamrocę z łomoczącym sercem, kładąc spoconą dłoń na gałce. - Spokojnie.

Przez wizjer dostrzegam na zewnątrz snop światła latarki błędzącej po trawniku. A jeśli Palace zostanie zamordowany podczas włamania do jego domu, zanim na dobre rozpocznie poszukiwania? - pytam w myślach detektywa Culversona. Co w takim razie stanie się z moją dawną opiekunką i jej jedyną iskierką nadziei?

Człowiek nasłuchiwał się podobnych historii. Ludzie zniżają głos, opowiadając sobie o napaściach i wtargnięciach do domów. Leon James z Thayer, były bankier, został pobity do nieprzytomności, a jego dom ogołococono z całej miedzi. Albo te dwie kobiety w średnim wieku, które zamieszkały razem po tym, jak ich mężowie zwiali, by spełniać swoje marzenia. One z kolei trafiły na gang nastolatków noszących maski goryli. Zostały zgwałcone i pobite niemal na śmierć. Goryle niczego nie ukradły, nie były też pijane ani naćpane, po prostu chciały się wyżyć. Ten przypadek osobiście zgłosiłem, gdy tylko się o nim dowiedziałem - zastukałem w okno chevroleta zaparkowanego przy skrzyżowaniu, podałem adres, nazwiska kobiet i opis zdarzenia, jak mi je przedstawiono. Młody funkcjonariusz spojrział na mnie z wyrzutem, zapewnił, że sporządzi stosowny raport, a potem po prostu zamknął okno.

Snop światła latarki znika. Gapię się w mrok, ale widzę jedynie majaczące w nim pokryte listowiem konary, które podświetla blask księżyca.

Puls mi przyspiesza. Houdini zaczyna mieć problemy z nabraniem powietrza.

Nagle słyszę na zewnątrz trzask gdzieś w głębi trawnika, dźwięk tłuczonej szyby, po którym dobiega mnie męski głos, cichy, lecz dobrze słyszalny:

- Cholera. Kurwa. Szlag.

Otwieram drzwi i wypadam z nich biegiem, zasuwam, wrzeszcząc, z pistoletem w jednej dłoni i nożem w drugiej,



jak barbarzyńca szturmujący średniowieczny gród.

Zatrzymuję się w połowie trawnika. Nic tam nie ma. Nikogo nie widzę. Na moim odcinku West Wilson są oczywiście latarnie, cały rząd, ale żadna nie świeci, co jest dość oczywiste. W blasku księżycy zwisające klosze wyglądają jak skamieniałe szkliste owoce. Kolejny hałas: trzask, a potem brzęknięcie. Szkło trze o szkło, jeszcze jedno zduszone przekleństwo.

Nie jestem przyzwyczajony do wagi tego pistoletu. To mniejsza broń od służbowego sig-sauera P229, który nosiłem podczas służby patrolowej. Trisha McConnell, moja przyjaciółka, załatwiła mi rugera w zeszłym tygodniu po tym, jak jej wspomniałem, że przestrzegam nowego prawa i nie mam w domu żadnej broni. McConnell, dawna koleżanka z pracy, wciąż służąca w policji, zostawiła mi później ten pistolet zapakowany w manilową kopertę, którą wstawiła między moskitierę a drzwi, dodając notatkę: „Weź go”, napisała. „Proszę”.

Teraz cieszę się, że go dostałem. Omiotam jego lufą mrok nad trawnikiem, wołając:

- Ani kroku dalej! Zostań, gdzie jesteś, i rzuć broń!
- Ale ja... nie mam broni. Kurde, stary, naprawdę przepraszam. - Głos dobiega z trawnika sąsiada, do którego się właśnie zbliżam. Jest znajomy, ale nie umiem go przypasować do konkretnej osoby. - Człowieku, kurwa, naprawdę mi przykro.

Zatrzymuję się.

- Kim jesteś?

- To ja, Jeremy.

To on. Chłopak sprzed restauracji, trzydniowa bródka i kucyk. Robię wydech. Puls mi zwalnia. Bogu dzięki.

- Chyba wpadłem do jakiejś pułapki czy coś - dopowiada.

- Czekaj - rzucam. - Już tam idę.

Jeremy siedzi w dołku pośrodku trawnika na kupie jakichś skorup i odłamków szkła. Mrużę oczy w mroku rozświetlanym jedynie blaskiem księżyca i dostrzegam, jak bardzo jest wystraszony i zdezorientowany, na czole ma długą krwawiącą ranę.

- Hej - odzywa się słabym głosem. - Przepraszam.

- To nie jest pułapka - informuję go, patrząc z góry, a on wbija we mnie to sarnie wylęknione spojrzenie. - Wlazłeś w odstojnik.

- Co to jest odstojnik? - pyta, a potem rozgląda się wokół nieprzytomnie. - Chyba go zepsułem.

Śmieję się na cały głos, czując nie tylko ulgę, ale też politowanie dla chłopaka, który poranił się, łażąc nocą wokół mojego domu. Jakby to urządzenie faktycznie było czymś w rodzaju pułapki, do której wpadła jakaś niebyt rozgarnięta wróżka zębuszka.

- Odstojnik to taki system zbierania deszczówki - wyjaśniam. - Sąsiad zrobił go sobie na wszelki wypadek.

- Aha. Proszę mu przekazać, że jest mi przykro.

- On już nie żyje - dodaję. - Co ty tu właściwie robisz?

Jeremy dotyka rozcięcia na czole, krzywi się, potem

spogląda na umazane krwią opuszki palców. Wygląda niemal dokładnie tak samo jak przed restauracją: drobny, o czujnym spojrzeniu ciemnych oczu i delikatnych, niemal niemęskich rysach twarzy. Mój sąsiad, pan Moran, jowialny kawaler w średnim wieku i sprzedawca butów, stracił trzy tygodnie na zbudowanie tego odstojnika, po czym czwartego lipca został zastrzelony przez patrol samozwańczych strażników z organizacji Ameryka dla Amerykanów. Pan Moran próbował ich odciągnąć od kierowcy ciężarówki, który wiozł żywność oraz środki pierwszej pomocy do obozu przejściowego dla imigrantów w Cape Cod. Wspomniany szofer także został zamordowany.

- Wie pan, naprawdę mi przykro - powtarza Jeremy. - Ja po prostu nie chciałem, żeby Rocky dowiedział się o tej rozmowie, a że nie umiałem wymyślić dobrego usprawiedliwienia, musiałem zostać przed restauracją aż do jej zamknięcia.

- Okay - mówię.

- Potem musiałem zajrzeć do biblioteki, żeby znaleźć pana adres.

- Okay.

- W książce telefonicznej pana nie ma, ale znalazłem kogoś innego o tym nazwisku. Jakąś N. Palace.

- To moja siostra - wyjaśniam. - Zawsze wpisywała mój adres do wniosków o karty kredytowe.

- Aha.

Leży nadal na potłuczonym szkłe, czyli tam, gdzie chcę, by

był, dopóki się nie dowiem, o co w tym wszystkim chodzi. Główny oddział miejskiej biblioteki publicznej jest obecnie otwarty dwadzieścia cztery godziny na dobę dzięki ofiarnej służbie nielicznych bibliotekarzy i wspomagających ich wolontariuszy.

- Jeremy, po co tutaj przyszedłeś? – pytam.

- Chciałem pana prosić, żeby pan tego nie robił. Żeby nie szukał pan Bretta. Proszę dać mu spokój.

- Chodź. – Odkładam nóż i pistolet, by wyciągnąć go z rozwalonego odstoju. – Pomogę ci.

\* \* \*

- To było głupie.

- Nie szkodzi.

- Czuję się jak dureń.

- Nic się nie stało.

Jeremy siedzi przy stole kuchennym, przyciskając do czoła papierowy ręcznik, który zdążył już przesiąknąć krwią.

- Poważnie – dodaje. – Czuję się jak idiota.

- A ja ci powtarzam: nie przejmuj się tym.

Nie wypytuję go o Bretta, jeszcze nie pora na to, tak samo jak nie naciskam na wyjaśnienie, dlaczego chciało mu się iść na piechotę przez niemal całe miasto, by mnie znaleźć. Nie chcę, żeby uciekł, a wszystko wskazuje, że może to zrobić: czuje się zawstydzony, jest także zdezorientowany, więc jeśli zacznę teraz mocniej naciskać, wymamrocze: „Dajmy temu spokój” i zniknie w ciemnościach. Zapalam świecę, włączam

kuchenkę turystyczną, nastawiam wodę na herbatę i zadaje kilka prostych pytań. Chłopak nazywa się Canliss, jestem niemal pewien, że skądś znam to nazwisko, proszę zatem, aby je przeliterował.

- Hm - mruczę. - Jesteś z Concord?

- Nie - odpowiada. - Tak. - Robi głębszy wydech, siada wygodniej na krześle. - Nie do końca.

Wyjaśnia, że urodził się tutaj, ale gdy miał piętnaście miesięcy, jego rodzina wyjechała z miasta. Typowa historia mieszkańca Nowej Anglii: wychował się na obrzeżach Montpelier, przebrnął cudem przez szkołę, trochę popracował, „jakoś tak nie po drodze mi było z rodziną”, jak sam mówi. W końcu ląduje w Portsmouth, zalicza jeden semestr na Uniwersytecie New Hampshire, czyli UNH, wylatuje, próbuje ponownie i znowu go wyrzucają, więc wraca do Concord, gdzie zamieszkuje z paczką przyjaciół w jakiejś zasranej norze. Znajduje robotę w pizzerii, a tu nagle ogłaszają koniec świata.

- A co z Brettem? - pytam na koniec obojętnym tonem, odzywając się przez ramię z drugiego krańca kuchni i jednocześnie nalewając mu herbatę. - Dlaczego nie chcesz, żebym go odnalazł?

- W sumie to nie moja sprawa - odpowiada i milknie, a ja skupiam się na wodzie i kubkach. Gdy odwracam głowę widzę, że drapie się nerwowo po brodzie i zaraz potem wypala: - Może dlatego, człowieku, że to po prostu Brett. - Stawiam kubki na stole, siadam i czekam na ciąg dalszy. -

Jeśli on... – Jeremy unosi ręce, jakby chciał nimi pochwycić słowa. – Jeśli oszedł, to pewnie musiał. Wiesz, o czym mówię.

- Niezupełnie. Nie znam człowieka. Opowiedz mi o nim.

- Co tu mówić? – Uśmiecha się niepewnie, a potem powtarza: – Brett to po prostu Brett.

W tym jakże oględnym powiedzeniu wyczuwam wielki szacunek i podziw. Gdy wypowiada te słowa, zmienia się nawet brzmienie jego głosu. Mówi o Bretcie w taki sposób, w jaki inni ludzie mówią o Elvisie albo nawet o Jezusie. To nie jakiś tam człowiek – to przecież Brett.

Houdini wciąż drży pod stołem, jakby nadal nie miał pewności, czy zagrożenie minęło. Wstaję więc i sypię mu kolejną porcję karmy, aby choć w taki sposób ukoić jego nerwy. Zostało mi już tylko szesnaście kartonów po dziesięć porcji.

- Jestem pewien, że miał powody, by to zrobić – wypala Jeremy. – Tyle mogę powiedzieć.

- Jakie powody?

- Daj spokój, człowieku – burczy, spuszczając wzrok. – Sam wiesz.

- Nie, nie wiem. Byliście ze sobą blisko?

- Nie. – Odejmuje papierowy ręcznik od czoła i przekłada go z ręki do ręki. – Nie do końca.

- Ale uważałeś go za przyjaciela.

- Za kumpla z roboty, wiesz? Z restauracji.

- Często pracowaliście razem?

- Tak. Zdecydowanie. Ale częściej przed tą popieprzoną asteroidą.

Uśmiecham się. Jaka to miła odmiana po „naszej obecnej sytuacji”. Ta popieprzona asteroida.

- Wiesz, z początku myślałem, że on się po prostu nudzi. To religijny facet, niepijący, w dodatku zięć szefa.

Nie mam w kuchni notatnika ani ołówka. Przytakuje więc leniwie, pomimo późnej pory próbując osiągnąć stan maksymalnego skupienia, by zapamiętać szczegóły. Kataloguję i układam w określonym porządku zasłyszane fakty.

- Wystarczyło jednak побыć z Brettem chwilę, żeby doznać olśnienia. Facet jest świetny. Bez przerwy żartuje, wiesz, rzuca takie zabawne uwagi, ale wcale nie głupie, znaczy większości nie załapujesz od razu, ale i tak czujesz, że są świetne. Pomaga ci w tym, w czym jesteś kiepski, i robi to tak, że nie czujesz się przez to gorszy.

Potakuję. Znam wielu podobnych ludzi, lecz z jakiegoś powodu na myśl przychodzi mi tylko Nathanael Palace, mój dziadek, ten, który wychowywał Nico i mnie po śmierci naszych rodziców, choć on akurat postępował dokładnie na odwrót: zawsze chętnie się nabijał, kiedy coś nam nie wychodziło albo robiliśmy to źle.

- Siadaliśmy często z Brettem na progu i patrzyliśmy na te... jak im tam... wozy przewożące drani do miejscowego pierdła.

- Więźniarki - podpowiadam, otrząsając się ze wspomnień

o dziadku.

- Właśnie. Brett wskazuje mi te więźniarki i mówi: Lepiej oni niż my, stary. Lepiej oni niż my. Jakby mu na mnie zależało, wiesz? Nie tylko na mnie. Na wszystkich ludziach.

- A czy... - przerywam, by zmienić pytanie. - Czy Brett wspominał kiedyś o chęci odejścia? Znaczy, że chciałby ruszyć w świat, spełniać marzenia?

Jeremy spuszcza wzrok. Policzki mu pąsowieją.

- Człowieku, u licha. Zadajesz za dużo pytań.

- Taki już jestem. Mówił coś na ten temat czy nie?

- Nie - odpowiada. - Nie wprost. Ale był gotów odejść, wiesz?

- Miał kochankę?

- Nie wiem. Nie.

- Nie miał czy nie wiesz?

- Może i miał - rzuca Jeremy. - Chyba mógł mieć, tak.

- Kim ona jest? - Pochyliam się mocniej, serce łomocze mi w piersi coraz szybciej. - Gdzie?

- Nie wiem - mówi, odchylając się, jakby zraziła go moja natarczywość. - Nie wiem.

- Nie wpadała czasem do pizzerii?

- Nie. Nie wiem.

Wie. Musi coś wiedzieć. Ale nie zamierza mi tego wyjawić. Nie teraz. Przecieram oczy palcami. Coś jeszcze chodzi mi po głowie.

- Brett był porządnym religijnym człowiekiem, jak sam wspomniałeś. Jak zatem znosił to, że Rocky obchodzi ustawę,



prowadząc tę pizzerię?

- Co? - wygląda na zdziwionego, pogubionego.

- Mówię o tym, że Rocky kazał mu robić zakupy na czarnym rynku.

- Chwila - rzuca nagle Jeremy, uderzając dłonią w blat stołu. - Czeka. Słuchaj.

Od tego momentu mój gość zaczyna mówić tak szybko, że słowa zdają się zlewać w nieprzerwany ciąg.

- Gdyby chciał pojechać gdzieś i nakosić dziko rosnącego owsa czy innego zboża, nie musiałby pytać nikogo o zgodę.

- Nawet żony?

- Nawet żony. Nie wiem jak ty, facet, ale ja nie mam jaj, żeby odejść, żeby robić, co mi się żywnie podoba. Bez względu na to, czy chodziłoby o laski, paralotniarstwo czy co tam jeszcze. Nawet teraz nie miałbym na to odwagi. - Jeremy potrząsa głową, jakby chciał podkreślić wagę tego samooskarżenia, jakby brak odwagi w obliczu apokalipsy był jego największą wadą. - A Brett jest inny, wszystko na to wskazuje, że ma jaja. Poza tym, jak już wspomniałem, to porządny gość. Ale mógł odejść, żeby robić to, co uważa za słuszne, rozumiesz? Wątpię również, czy ty, Martha albo ktokolwiek inny zdołałby ściągnąć go z powrotem. - Rzuca przesiąknięty krwią papierowy ręcznik na stół i odsuwa zdecydowanym ruchem krzesło. - To tyle z mojej strony, człowieku. Przepraszam za najście.

Wstaje, więc ja też się podnoszę.

- Mam jeszcze kilka pytań.

- Przepraszam za to ustrojstwo twojego sąsiada. To na trawniku. Naprawdę mi przykro.

Na tym kończy się rozmowa. Jeremy wychodzi na zewnątrz, a ja, ponieważ nie mam już żadnej danej mi przez miasto władzy, która pozwoliłaby mi zatrzymać tego chłopaka, mogę się jedynie przyglądać, jak sunie chwiejnym krokiem, oświetlając latarką czarne pnie drzew. Rozmyślam o niesamowitym wpływie, jaki zaginiony mężczyzna miał na tego dzieciaka – o tym, jak bardzo go inspirował, świadczyło choćby bezgraniczne oddanie, które dostrzegłem przed momentem. Ten chłopak może uważać, że brak mu odwagi, ale pokonał przecież wielki kawał miasta w mroku, bez broni tylko po to, by bronić racji swojego przyjaciela. A zrobił to dlatego, że go podziwia. Dlatego, że sam chciałby odejść w diabły.

Wracam do salonu, niosąc świeczkę na spodku niczym postać z książek Dickensa, a gdy odnajduję notatnik i ołówek, spisuję wszystko, co zdołałem zapamiętać. Każdy szczegół: Kochanka? Paralotniarstwo? Porządny człowiek. Spisuję także pobieżnie historię dzieciństwa Jeremy'ego. Dodaję do tego jego pełne nazwisko i gapię się na nie przez chwilę. Czy nie użył dziwnego staromodnego terminu? „Nakosić dziko rosnącego owsa”. Gdyby chciał nakosić dziko rosnącego owsa czy innego zboża...

Skończywszy spisywanie jego słów, odkładam ołówek i gapię się w migoczący płomyk świecy. Najważniejsze pytanie, to, które zadałem Marcie jakieś dwanaście godzin

temu, nadal pozostaje w mocy: Co mam zrobić, gdy go odnajdę? Jeśli Jeremy się nie myli i Brett kosi gdzieś w okolicy dziko rosnący owies, a mnie jakimś cudem uda się go wytropić, to co pocznę, gdy stanę przed tym cudownym człowiekiem, byłym funkcjonariuszem policji stanowej? Co mam powiedzieć dorosłemu facetowi, który próbuje sensownie spędzić te marne resztki czasu, jakie mu pozostały?

Proszę pana, nazywam się Henry Palace. Pańska żona prosi, by wrócił pan do domu.

Zdmuchuję świecę.

Przechodzę ostrożnie nad śpiącym psem, układam się na sofie, wystawiając nogi za jej krawędź, i przymykam powieki. Wspomnienia napływają niemal natychmiast, jak zawsze, lecz odganiam je zdecydowanie.

Są sceny, które wypieram z pamięci skutecznie, ale o części nie sposób zapomnieć na dobre. Nie chodzi bynajmniej o mamę i ojca. Pogodziłem się już z nieobecnością nieżyjących od tak dawna rodziców, więc ból po ich stracie stał się integralną, choć nie męczącą częścią mojej egzystencji. Chodzi o znacznie świeższe rany, o kobietę imieniem Naomi, którą pokochałem i utraciłem tak nagle, gdy zastrzelono ją w ciasnym ciemnym biurze. Zdaję sobie sprawę, co powinienem w tej sytuacji zrobić. Patrząc na sprawę z terapeutycznego punktu widzenia, muszę jak najczęściej wspominać te chwile, targające mną uczucia, by

stawiać czoło traumie, licząc na to, że czas zdoła zagoić wszystkie rany.

Niestety nie mam już czasu. Siedemdziesiąt siedem dni, w zasadzie już tylko siedemdziesiąt sześć, mniej niż trzy miesiące... ale kto by to liczył?

Nie mam już czasu.

Spycham więc te wspomnienia poza krawędź postrzegania i obracam się na bok, by przemyśleć szczegóły nowej sprawy.

CZEŚĆ DRUGA

# Długa droga

Czwartek, 19 lipca

Rektascensja 20 06 33,0

Deklinacja -59 53 12

Elongacja 141,0

Delta 0,863 j.a.

# 1.

- Jasne, że go znam. Poważny facet. Szeroki w barach.
- Zgadza się - przyznaję, pokazując zdjęcie poszukiwanego i złowionej przez niego ryby. - Nazywa się Brett Cavatone.
- Skoro pan tak twierdzi. Jeśli dobrze pamiętam, nie doszliśmy do etapu wymiany nazwisk.

Mleczarz wygląda jak dawny nowoangielski farmer z bajki. Na głowie przekrzywiona czapka à la John Deere, ogorzałe od słońca czoło, bruzdy pod oczami głębokie jak nadmorskie klify. Stoję przy jego stoisku w jednym z miejsc odwiedzanych podczas zakupów przez poszukiwanego, on siedzi za podniszczonym stolikiem pod ręcznie wypisanym szyldem, mając w zasięgu ręki kilka wypełnionych lodem turystycznych chłodziarek, przepastnych niczym ładownie parowca.

- Często tu bywał? - pytam.
  - Prawie codziennie, więc raczej tak.
  - Był w ostatni wtorek?
  - We wtorek? - Waha się przez moment, potem kręci głową.
  - Nie.
  - Nie pytam o wczoraj, tylko o wtorek. Dwa dni temu. Staruszek odchyła czapkę jeszcze dalej.
  - Wiem, jaki jest dzisiaj dzień, młodzieńcze.
- Uśmiecham się pod nosem, zerkam w kierunku lodówki. Dziadek sprzedaje mleko na słoiki i osełki masła zawinięte

w woskowany papier. Na arkuszu kartonu wypisał, co chce w zamian: „Karma dla kurczaków w dowolnej ilości”. Świeże owoce i soki, też „każdą ilość”. Bieliznę z podanymi rozmiarami.

- Przepraszam, że tak naciskam, ale to ważne. Jest pan całkowicie pewien, że nie było go tutaj we wtorek rano?

- Pewna jest tylko śmierć i zmartwychwstanie Pana naszego Jezusa Chrystusa - odpowiada farmer, unosząc wzrok ku stropowi piwnicy zajazdu Elks i znajdującemu się nad nim niebu, a potem opuszcza głowę, by zmierzyć spojrzeniem Houdiniego, który obwąchuje masło. - Ale nie, wczoraj go nie widziałem.

Mleczarz zatrzaskuje wieko lodówki, a ja i pies oddaliśmy się, klucząc pomiędzy rzędami chaotycznie porozstawianych stoisk tego bazaru. Tłoczno tutaj, lecz spokojnie. Ludzie w pojedynkę albo grupkami chodzą od stolika do stolika, mamrocząc słowa powitania, potakując, targując się półgłosem. Obserwuję szczupłą piegowatą kobietę, która przygląda się rozbieganym wzrokiem rozłożonym na blacie towarom: podnosi kostkę mydła, odkłada ją, szepcze coś do przysadzistego właściciela stoiska, który potrząsa przecząco głową.

Przechodzimy z Houdinim na drugi koniec pomieszczenia, lawirując pomiędzy usypanymi wprost na podłodze stosami wszystkiego, co dusza zapragnie. Zniszczone obudowy komputerów i telefonów, puste wiadra i sflaczałe piłki, całe góry niepotrzebnych nikomu rupieci wyszabrowanych kiedyś

ze sklepów i supermarketów: kartki z życzeniami, okulary do czytania, kolorowe czasopisma. Naprawdę wartościowe towary kryją się na porządnym stoiskach: nabiał, wędzone mięso, puszki i otwieracze do nich, butelki wody i napojów gazowanych. Wszystko to można dostać w barterze, wymieniając na inne dobra, choć na niektórych straganach widać jeszcze karteczki z cenami datowane na szczyt hiperinflacji, na czasy sprzed upadku gospodarki opartej na papierowym pieniądzu: kostka mydła 14 500 \$, makaron z serem pudełko 240 000 \$, nad ceną strzałka z dopiskiem: „Nie ma już makaronu z serem”. Za blatem niezagraconego stoiska widzę postawnego faceta ubranego w myśliwską kurtkę. Stoi ponury jak chmura gradowa pod napisem głoszącym: GENERATORY.

- Banany - informuje półgłosem przemykający obok niechluj w wiatrówce i czapeczce. - Chcesz?

- Nie, dzięki.

Oddala się, podnosząc głos:

- Naprawdę dobre banany!

Obchodzę całe to pomieszczenie, pokazując zdjęcie Bretta, pociągając szabrowników za rękaw, klepiąc po ramionach obdartych sprzedawców, znosząc ze spokojem ich obojętność albo wręcz pogardliwe reakcje, zachowuję się jak przystało na imitację telewizyjnego detektywa.

- Przepraszam, widział pan może tego człowieka?

Wszyscy, których o to pytam, odpowiadają podobnie jak mleczarz, zwięźle i mało konkretnie. Tak, widzieli go. Tak,



często tutaj zaglądał. Jedna z handlujących, napastliwa kobieta oferująca aż trzy rodzaje suszonego mięsa oraz Biblię z laminowanymi stronicami, miło wspomina Bretta - twierdzi, że był jednym z jej najlepszych klientów.

- Nigdy nie dobiliśmy żadnego targu? - stwierdza nagle, zmieniając stwierdzenie faktu w pytanie, a robi to bez wysiłku, najzwyczajszą zmianą tonu, jakim wypowiada ostatnie słowa. - Ale modlimy się wspólnie któregoś ranka?

- O co, szanowna pani?

- O spokój - odpowiada. - O spokój dla nas wszystkich?

Idę dalej. Obchodzę bazar, sprawdzając kram po kramie. Wygląda na to, że Brett robił dokładnie to, co mu kazał Rocky Milano: targował się z farmerami, złodziejami i szabrownikami o potrzebne w pizzerii składniki, przekopywał stosy rupieci w poszukiwaniu rzeczy mogących się przydać w restauracji: papieru toaletowego, płynu do mycia naczyń, świec, drewna na opał, talerzy i łyżek. Nikt go jednak nie widział we wtorkowy ranek.

Im dłużej tam siedzę, tym tłoczniej się robi, tłum gęstnieje z każdą godziną, jest także coraz głośniejszy. Nagle słyszę wrzaski, dwaj mężczyźni zaczynają się okładać pięściami nad kocem pełnym zwykłych rupieci. Ścierają się o podniszczony futbolowy kask Sokołów. Właściciel tego złomu także podnosi raban. W mgnieniu oka walczący zostają otoczeni przez chmarę ostrzyżonych na jeża wyrostków wyglądających jak drużyna rugbyistów, którzy z chóralnym

„won, won, won” na ustach zaganiają awanturników do wyjścia.

Na kramiku ozdobionym szyldem z napisem RÓŻNOŚCI otyła kobieta z upiorną szopą skłębionych rudych włosów pali cienkiego, za to długiego papierosa.

- Przepraszam - zagaduję ją. - Czy ma pani jakieś zabawki?

- Chodzi ci o... - zniża znacząco głos. Papieros kołysze jej się w kąciku ust - ...broń?

- Nie - odpowiadam. - Szukam konkretnej zabawki. Dla przyjaciela.

Zniża głos jeszcze bardziej:

- Zatem chodzi o seks?

- Nie. Nieważne. Dziękuję.

Cofając się, wpadam na kogoś. Odwracam się więc szybko z grzecznym „Przepraszam”. To jeden z handlarzy, lecz nie odpowiada podobnie uprzejmie, stoi tam tylko z rękami założonymi na piersi, muskularny i ponury. To zwykły zbir z łzami wytatuowanymi pod świńskimi oczkami. Tacy jak on zmierzyli mnie uważnymi spojrzeniami, gdy tutaj wchodziłem, trzy razy zapytali też, skąd znam McGully’ego, sceptycznie przy tym taksując stary ekspres do kawy, który przyniosłem - bardzo niechętnie - na ewentualną wymianę.

A teraz ten znów mierzy mnie wzrokiem: patrzy na marynarkę, na policyjne buty. Zalatuje od niego porannym piwskim i jakimś olejkiem, którym napomadował włosy.

- Dzień dobry - mówię.

- Masz już wszystko, czego ci trzeba? - pyta grobowym

głosem.

Chwytam aluzję.

- Chodź, staruszkę - rzucam do Houdiniego. - Czas się zbierać.

\* \* \*

W połowie drogi pomiędzy bazarem Elks a moim kolejnym przystankiem zsiadam z roweru w samym centrum miasta, by ominąć opustoszały ciąg Main Street z powybijanymi szybami, rozszabrowanymi sklepami i parami podpitych nastolatków kopulujących na ocalałych ławkach. To wymarła okolica. Coś na kształt westernowych miasteczek, które zachowano w formie skansenu. Tutaj mieściła się kiedyś księgarnia. Dawno temu w tym miejscu znajdował się sklep z pamiątkami. W odległych czasach była tu stacja Citigo.

Przez dłuższą chwilę przyglądam się głównemu wejściu na komendę miejską policji, ale nie decyduję się wkroczyć w jej mury. Jako zaprzysiężony funkcjonariusz popychałem te drzwi, rzucałem zdawkowe powitanie znużonemu recepcjoniście za kuloodporną szybą, po czym szedłem, by odebrać przydział na kolejny dzień służby. Jako dzieciak popychałem te drzwi obiema rękami, a zawsze uśmiechnięta recepcjonistka była moją mamą.

Dzisiaj, w zupełnie innym świecie, przechodzę tędy ze spuszczoną głową, anonimowy, nie rzucający się w oczy, okrążam budynek, trzymając się za ustawionymi co dziesięć metrów betonowymi blokami, honorując umieszczone na

nich ostrzeżenia. Dachy upstrzonego antenami i pomrukującymi leniwie generatorami pilnują odziani na czarno uzbrojeni w broń automatyczną funkcjonariusze, którzy omiatają okolicę czujnym wzrokiem, jakby strzegli oblężonego konsulatu w ogarniętym chaosem kraju Trzeciego Świata. Docieram tak do miejsca oddalonego o pół przecznicy od School Street, prawie przy siedzibie YMCA, i tam kulę się za kubłem.

- No dalej - rzucam wpatrzony w podnoszoną bramę, która jest teraz na wpół otwarta, dzięki czemu odsłania nowo zbudowaną rampę załadunkową w miejscu, gdzie kiedyś mieściły się nasze warsztaty samochodowe. - Pospiesz się, dziewczyno.

Zmiany kadrowe w ostatnich miesiącach przetaczały się jak przysłowiowe tsunami, policja zmieniała oblicze, skupiając się na jednym podstawowym celu - nie chodziło już o zapobieganie przestępczości, rozwikływanie spraw i zamykanie winnych, tylko o utrzymanie przy życiu jak największej liczby ludzi i zapewnienie im bezpieczeństwa. O ocalenie ich, by mogli zginąć, jak to trafnie podsumował McGully. Tak się składa, że mam tam jeszcze jedną znajomą z dawnych czasów, która wciąż służy i co ciekawe, właśnie uzależnia się od palenia tytoniu. Tak jej się to spodobało, że każdego dnia musi wyskoczyć na dymka punktualnie w południe.

Sprawdzam zegarek.

- Gdzie jesteś?

Ktoś podciąga bramę do samego końca, z rampy opada para metalowych podestów. Gliniarze schodzą z cementowego podwyższenia na poziom ulicy, siadają na paletach i wózkach, rozmawiają ze sobą albo przez krótkofalówki. Wyłażę zza kubła i choć jest to ryzyko, ruszam wolno w głąb uliczki, dopóki nie udaje mi się wślizgnąć w puste teraz wejście lodziarni Granite State. Ruch na rampie narasta, gliniarze wychodzą z budynku, znikają w nim ponownie, jak roboty, jak mrówki, do których upodabniają ich lśniąca w słońcu czarne pancerze.

- Witaj, detektywie Palace, jak tam emeryturka?

Pojawia się dokładnie o czasie, jak zwykle uśmiechnięta. Mierzy nie więcej niż pięć stóp nawet w tych ciężkich buciorach, bez trudu mieści się więc w wąskim wejściu. Podnosi pleksyglasową osłonę kasku, by zrobić miejsce dla południowego papieroska.

- Funkcjonariuszko McConnell - odpowiadam - potrzebuję twojej pomocy.

- Naprawdę?

Dostrzegam ekscytację zgaszoną niemal natychmiast obawą. Dobrze mi się współpracowało z Trishą, najpierw podczas wspólnych patroli, potem w czasie krótkiej kariery detektywa. Teraz jednak wszystko się pozmiało.

- Okay - rzuca, zaciągając się dymem - ale uprzedzam, jeśli sierżant zauważy, że rozmawiamy, będę musiała udawać, że trafiłam na włóczęgę, a to może się skończyć użyciem tasera. Wybacz, jeśli do tego dojdzie.

- Który sierżant? Gonzales?

- Nie. Belewski. Gonzales? Stary, Carlosa już dawno u nas nie ma. Nie, teraz jest Belewski. Nie znasz go, to menda, która tylko patrzy, kogo by się pozbyć, a nas, starych wyjadaczy, nie lubi najbardziej.

Daje mi znak, więc opuszczamy wnękę wejścia do lodziarni i ruszamy uliczką, oddalając się od komendy.

- Ten Belewski to były fedzio? - pytam. - Spoza miasta?

- Nie mogę ci tego powiedzieć.

- Wojskowy?

- Nie mogę ci tego powiedzieć, detektywie. U ciebie wszystko w porządku?

- Z czym?

- Masz co jeść?

- Tak. Pracuję właśnie nad nową sprawą.

- Okay - rzuca i przechodzi na bardziej służbowy ton. - O co chodzi? Jakies podpalenie?

- Zaginiona osoba.

- Żartujesz? Każdy zna kogoś zaginionego.

- Wiem - odpowiadam. - Ale ten przypadek jest inny.

- Naprawdę? Ostatnimi czasy wielu ludzi znika. Nie doliczysz się połowy mieszkańców wschodniej półkuli.

Zatrzymujemy się przed budynkiem, w którym mieściła się dawniej restauracja Subway. Witryny są porozbijane, meble wewnątrz poniszczone, wszędzie pełno graffiti.

- Mówisz o uchodźcach - poprawiam ją - a ja mam białego trzydziestotrzylatka, szczęśliwego małżonka z dobrze płatną

pracą.

- Z dobrze płatną pracą? Czyś ty się upił? Wiesz, jaki mamy dzisiaj dzień?

- Wyszedł z miejsca pracy za piętnaście dziewiąta rano i nie wrócił.

- Z miejsca pracy?

- Z pizzerii.

- Boże. Może porwano go do innego wymiaru. Sprawdziłeś już w innych wymiarach?

Grupka policjantów statecznie przechodzi ulicą, rozbite szkło chrzęści im pod butami. Jeden z nich waha się przez moment, obrzucając nas ostrym wzrokiem, ale rusza dalej, gdy Trisha odpowiada podobnym spojrzeniem, a potem kiwa głową, jakby odwzajemniała powitanie. Nie poraziłaby mnie taserem - taką mam przynajmniej nadzieję. McConnell wygląda teraz inaczej niż kiedyś, bardziej dorośle, jej niski wzrost i kucyk, które nieodmiennie kojarzyły mi się z młodością, tego ranka zdają się dodawać jej powagi.

- Chodźmy - proponuje, gdy jej koledzy znikają z pola widzenia. - Nie tkwijmy w miejscu.

Gdy okrążamy komendę, wprowadzam ją w swoje śledztwo, opisując wszystko, co zapamiętałem: Marthę Cavatone, jej rozbiegany wzrok, załamywanie rąk, Rocky'ego Milana i wyzywająco gwarną pizzerię, którą prowadzi, nocną wizytę Jeremy'ego Canlissa i rzuconą przez niego mocną sugestię, że Brett ma kochankę.

- Wychodzi na to, że facet zniknął, ponieważ chciał sobie

użyć. Albo schlał się i leży na jakiejś plaży. W czym problem?

Zatoczyliśmy pełen krąg i znów stoimy koło kubła, za którym wcześniej się ukryłem, obok wysypujących się na wszystkie strony śmieci. Góruję nad McConnell o jakieś półtorej stopy, więc musi zadzierać głowę, by spojrzeć mi w twarz, a gdy to robi, widzę za jej plecami gmach komendy, który wygląda jak budowla z innej planety.

- Facet był gliniarzem - dodaję. - I mężem.

- Tak?

Krótkofalówka McConnell wydaje serię trzasków, więc zerka na nią, a potem przenosi wzrok na rampę załadunkową, przy której roi się teraz od policjantów.

- Tak. Ze stanowej.

Spogląda na mnie z początku niepewnie, lecz zaraz dostrzegam zmianę na jej twarzy.

- Chcesz jego akta.

- Tylko jeśli...

- Ty dupku.

Kręci głową, ale ja naciskam nadal, choć źle się z tym czuję, ale co mogę zrobić? Tylko ona została na służbie.

- Concord jest teraz stanową kwaterą główną, jeśli się nie mylę? Dlatego powinniście mieć w podziemiach każdy dokument dotyczący funkcjonariuszy służących w terenie. Jest tam wszystko, co dotyczy stanu New Hampshire.

McConnell odpowiada, wolno cedząc słowa:

- Teraz jest u nas zupełnie inaczej, Hank. Nie możesz zejść do podziemi i wypełnić formularza u tego, jak mu tam było...



Wilentza?

- Tak, Wilentza.

Nie wygląda na rozeźloną, tylko na smutną. Zrezygnowaną.

- Nie możesz ot, tak zejść na dół, wypełnić formularza dla Wilentza, który najpierw zasypie cię idiotycznymi kawałami, a potem każe ci podziwiać kolekcję tych durnych czapek. Żeby dostać się do jakichkolwiek akt, muszę najpierw poprosić o zgodę trzech zupełnie mi obcych przełożonych, podając im szczegółowe powody takiego żądania. Jeśli to zrobię, natychmiast wylecę na zbity pysk. Znajdę się na ulicy i będę robiła to co ty teraz.

- Czytam - zażartowałem. - Uczę psa nowych sztuczek.

- Psa należącego wcześniej do handlarza narkotyków? I jak ci idzie?

- Marnie.

- Oni mi płacą, Palace. Wiesz o tym, prawda? Tylko dlatego noszę jeszcze ten mundur. - Wypluwa ostatnie słowo gniewnie, jakby miała na myśli nowotwór. - Gdy zawyje syrena, pojawi się ciężarówka. - Zerka na zegarek. - Za jakieś czterdzieści pięć sekund. A dopóki noszę odznakę, będę miała działkę z tego, co zostanie przywiezione: żarcie, wodę, inne potrzebne rzeczy. Tak to teraz działa. Tylko dlatego ktoś jeszcze pilnuje przestrzegania prawa.

- Wiem.

- Naprawdę? Nie mogę stracić tej roboty.

Córka McConnell, Kelli, ma dziewięć lat. Robbie chyba pięć. Ich ojciec zmył się cztery lata temu, na długo przed

pojawieniem się asteroidy i bajzlu, jaki później nastął. „Barry ruszył w świat – powiedziała mi kiedyś McConnell – zanim stało się to modne”.

- Przepraszam – mówię. – Powinienem był o tym pomyśleć.

- Nie ma sprawy.

- Ale naprawdę mi przykro.

- Hank – odzywa się do mnie ciszej, zupełnie innym tonem.

- Tak?

- Gdy przyjdzie odpowiedni czas, wezmę dupę w troki i prysnę do jakiejś posiadłości w samym środku lasów, pewnie gdzieś w zachodniej części Massachusetts. I zabiorę cię z sobą. Co ty na to?

- Mnie to pasuje – odpowiadam. – Brzmi nieźle.

W tym momencie McConnell wyciąga rękę szybkim ruchem i szarpie mnie mocno za wąsa.

- Hej!

- Wybacz. Zawsze chciałam to zrobić. *Carpe diem*, tak?

- Tak.

Rozlega się wycie syreny, głośne i natarczywe, urządzenie ostrzegające o nadejściu tornada odzywa się gdzieś na dachu komendy. McConnell przeklina pod nosem, a jej walkie-talkie natychmiast ożywa, wypluwając z siebie krótki kod.

- Zespół cztery-zero-dziewięć do alfy. Zespół sześć-zero-czterdzieści do alfy.

Nie rozpoznaję tego kodu, więc pytam Triszę, co oznacza.

- To znaczy, że mam czterdzieści sekund na powrót do jednostki. – Zaciska zęby, spoglądając na mnie i potrząsając

głową. – Jak nazywa się ten facet?

– Cavatone.

– Był funkcjonariuszem?

– Kilka lat temu. Ale zapomnij o nim, jeśli to taki problem.

Źle się z tym czuję. Trisha ma rację. Nie powinienem stawiać jej w tej sytuacji. Pamiętam jej dzieciaki takimi, jakie były kilka lat temu, kiedy nie mogła znaleźć dla nich opiekunki, więc zabrała je na przyjęcie z okazji przejścia kogoś na emeryturę. Kelli, zamyślona dziewczynka o mądrym spojrzeniu w zielonej koszulce Hello Kitty, i Robbie wiecznie ssący kciuk.

– Zachodnie Massachusetts, detektywie – rzuca McConnell.

– Ty i ja.

Posyła mi oczko i opuszcza osłonę kasku, uśmiechając się szeroko. Widzę to po wyrazie jej oczu. Rusza biegiem, gdy dostrzega w oddali osiemnastokołowiec, którego kierowca z trudem parkuje tak wielki wóz w wąskim zaułku. Policjanci jak rój owadów żerujących na zwłokach padłego zwierzęcia otaczają natychmiast metalowe burty.

– Trisha – wołam za nią, nie mogąc się pohamować. – Jeśli na tym wozie jest kawa...

Nie zwalniając, pokazuje mi środkowy palec i znika w stadzie podobnych jej gliniarzy.

\* \* \*

Nico, moja siostra, mieszka teraz w sklepiku z używanymi ciuchami przy Wilson Avenue. Tam właśnie zaszyła się

z bandą zarośniętych niechlujnych paranoików. Moja siostra. Zagałdam tam co kilka dni Nie pukam do drzwi, nie wchodzę do środka. Staję po drugiej stronie ulicy albo w wiecznie pokrytej błotem alejce na tyłach budynku i nadstawiam ucha przy uchylonym oknie, próbując wychwycić jej głos lub dostrzec sylwetkę. Dzisiaj wybrałem siedzenie na ławce przystanku autobusowego z liczącym pół roku numerem „Popular Science”, którym przesłaniałem twarz jak jakiś szpieg.

Ostatni raz rozmawiałem z Nico Palace w kwietniu. Stała wtedy na werandzie mojego domu w dżinsowej bluzie, napawając się tym, jak wykorzystwała ufność starszego brata policjanta, by zdobyć zastrzeżone informacje o zabezpieczeniach bazy gwardii narodowej przy Pembroke Road. Wykorzystała do tego nie tylko mnie, ale też własnego męża Dereka, który został już z tego powodu stracony albo odsiaduje dożywocie. Byłem tyleż zaskoczony co wkurzony i powiedziałem jej o tym, na co zapewniła mnie, pusząc się jeszcze bardziej, że narobiła tego zamętu w szczytnym celu. Stała na moim ganku, paląc american spirits, ze wzrokiem zamglonym myślami o wielkim spisku, twierdząc, że ona i jej anonimowi towarzysze robią co mogą, by nas wszystkich uratować.

Chciała, abym opowiedział jej o wszystkim, lecz nie dałem jej tej satysfakcji. Zamiast tego usłyszała, że przedsięwzięcie, w którym bierze udział, jest największą bzdurą, o jakiej

w życiu słyszałem. Od tamtej pory nie odezwała się do mnie słowem.

Właśnie dlatego siedzę tutaj dzisiaj, przewracając kolejne kartki „Popular Science”, czytając po raz milionowy artykuł o składzie skał pod dnem mórz indonezyjskich i o tym, jaki to będzie miało wpływ na resztę planety, gdy zderzenie z asteroidą wyrzuci je w atmosferę. Siedzę tutaj, by zyskać pewność, że Nico jest bezpieczna. Gdy zniknęła kiedyś na dwa dni, byłem tak przerażony, że spędziłem całe trzy godziny skulony w tej brudnej tylnej alejce, podsłuchując rozmowy jej towarzyszy niechlujów, dopóki któryś nie wspomniał, że musiała wyjechać do Durham, by pogadać z inną bandą utopijnych rewolucjonistów z tak zwanej Wolnej Republiki New Hampshire.

Szczegóły mnie nie obchodziły, chciałem tylko się upewnić, tak jak dzisiaj, że nic jej się nie stało.

W końcu widzę, że drzwi frontowe się otwierają i staje w nich dwudziestokilkuletni facet z przetłuszczonymi włosami, wylewający na trawnik wiadro cieczy – która może być uryną, olejem albo wodą z bongo. Za nim dostrzegam Nico, wychudzoną, bladą, z nieodłącznym papierosem.

Chciałbym zostawić siostrę z tą bandą durniów, by mogła realizować idiotyczny plan. Chciałbym przestać się martwić tą latającą figą, jak zwykł mawiać nasz ojciec o własnym samolubnym, wiecznie nadąsanym dziecku. Ale to przecież moja siostra. Nasi rodzice już nie żyją, podobnie jak dziadek

ze strony ojca, który nas wychował, więc na mnie spoczywa  
teraz obowiązek utrzymania jej przy życiu.

## 2.

- Siadaj, gdzie chcesz, skarbie.

To czas lunchu, ale Culverson i McGully nie przyszli, więc lekko zaniepokojony wsuwam się na siedzisko przy kontuarze. Za każdym razem gdy nie widzę kogoś, kto powinien gdzieś być, w głębi umysłu rodzi mi się przekonanie graniczące z pewnością, że albo nie żyje, albo zaginął.

- Jeszcze wcześniej. - Ruth-Ann czyta mi w myślach, podając dzbanek gorącej wody i trzy torebki herbaty. - Na pewno przyjdą.

Przyglądam się, jak wraca za kontuar. Asteroida zniszczy Ziemię, pozostawiając za sobą jedynie tę kobietę. Ruth-Ann będzie dryfować w niekończącej się czerni kosmosu, ściskając w ręku ten dzbanek.

Na ladzie leży pożegnalny numer „Monitora Concord” z niedzieli przed czterema tygodniami. Podnoszę go i otwieram, choć przeczytałem to wydanie od deski do deski, i to ze sto razy co najmniej. Amerykańskie bombardowania instalacji atomowych, celów wojskowych i cywilnych w całym Pakistanie. Nowo powołana komisja Mayfaira żąda nieograniczonego dostępu do archiwów Spaceguard Survey i obserwatorium Arecibo w Portoryku. Wielki dwunastopokładowy wycieczkowiec pływający pod norweską banderą zawinął do Oakland Harbor z prawie dwudziestoma

tysiącami uchodźców z Azji Środkowej upakowanych jak zwierzęta.

Na ostatnich stronach jest także długi artykuł o studentce prawa z Bostonu, która zdecydowała się pojechać na wschód, do Indonezji, aby zobaczyć na własne oczy, jak będzie przebiegał koniec świata. Tekst został napisany w bardzo lekkim, niemal ironicznym tonie oprócz tych fragmentów, w których zacytowano wypowiedzi przerażonych rodziców bohaterki.

No i najważniejsze: w lewym dolnym rogu pierwszej strony krótka notka z przeprosinami od wydawcy – brakuje nam środków, ludzie poodchodzili, więc z żalem informujemy, że z tą chwilą kończymy...

Akurat gdy Ruth-Ann ustawia moją filiżankę na spodku, z zewnątrz dobiegają jakieś hałasy, po czym ktoś z hukiem otwiera frontowe drzwi. Obracam się na siedzisku, potrącając naczynie łokciem i rozbijając je w drobny mak. Kelnerka wyciąga spod lady solidną dwururkę, jak w jakimś kryminale, i mierzy z niej w kierunku wejścia.

- Stój! - odzywa się do roztrzęsionej kobiety. - Kim jesteś?

- Spokojnie - rzucam, ześlizgując się ze stołka, by zasłonić przybyłą. - Ja ją znam.

- On wrócił, Henry - mówi Martha pospiesznie płaczkliwym tonem, twarz jej przy tym płonie. - Brett wrócił do domu.

\* \* \*



Jakimś cudem udało mi się usadzić Marthę Milano na ramie roweru. Odwiozłem ją do domu, jak robiło się dawnymi czasy z dziewczynami. Gdy tylko znaleźliśmy się w środku, gdy zatrzasnęła drzwi i pozasuwała cały rząd zamków, popędziła prosto do schowka w kuchni, tego, w którym trzymała stos papierosów, ale zatrzymała się tam, pacnęła dłonią w udo i wróciła do salonu, gdzie opadła ciężko na sofę.

- Był tutaj?

Martha przytakuje skwapliwie, niemal gwałtownie, oczy ma przy tym wielkie jak spodki, zupełnie jak przerażone dziecko.

- Stał tam gdzie ty teraz. Dzisiaj rano. Bładym świtem.

- Rozmawiałaś z nim?

- No... nie. - Potrząsa głową, znów zaczyna obgryzać paznokieć. - Nie miałam szansy, bo zaraz zniknął.

- Zniknął?

Martha wykonuje gest jak magik, który sypie na scenę magiczny proszek i bum!

- Stał tam, a potem... zniknął.

- Rozumiem - mówię.

Pomieszczenie wygląda dokładnie tak samo jak ostatnim razem. Za to Martha zmieniła się nie do poznania. Jest znacznie bardziej roztrzęsiona niż podczas naszego poprzedniego spotkania, skórę ma bledszą, poznaczoną czerwonymi plamkami, jakby wyciskała sobie pryszcze na twarzy. Włosów chyba nie myła i nie czesała od jakiegoś czasu, sterczą więc na wszystkie strony, gęste i skołtunione. Zaczynam czuć obawę, że jej strach po zniknięciu męża

zmienia się w coś poważniejszego, gorszego, bliższego czarnej rozpacz, a nawet szaleństwa.

Wyciągam notes, otwieram go na czystej stronie.

- O której godzinie go widziałaś?

- Bardzo wcześnie. Sama nie wiem. Może o piątej? Ciężko powiedzieć. Możesz mi nie wierzyć, ale przyśnił mi się. Mam taki sen, w którym podjeżdża pod dom tym swoim starym radiowozem, z włączonym kogutem. Wysiada w tych ciężkich buciorach, wyciąga do mnie ręce, a ja pędzę, wpadam mu w ramiona.

- Fajny sen - podsumowuję, widząc tę scenę w głowie, jakbym oglądał film. Granatowy wóz policyjny, kogut co rusz rozświetlający chodnik. Martha i Brett padający sobie w ramiona.

- Ale tym razem obudził mnie jakiś hałas. Dobiegał z dołu. Mocno się wystraszyłam.

- O jakim hałasie mówisz?

- Sama nie wiem - mamrocze. - Stuknięcie. Trzask. Coś w tym stylu.

Nie komentuję tych słów. Przypominam sobie nocne najście i Jeremy'ego Canlissa wpadającego na odstożnik pana Morana. Martha jednak mylnie ocenia moje milczenie i natychmiast zmienia bieg, jej głos staje się bardziej łamiący.

- To był on, Henry. Wiem, że to był on.

Nalewam jej szklanek wody. Proszę, by opowiedziała wszystko raz jeszcze, od samego początku, a sam robię

dokładne notatki. Usłyszała hałas, zapaliła świecę, przystanęła u szczytu schodów wystraszona jak diabli, dopóki dźwięk się nie powtórzył. Bała się odezwać, ponieważ myślała, że ma do czynienia z jakimś drabem, więc wołała, by ją okradł, niż zgwałcił albo zabił. Gapiła się więc z piętra, dopóki go nie rozpoznała.

- Widziałaś jego twarz?

- Nie. Ale to był... on. Ta sama sylwetka. To samo ciało.

- Rozumiem.

- Niski, ale postawny. To był on. - Przytakuje, czekam, więc Martha mówi dalej: - Wykrzyknęłam jego imię, zbiegłam na dół, ale jak już mówiłam, on... - Ukrywa twarz w dłoniach. - On już zniknął.

Napięcie z niej uchodzi, Martha zapada się w sobie, a ja zastanawiam się gorączkowo, o co tu biega. Staram się znaleźć najrozsądniejsze wytłumaczenie. To mógł być zwykły włamywacz, ostatnio mamy plagę ludzi, którzy nie chcą umierać jako biedacy. Facet, który spanikował, zaskoczony dziwną reakcją ofiary.

Równie dobrze to zdarzenie mogło nie mieć miejsca. Porzucona kobieta tak desperacko pragnąca odzyskać męża mogła to sobie wymyślić. Obchodzę wszystkie pomieszczenia na parterze, jak rasowy gliniarz. Łażę na czworakach, poszukując na grubej wykładzinie odcisków butów. Sprawdzam po kolei okna, przesuwam opuszkami palców po każdej ramie. Żadne nie było otwarte, żadne nie zostało uszkodzone. Nie znajduję śladów włamania, żadnych

odłamków szkła na dywanie, żadnej rysy na zamkach. Jeśli ktoś tutaj wszedł, musiał posłużyć się kluczami. Zatrzymuję się przy drzwiach, przesuwam dłonią po kolumnie zasuwek i łańcuchów.

- Zamykasz te drzwi na noc, Martho?

- Tak – odpowiada. - Tak, my zawsze... ja zawsze...

Milknie, przygryza wargę, jakby właśnie zrozumiała, do czego zmierzam. Brett nie mógłby przekroczyć tego progu, gdyby go sama nie wpuściła.

- Są jeszcze okna - dodaje.

- Wiem. Ale i one są pozamykane. - Przeczyszczam krtań. - Wszystkie.

- No tak. Ale... - Rozgląda się bezradnie po niewielkim domu. - Ale to był przecież jego dom. To on zamontował te wszystkie zamki, zasuwę i... Poza tym to przecież Brett, gdyby zechciał, mógłby tu wejść, nie?

- Czy ja wiem? - mruczę. - Ale tak, w sumie wszystko jest możliwe.

Nie mam pojęcia, co jeszcze mógłbym jej powiedzieć. Sądząc po minie, święcie w to wierzy, wbrew zdrowemu rozsądkowi i dowodom - a takie podejście irytuje mnie bardzo i wyczerpuje zarazem. Przypominam sobie McGully'ego kwestionującego moje motywy. „Nie znam takiej waluty jak przyjaźń”. Słyszę też słowa Trishy: „Sprawdzałeś już w innych wymiarach?”.

Za plecami Marthy na ścianie wisi płaski telewizor, chłodny ciemny prostokąt. Nagle uderza mnie jego straszliwa

bezużyteczność, oto odbiornik utraconych na zawsze sygnałów, wspomnienie wszystkiego, co jest już martwe, nagrobek wiszący na ścianie.

Martha mamrocze coś pod nosem, pociera policzki dłońmi, próbuje wziąć się w garść.

- Wiem, że to był on, Henry - powtarza. - Mówiłam ci, że wróci, i tak zrobił.

Obchodzę dom raz jeszcze, tym razem obserwując otoczenie z punktu widzenia mojej klientki. Brett wraca, ale nie próbuje się do niej zbliżyć ani odezwać. Dlaczego? Może dlatego, że to nie jest powrót, tylko próba uświadomienia jej czegoś. Chce dać jej coś do zrozumienia. Potakuję własnym myślom, wałkując ten temat po raz kolejny... okay, gdzie jest zatem owa wiadomość? Martha Cavatone leży na sofie z twarzą ukrytą w dłoniach, jej palce pną się od szczęki przez policzki aż po oczy, pną się jak grube winorośle po ścianie.

- On tu był - mamrocze, tym razem do siebie. - Wiem, że tu był.

- Tak.

- Co?

Wołam do niej z kuchni. Stoję w spiżarce. Podbiega do mnie, a ja odwracam się i patrzę jej prosto w oczy.

- Masz rację, Martho. On tu był. - Oddzieram perforowaną część stojącego na samej górze kartonu cameli. - Zobacz - mówię, a jej oczy robią się okrągłe jak spodki. - Zostawił ci wiadomość. Ukrył ją w miejscu, do którego jego zdaniem musiałaś sięgnąć.

Mało brakuje, abym wybuchnął śmiechem, ponieważ dokonałem tego przełomu w momencie, gdy uznałem, że nie mam najmniejszych szans na rozwikłanie tej zagadki - koniec, kropka. A tu proszę, mamy niepodważalny dowód. Na Boga w niebiesiech, jest na nim nawet data. Dziewiętnasty lipca. Dzisiejsza. Siadam obok niej na kanapie, aby przeczytać, co Brett Cavatone wykaligrafował na kartce.

GARVINS FALLS 17/2// PAN PHILLIPS// KOCHANIE MOJE  
KOCHANIE TYLKO MOJE

Jej strach znika w momencie. Martha wstaje, prostuje plecy, jest spokojna jak dawniej, twarz ma pogodną, oczy jej lśnią radośnie. Jej wiara została nagrodzona.

- Czy te słowa mają dla ciebie jakiś sens? - pytam.

- Tylko ostatnie - odpowiada cicho, niemal szeptem. - Kochanie, moje kochanie, tylko moje. Tak kiedyś do mnie mawiał. Zaraz po ślubie. Kochanie, moje kochanie, tylko moje. - Zabiera mi z ręki fragment kartonu na papierosy, czyta tekst ponownie, mamrocząc pod nosem. - Napisał to, abym wiedziała, że tu był.

- A co z resztą tekstu? Czym jest Garvins Falls?

- Nie wiem. To chyba... brzmi jak jakiś adres, ale nie znam takiego miejsca.

To jest adres. Garvins Falls Road to kręta droga w przemysłowej części miasta, na wschód od rzeki i na południe od Manchester Street. Najbardziej zapuszczona

część miasta, która upadła na długo przed wybuchem obecnego kryzysu.

- A co z panem Phillipsem?

- Nic.

- Jesteś pewna?

- Nie znam nikogo takiego.

Wyjmuję jej wiadomość z dłoni, ostrożnie, i czytam ją ponownie.

- Martho, chciałbym się upewnić co do jednego. Czy ktoś mógł wiedzieć, że twój mąż mówiąc kiedyś do ciebie, używał sekretnego kodu, wiesz: kochanie, moje kochanie, tylko moje?

- Sekretnego kodu?

Martha skupia na mnie wzrok, poznaję to lekko pogardliwe, ale też pełne zdumienia spojrzenie, którym patrzyła dawno temu, kiedy udawało mi się ją czymś zaskoczyć, na przykład mówiąc uprzejmym tonem: „Nie, dziękuję”, gdy oferowała mi drugą szklanekę mleka czekoladowego, albo gdy wyłączałem telewizor natychmiast po upływie czasu wyznaczonego na oglądanie.

- To żaden sekretny kod - wyjaśnia Martha. - Po prostu jedno z naszych powiedzeń. Takie czułe słówka. Przecież byliśmy zakochani.

- Też prawda - podsumowuję, chowając oderwany fragment kartonu do kieszeni. - Masz rację. Chodźmy.

### 3.

Zostawiamy rower przypięty do cementowego postumentu poidełka dla ptaków i ruszamy wspólnie z domu Cavatone'a w stronę Garvins Falls Road znajdującej się na skraju centrum miasta, przylegającej do wielu cichych zaułków, do dzielnicy pilnowanej obecnie przez liczne patrole straży sąsiedzkiej. Nieco bezpieczniejszej, choć gdzie dzisiaj jest naprawdę bezpiecznie?

W głowie kłębi mi się wir myśli.

Skoro to naprawdę był Brett, po co wrócił? Dlaczego zniknął i znów się pojawił? Kto porzuca żonę i wraca, by zostawić jej nowy adres?

Martha nie przejmuje się takimi detalami. Prze naprzód napędzana pokładami radości.

- Nie mogę w to uwierzyć - mówi, a właściwie piszczy jak nastoletnia uczennica. - Wejdziemy tam tak po prostu, a on będzie na mnie czekał. No nie do wiary.

Problem w tym, że ona w to wierzy. Naprawdę. Pędzi Main Street w kierunku mostu takimi susami, że muszę przyspieszyć kroku, by za nią nadążyć, choć mam o wiele dłuższe nogi. Obejmuję ją za ramiona, aby zwolniła choć trochę. Tak szybki marsz nie jest bezpieczny przy tyłu poluzowanych albo brakujących płytach chodnika. Martha ma na sobie zwykły czarny bawełniany dres, a ja mój wyjściowy garnitur, więc gdy dostrzegam nasze odbicia



w jednej z nielicznych ocalałych witryn dawnego Howager's Discount Store przy Loudon Road, stwierdzam, że wyglądamy jak para podróżników w czasie, jak ludzie wysłani w przyszłość z innej epoki, na przykład z szalonych lat dwudziestych albo z czasów powojennych, ot, jakiś facet i damulka, którzy wyszli na popołudniowy spacer, ale skręcili nie tam gdzie trzeba i trafili na gruzy rozpadającego się świata.

Na budynku przy Garvins Falls Road nie ma żadnego szyldu, który pozwoliłby nam ustalić, jaka firma mieściła się tutaj przedtem. Widzimy tylko numer „17” wymalowany rdzawą farbą wprost na ceglany murze. Lobby zostało rozszabrowane niemal do czysta, nie ma też windy - na jedynych przeciwpożarowych drzwiach w głębi dostrzegamy napis SCHODY, obok znajduje się zakratowane wejście do dźwigu towarowego.

- No tak - mruczę do siebie, rozglądając się wokół. - Okay.

Martha nie czeka jednak na mnie, już pędzi na koniec holu, już popycha drzwi prowadzące na schody. Cofa się jednak zaraz mocno zaskoczona, a i ja gwizdzę pod nosem na znak zdziwienia. Za drzwiami nie ma nic. Schody zniknęły, dosłownie zniknęły, widzimy jedynie pusty szyb i poręcz pnącą się do samej góry. Jakby stopnie stały się niewidzialne, jakby to była klatka schodowa dla duchów.

- Hm - mruczę.

Nie podoba mi się to. Ktoś to zrobił celowo, w celach obronnych, fortyfikując górne piętra.

Martha obejmuje się rękami, spogląda w górę mrocznego szybu.

- Musimy dostać się na górę - stwierdza. - Jak tam wejdziemy?

- Skorzystamy z windy towarowej. Ja pojedę pierwszy. Ty poczekaś tutaj.

- Nie. Muszę go zobaczyć. Nie mam zamiaru dłużej czekać.

- Nie wiemy, co tam zastaniemy, Martho.

- Jego zastaniemy - odpowiada hardo. - Brett tam jest.

Drzwi windy towarowej otwierają się natychmiast po naciśnięciu guzika. Martha mija mnie i wsiada, więc wchodzę za nią ze znajomym uciskiem na dnie żołądka, gdy kratownice zatraskują się za nami. Ruszamy w górę. Kabina ma w suficie świetlik, podobny znajduje się w szczycie szybu, więc docierające do nas światło jest podwójnie filtrowane, niczym blask odległej gwiazdy. Im wyżej podjeżdżamy, tym bardziej Martha pokornieje, wystarcza chwila, by znalazła się tuż przy mnie. Słyszę w mroku, jak mamrocze pod nosem słowa modlitwy, ale dochodzi jedynie do „w niebie i...”, wtedy bowiem kabina zatrzymuje się z mocnym szarpnięciem, po czym drzwi znów stają otworem, ukazując nam pomieszczenie pełne towarów. Są tu skrzynie, palety wyładowane słojami i puszkami, butelki wody, półki pełne kartonów. Moment później do windy wpada wyjący facet. Wali mnie prosto w brzuch, pozbawiając tchu i spychając w ciemny narożnik. Łąduje na mnie, chwyta dłońmi za twarz. Padam plecami na zakurzoną podłogę z gościem uczepionym

mojego gardła niczym wygłodniały pies albo nawet wilkołak. Jego kolana przyszpilają moje ramiona. Zatyka mi usta ręką, wbijając coś zimnego i twardego w skroń.

Próbuję się wyrwać. Usiłuję coś powiedzieć, lecz nie mogę. W przydymionym świetle widzę zmrużone błyszczące oczy napastnika.

- To zszywacz przemysłowy - syczy mi prosto do ucha - ale ulepszony. Podkręciłem mu trochę moc.

Przyciska tę broń jeszcze mocniej do mojej skroni, a ja, choć próbuję obrócić głowę, nie mogę nią nawet ruszyć. Kątem oka dostrzegam Marthę Cavatone, stoi tam przerażona z otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczami. Za nią pojawia się wysoka kobieta, jedną ręką pociąga za włosy, by odchylić głowę ofiary, drugą przykłada tasak do jej szyi. Przyjmują okrutną biblijną pozę: oto owieczka idąca na rzeź.

Znajdujemy się w kabinie windy, wszyscy czworo. Drzwi zamykają się i zjeżdżamy w dół, wsłuchując się w metaliczny chrzęst łańcuchów.

- Ta winda zjeżdża na parter w jakieś czterdzieści pięć sekund - mówi facet, dociskając mnie do podłogi całym ciałem. - Jak znajdziemy się na dole, otworzymy drzwi, wyrzucimy wasze ciała na zewnątrz i pojedziemy z powrotem na górę.

Martha wrzeszczy, próbuje się wyrwać przewyższającą ją kobiecie. Ja dyszę ciężko przez nos.

- Co się dzieje z ciałami, nie wiem. Na akty kanibalizmu jest chyba jeszcze zbyt wcześnie, ale kto to wie? Po prostu

znikają i już.

Facet ma szeroką kwadratową szczękę. Masywna twarda dłoń pachnie mydłem. Zacząłem liczyć sekundy w chwili, gdy się odezwał. Zostało mi ich jeszcze ze dwadzieścia.

- Podłączyłem ten zszywacz do silniczka od przycinarki, więc ma teraz niezłą moc. Mam też pistolety, ale oszczędzam amunicję, wiesz, jak jest.

Szczerzy się do mnie, ukazując białe zęby z szeroką furtką pomiędzy jedynkami. Winda zjeżdża, łańcuchy zgrzytają ogłuszająco, jakby miały zaraz popękać. T minus dziesięć sekund. T minus dziewięć, kto by liczył?

- Moja dziewczyna Ellen woli korzystać z rzeźnickiego noża. Wiesz, nie jest specjalnie kreatywna.

- Pieprz się, kutasie - warczy do niego kobieta trzymająca Marthę. Wydyma policzki, rzucając mi spojrzenie w stylu: uwierzyłbyś w coś takiego?

T minus dwie sekundy. Jedna. Winda zatrzymuje się z hukiem, aż mi kości grzechoczą. Zamykam oczy.

- Kim jesteś? - pyta facet, zabierając mi rękę z ust.

- Nazywam się Henry Pal...

W tym momencie strzela, słyszę suchy trzask, po którym eksploduje mi mózg. Wrzeszczę, odpowiada mi inny krzyk, z narożnika, to ta kobieta, Ellen. Wykręcam szyję, by spojrzeć w tamtym kierunku, ale przed oczami latają mi wyłącznie czerwone i złote gwiazdki. Martha gryzie napastniczkę w przedramię, wyrywa się.

- Kurwa! - wyje Ellen, unosząc tasak jak rasowy rzeźnik, na

co Martha reaguje wrzaskiem:

- Phillips. Pan Phillips!

- Oj - mruczy facet, zrywając się ze mnie. - Niech to szlag.

Ellen opuszcza nóż, dyszy ciężko, a Martha przypada do tylnej ściany windy, chowa twarz w dłoniach, łka.

To było hasło. No przecież. Pan Phillips. Palace, ty idioto.

Krew cieknie mi z głowy na czoło, zalewa oczy. Prostuję palec i przytykam go do rany: mam tam dziurę o średnicy dziesięciocentówki, ze skóry sterczy jakiś ostry przedmiot.

Napastnik ciska broń na podłogę windy.

- Ellen, wciśnij guzik, kochanie.

\* \* \*

Jest tu więcej dóbr, niż zauważyłem za pierwszym razem. Dużo więcej. Pomieszczenie pełne pudeł, a w każdym z nich cuda, naprawdę przydatne rzeczy. Baterie, żarówki, przenośne wentylatory, nawilżacze powietrza, batony, plastikowe utensylia, artykuły pierwszej pomocy, długopisy, ołówki i całe stosy papieru. Facet, ten sam, który strzelił mi w głowę przemysłowym zszywaczem, klepie mnie teraz po plecach, szczerzy się jak rekin i oprowadza po włościach.

- Nieźle, nie? - rzuca i zaraz sam sobie odpowiada, padając na obrotowe krzesło: - Jasne, że nieźle. Przejąłem cały Office Depot.

Zapyła na tym krzeselku przez pomieszczenie i cumuje za biurkiem w kształcie litery L, gdzie zakłada nogi na szklany blat i otwiera pudełko precli. Ja cały czas trzymam się za

zranioną skroń, czuję, jak krew ścieka mi aż na przedramię, pod koszulę. Martha cała się trzęsie, nie spuszcza wylęknionego wzroku z kobiety nadal trzymającej w ręku tasak. Kilka lat temu byłaby pewnie o tej porze w Market Basket, wybierając produkty na obiad, albo w banku. Było, minęło.

- Widzisz, mam przyjaciela - rzuca nasz gospodarz zza szklanego biurka. - W zasadzie znajomego, który wisiał mi kupę szmalu. Jakoś tak w grudniu. I wiesz, tknęło mnie wtedy przecucie, jak to się wszystko potoczy, znaczy ta sprawa z asteroidą. A wtedy kryła się jeszcze w cieniu, za Księżycem.

Gdy wspomniał o asteroidzie, dostrzegłem w jego oku dziwny błysk, jakby ten kataklizm miał być najlepszą rzeczą, jaka spotkała go w tym życiu. To znaczy koniunkcja. W grudniu asteroida 2011GV<sub>1</sub> była wciąż w koniunkcji, ukryta za Słońcem, niemożliwa do obserwowania. Wcale nie kryła się w cieniu Księżyca. Mój wzrok spoczywa na wodzie, na zgrzewkach po dziesięć butelek w każdej, widzę dwa takie stosy po dziesięć warstw. Dwadzieścia zgrzewek wody razy dziesięć razy dwa.

- No więc idę do tego biedaka i mówię mu: „Facet, zapomnij o kasie”. Wyobraź sobie, że ten ćwok, kiedy nie obstawiał błędnie zakładów, był kierownikiem Office Depot w Pittsfield. A problem ze sklepem polegał na tym, że nie mieli w nim nigdy za wiele wyposażenia dla biur. Tak naprawdę handlowali czym popadnie. - Gada, jakby zachęcał

kogoś do zakupów w tym markecie. Śmieje się, odrzuca do tyłu włosy sięgające ramion. - Chwilę później zaczęło się to gównno, powiedzieli, że świat się kończy, a ja zostałem paniskiem, nie? Miałem kopie wszystkich kluczy tego gościa, paru koleś, kilka ciężarówek pod ręką i parę kanistrów benzyny. - Puszczą do mnie oczko, potem wzrusza ramionami. - No i tak przejąłem Office Depot.

- My przejęliśmy, Cortez - poprawia go Ellen. - My.

Stoi przy drzwiach na opróżnioną klatkę schodową, wciąż trzymając tasak.

Cortez szczerzy się do mnie, przewraca oczami, jakbyśmy byli w zмовie, ja i on przeciw dziewczynom. Przyglądam mu się uważniej. Ma długie czarne włosy, wystające czoło, szeroką szczękę - przypomina mi gościa, który wpadł do nas, kiedy byłem jeszcze dzieckiem, znanego poetę. Zaprosił mojego ojca na spotkanie w St. Anselm's. Mama stwierdziła, że wyglądał „paskudnie, ale przy tym całkiem ciekawie”.

Zerkam ponownie na Marthę, sprawdzam, czy nic jej nie jest. Siedzi przy biurku, pełno ich w tym pomieszczeniu, szklanych, niby dębowych, niektóre mają szuflady zamykane na klucz. To pokój pełen kryjówek, zakamarków, w których można zachomikować tony rzeczy.

- Zna pan tego człowieka? - pytam, wyciągając z kieszeni zdjęcie Bretta.

Cortez wzdycha teatralnie, wyrzuca ręce w górę.

- O mój Boże, jesteś pieprzonym policjantem.

- Nie jestem.

- Zrób to jeszcze raz - rzuca, szczerząc zęby. - Pokaż mi to zdjęcie. Zapytaj ponownie.

Kładę fotografię przed nim.

- Zna pan tego człowieka?

Wali dłonią w blat, widać, że jest rozbawiony.

- Prawdziwy policjant. Jakbym miał odjazd po kwasie.

- Tak - odpowiada Ellen z końca pomieszczenia, nie wypuszczając z ręki tasaka. - Znamy go. Był tutaj wczoraj. Ty pewnie jesteś jego żoną.

Cortez rzuca jej poirytowane spojrzenie, a Martha potakuje, w jej oczach znów pojawia się nadzieja, z którą rozgląda się wokół. Myśli pewnie: jest gdzieś tutaj. Czuje jego obecność, ale nie w przestrzeni, tylko czasie. Był tutaj.

- Tak, był tutaj - potwierdza Cortez, mierząc mnie uważnym spojrzeniem, jakby nie mógł wyjść z podziwu, że ma przed sobą prawdziwego gliniarza. - Powiedział, że pojawi się tutaj kobieta, ale sama. Dlatego postrzeliłem cię tym zszywaczem.

- Nie szkodzi - rzucam.

- To nie były przeprosiny.

- Czy mogę... - Martha milknie. Ręce jej się trzęsą. Wodzi wzrokiem od Ellen do Corteza i z powrotem. - Czego chciał?

- Towaru. - Odpowiedź jest zwięzła.

- Czego?

Rozglądam się raz jeszcze: biurka, szafki, pudła pełne różnych artykułów, w tym spożywczych, batonów, przekąsek.

- Jak to czego? - pyta Cortez i znów szczerzy zęby. - Tego, co mu było potrzebne. Towaru. Towaru dla ciebie,



słodziutka.

- Przepraszam - bąka Martha - ale nie rozumiem.

- Kochana - wtrąca Ellen, obrzucając partnera wściekłym spojrzeniem, w końcu odkłada tasak i obejmuje Marthę ręką.

- Zapłacił nam, żebyśmy się tobą zajęli. Znaczy do końca.

- Zajęli? Ale jak?

- Żebyśmy dali ci co trzeba, do kurwy nędzy. - Cortez odsuwa się od biurka, chwyta porzucony tasak. - Znaczy żebyśmy nie dali ci zginąć.

- Zamknij się - warczy Ellen. - To znaczy, że zapłacono nam z góry za zapewnienie ci żarcia, picia, baterii, ciuchów, tamponów aż do samego końca. Wszystkiego.

- A jeśli boisz się, że ktoś cię najdzie w nocy, temu też możemy zaradzić. - Cortez podchodzi do biurka, chowa do szuflady rzeźnicze narzędzie swojej towarzyszki. - Od teraz do końca.

- Ale później nie? - pytam.

- Później? - Facet rechocze, znów kładzie nogi na blacie jak korporacyjna szych. - Każdy, kto obiecuje opiekę po zderzeniu, to kłamca i złodziej.

Trzymam się za zakrwawione czoło, zastanawiając się nad tym wszystkim, i mniej więcej w tym samym czasie co Martha dochodzę do konkluzji, że mąż usiłował zapewnić jej byt, co jest miłe z jego strony, jeśli nie brać pod uwagę faktu, że oznacza także, iż nie ma zamiaru wrócić. Znikają wszelkie wątpliwości dotyczące wypadku albo zabójstwa. Brett Cavatone porzucił żonę z rozmysłem, zaplanował to

i wykonał. Martha gapi się gdzieś w przestrzeń, siedzi za tym biurkiem zagubiona niczym dziewczynka w gabinecie ojca.

- Przepraszam - odzywa się niespodziewanie, lecz zadziwiająco spokojnym głosem, siadając przy tym prościej. -  
Macie może papierosy?

- Tak, skarbie - odpowiada Ellen, otwierając kufer wielkości przeciętnej wanny. - Mamy tysiące paczek.

Ból w nowej ranie rozpala także ten zadawniony, jak kulka odbijająca się od grzybka i włączająca ponownie światło. Czuję go pod lewym okiem, gdzie mnie wcześniej dźgnięto. Dziabnął mnie wtedy diler narkotyków, ten, którego pies mieszka teraz w moim domu i pewnie czeka na nakarmienie.

- Ochrona? To właśnie oferujecie? - pytam Corteza. -  
A raczej oferowaliście?

- Tak. - Szczerzy do mnie zębiska. - Zainteresowany?

- Nie, dzięki. Jak wam ludzie płacą za te usługi?

- Towarem - odpowiada, krzywiąc się dla odmiany. - Innym towarem. Czymś, co mogę zaoferować innym klientom. Albo czymś, co może mi się przydać w paskudną pogodę. Taką naprawdę paskudną.

- A czym on ci zapłacił? - pytam, pokazując mu raz jeszcze zdjęcie.

- Chcesz zobaczyć? - Cortez zaciera ręce, a oczy lśnią mu jak złoto.

\* \* \*

Kawałki metalu, ułamki metalu, całe stosy. Połyskujące srebrem, okolone czarnym plastikiem, szkłem i cyferblatami. Spoglądam na to wszystko, potem przenoszę wzrok na Corteza.

- To pojazd.

Facet porusza brwiami w górę i w dół, widać, że to go bawi. Zjeżdżamy windą, milcząc, a potem wychodzimy na zewnątrz, okrążamy budynek i trafiamy na prowadzące do piwnicy schody, do których można się dostać po otwarciu umieszczonej na chodniku ciężkiej kłapy. Podziemia Garvins Falls numer 17 mają betonową podłogę, zawieszono pod sklepieniem słabe żarówki działają dzięki hałaśliwemu generatorowi na biopaliwo. Unoszę jedną z długich płyt ze wzmocnionej stali i zauważam po drugiej stronie napis wymalowany komiksowym fontem: KALIFORNIA – KRAINA GORĄCZKI ZŁOTA!

- Furgonetka do wynajęcia? - dziwię się, a rekini uśmiech Corteza staje się jeszcze szerszy.

- Uwierzyłbyś?

Owszem. Uwierzyłbym. Rocky Milano kłamał. Nie posyłał swojego ukochanego zięcia w trasy po okolicznych miasteczkach rowerem z przyczepką, na której Brett miał zwozić zdobyczne meble. To dzięki temu samochodowi jego restauracja mogła wciąż działać. Kombinował paliwo, normalne albo bio, a Brett dzięki znajomości terenu omijał wszystkie posterunki. Nic dziwnego, że Rocky był taki załamany. Stracił nie tylko ukochanego zięcia i prawą rękę,

ale także najcenniejsze aktywa. Jakże bym chciał wrócić teraz do jego kantorka i przycisnąć go raz jeszcze, obnażając wszystkie półprawdy i kłamstewka, którymi mnie uraczył!

Niestety nie jestem już gliniarzem, tylko facetem próbującym pomóc jego córce.

- Powiedziałem mu, że jeśli chce zostawić tu ten wóz, musi go rozebrać - rzuca Cortez. - Na częściach więcej zarobię niż na całości, nie sądzisz?

Nie zamierzam zgadywać. Podnoszę metalowy wał długości mojego ramienia.

- Kolumna kierownicy - wyjaśnia półgębkiem.

Kręcę się pomiędzy częściami rozłożonego vana, rozpoznaję pedały, pasy bezpieczeństwa, tylną rozkładaną rampę załadunkową. Fragmenty czegoś tak trywialnego jak samochód z wypożyczalni budzą odległe wspomnienia, czuję się, jakbym oglądał poćwiartowane ciało mastodonta. Dwie felgi leżą jedna na drugiej, czarne opony złożono tuż za nimi.

Prostuję plecy i spoglądam na Corteza, na te jego jesuskowe włosy i jakże mylący uśmiezek.

- Dlaczego miałby ci zaufać? - pytam. - Uwierzyć, że dotrzymasz słowa?

Przykłada dłoń do piersi, jakby poczuł się urażony. Czekam.

- Znałem tego gliniarza z dawnych czasów, a on mnie. Wiedział, kim jestem. - Uśmiecha się niczym magiczny kot. - Kradnę, ale mam zasady. Sadzali mnie, wypuszczali, a ja zawsze się odkuwałem. Dlatego, że można na mnie polegać. To bardzo ważna cecha w interesach.

Odsuwam zwitek gazy od głowy – jest przesiąknięty krwią – lecz przykładam go znowu do rany. Rocky Milano nie zamknął restauracji, mimo że rozpoczęliśmy już ostateczne odliczanie, wręcz odwrotnie, zdwoił wysiłki, by wszystko zostało po staremu. To samo pewnie się tyczy tego złodzieja.

- Poza tym powiedział, że jeśli go oszukam albo jeśli żonie coś się przytrafi, wróci tutaj i zabije mnie – dodaje Cortez niemal beznamiętnym tonem. – Wielu ludzi rzucało podobne groźby pod moim adresem. Tym razem odniosłem wrażenie, że facet robi, co mówi.

- A nie wspomniał przypadkiem, gdzie zamierza się udać?

- Nie. – Cortez uśmiecha się ironicznie. – Pozwól jednak, że coś ci powiem. Gdziekolwiek się wybierał, bardzo mu się spieszyło. Żartowałem nawet z tego. Powiedziałem coś w stylu, że skoro tak mu zależy na czasie, powinien skorzystać z tej fury, a nie rozkładać ją na części pierwsze, ale nawet się nie zaśmiał. Nic a nic.

W to akurat mogłem uwierzyć. Jeśli Brett był tak uczciwym człowiekiem, za jakiego go brano, a każdy, kto go wspominał, tak właśnie mówił, to przyjscie w takie miejsce musiało być dla niego bardzo bolesnym przeżyciem. Wyobraziłem go sobie, jak jedzie skradzionym vanem w kierunku Garvins Falls Road, wściekając się na siebie za to, co robi, za to, że musi zdać się na łaskę takiej zadufanej kanalii. Brett Cavatone rozebrał ten wóz najszybciej, jak umiał, bez przerw, pod czujnym spojrzeniem Corteza, ponieważ chciał jak najprędzej opuścić to miejsce.

Mój zaginiony pragnął uciec, spieszyło mu się, ale czy na pewno postępował źle? Poszedł przecież na kompromis, naruszył moralne granice, zrobił, co musiał, aby zapewnić opiekę kobiecie, którą porzucił.

Podziękowałem Cortezowi, on skłonił się kpiarsko i rzucił za mną:

- Nie ma za co.

Wróciłem na górę po Marthę.

\* \* \*

Gdy wychodzimy ponownie na Garvins Fallas Road, słońce złoci promieniami zaśmiecone chodniki. Zerkam przez ramię w stronę budynku, Martha idzie ze wzrokiem wbitym w ziemię, zadziwiająco spokojna, rozmyślając o tym, czego się właśnie dowiedziała. Jest cieplej niż poprzedniego dnia, ale wciąż znośnie. Po błękitnym niebie płyną dwie niemal identyczne chmurki.

- A nie mówiłam? - rzuca Martha w pewnym momencie, wyrywając mnie z zamyślenia.

- Słucham?

- Mówiłam ci, że Brett jest jak wykuty z kamienia. Zawsze taki był. Myślał o wszystkim. Był taki mądry. Rozważył nawet... - Uśmiecha się, odwraca twarz ku słońcu. - Rozważył nawet to, jak ma mnie zostawić.

- Tak - mruczę. - Jasne.

Z oddali, od strony centrum Concord, słyszę zawodzenie syreny alarmowej. Oczami wyobraźni widzę ciężarówkę

wjeżdżającą w zaułek, McConnell i resztę gliniarzy spieszących na miejsce, otaczających rampe, przygotowujących się do rozładunku.

- Dla absolutnej jasności, Martho - odzywam się najuprzejmiej, jak umiem. - Nie chcesz już, żebym odnalazł twojego męża?

- Wręcz przeciwnie - odpowiada zaskoczona. - Teraz chcę bardziej niż przedtem.

## 4.

Ludzie mówią o asteroidzie, która doprowadziła do wyginięcia dinozaurów, jakby to trwało jeden dzień. Wszystkie te wielkie gady stały sobie gdzieś na jakiejś otwartej przestrzeni, nagle z nieba zleciał kamień, rąbnął w ziemię, pozabijał je na miejscu, koniec, kropka.

To chyba oczywiste, że było inaczej. Część z nich, może nawet całkiem spora, zginęła w chwili zderzenia, co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości, ale cały proces trwał długie lata. Może nawet trzeba było kilku pokoleń. Tego niestety nie możemy być pewni. Naukowcy ustalili, że sześćdziesiąt pięć milionów lat temu asteroida o średnicy mniej więcej dziesięciokilometrowej uderzyła w Ziemię w okolicach półwyspu Jukatan, wybijając w naszej planecie gigantyczny krater i wyrzucając w powietrze tak wielką ilość pyłu, że zapanowały całkowite ciemności. Część dinozaurów utonęła, część spłonęła żywcem, inne pozdychały z głodu, ponieważ roślinność także ucierpiała w tym kataklizmie. Jakiś procent zdołał jednak przetrwać w nowych niesprzyjających warunkach. Jadły co popadnie, walczyły o resztki, nie pamiętając nawet o tym, że przyczyną tego wszystkiego była jakaś asteroida. To były naprawdę proste stworzenia o mózgach jak orzeszki, więc jedyne, co знаły, to potrzeba zaspokajania głodu. Wiele gatunków wtedy wyginęło, ale równie wiele przetrwało.



Tym razem będzie podobnie. Większość ludzi zginie w październiku albo podczas fali kataklizmów, które nastąpią po zderzeniu, wielu jednak skona dopiero później. Nagła śmierć przeciw powolnemu konaniu. Szybkie i gwałtowne wyzinięcie ducha przeciw powolnemu wycieńczeniu i wiecznej niepewności. Oboje moi rodzice zginęli nagle, w okamgnieniu. Mama jednego dnia była obok mnie, drugiego już ją chowano, niedługo później bang, i nie ma mojego ojca. Dziadek natomiast odchodził w ten drugi sposób, dłuższy, diagnoza, terapia, remisja, pogorszenie, kolejna diagnoza, długie cierpienie. Aż pewnego wieczora przy jego łóżku zgromadziła się garstka ludzi, Nico, ja oraz kilkoro przyjaciół, przyszliśmy się z nim pożegnać, ale polepszyło mu się niespodziewanie i przeżył jeszcze pół roku, blady, wychudzony i nieodmiennie irytujący.

Naomi Eddes, kobieta, w której się zakochałem, odeszła w zupełnie inny sposób, ten pierwszy: bang i już jej nie było.

Najbardziej wiarygodne dowody naukowe mówią, że w dniu zderzenia atmosfera Ziemi zapłonie jak podczas niewyobrażalnie silnej eksplozji nuklearnej. Niemal całą planetę pochłonie upiorny żar. W wybrzeża kontynentów uderzą fale tsunami wyższe od wieżowców, topiąc każdego człowieka w promieniu setek kilometrów od punktu zero. Cały glob ucierpi także podczas łańcuchowych erupcji wulkanów i przepotężnych trzęsień ziemi, po tak mocnym uderzeniu przemieszczą się bowiem wszystkie płyty tektoniczne. Na koniec popioły przesłonią na całe lata

słońce, co spowoduje zniknięcie procesu fotosyntezy, magicznego triku, dzięki któremu istnieje cały łańcuch pokarmowy.

Tak mówią, ale jak będzie, tego nie wie nikt. Naprawdę nikt. Stworzono modele komputerowe bazujące na wiedzy dotyczącej Jukatana i Syberii, wszystko jednak zależy przecież od szybkości, z jaką uderzy asteroida, od kątu upadku, od składu spadającego ciała niebieskiego i płaszcza Ziemi w punkcie zero. Być może nie wszyscy zginiemy, ale zdecydowana większość z nas nie ma szans na przetrwanie. Ci ludzie umrą w straszliwych mękach, choć nie sposób dzisiaj powiedzieć, jak będzie wyglądało ich cierpienie. Każdy, kto obiecuje cokolwiek po zderzeniu, to kłamca i złodziej.

\* \* \*

Gdy wracam do domu, znajduję wypchaną manilową kopertę wepchniętą pomiędzy moskitierę a drzwi. Paczka upada z głośnym plaśnięciem na podłogę ganku, gdy pociągam za gałkę.

Przykucam, rozrywam palcem żółty papier i wyciągam z koperty wypchaną teczkę opatrzoną wielkim napisem: ARCHIWUM POLICJI STANOWEJ, NEW HAMPSHIRE: BRETT ALLAN CAVATONE (ZW.).

- Dzięki, Trisha - mruczę, spoglądając na wschód, w kierunku School Street, by oddać jej salut, powolny i delikatny jak pocałunek.

Wchodząc, zamykam za sobą ostrożnie drzwi, nie chcę, by ich trzask obudził Houdiniego, który pochrapuje cicho na sofie zwinięty w kłębek, z pyszczkiem wtulonym we własny rozgrzany bok. W kuchni zapalam trzy świece, robię herbatę. Akta policyjne spisuje się bardzo zwięźle i prosto: to zwyczajnie ujmujące wszystko w skrócie urzędowe notatki. Osoba, której dotyczą, nazywana jest w nich nieodmiennie „f”. „F”, czyli funkcjonariusz. „F. Cavatone” kończy akademię policyjną takiego to a takiego dnia. Data wstąpienia „f. Cavatone’a” do wydziału D policji stanowej w randze funkcjonariusza pierwszego stopnia, przeniesienie na północ, potem do wydziału F, podczas specjalnej ceremonii otrzymuje odznaczenie za uratowanie życia ofierze wypadku drogowego. Awansowany na funkcjonariusza drugiego stopnia. Podsumowując, akta te przedstawiają wzorowy przebieg służby: żadnych upomnień, żadnych kar.

- Medal Gubernatora - mruczę pod nosem z aprobatą, przewracając kartki. - Pięknie, „f. Cavatone”. Gratuluje.

W połowie czwartej strony trafiam na pewną odmianę: zamiast skrótowej informacji widzę cały akapit poświęcony konkretnemu wydarzeniu. Zaczyna się od raportu o aresztowaniu: czterech podejrzani o wtargnięcie. Miejscem popełnienia przestępstwa była rzeźnia należąca do firmy Blue Moon z Rumney. Celem włamywaczy, jak się okazuje, było umieszczenie sprzętu nagrywającego, niestety w trakcie próby wejścia na teren zakładu został uruchomiony alarm i aktywiści wpadli podczas próby ucieczki. Po fakcie

zatrzymani wyjaśnili przesłuchującemu ich policjantowi – oczywiście był to „f. Cavatone” – że chcieli zgromadzić materiał dowodowy dotyczący niehumanitarnego traktowania bydła, jak twierdzi raport, co jest normą tak w Blue Moon, jak i w całej amerykańskiej branży spożywczej.

Ta sprawa z rzeźnią wydaje mi się dziwnie znajoma. Wstaję, zaczynam się przechadzać po pogrążonej w półmroku kuchni. Próbuję ją sobie przypomnieć. Jeśli wierzyć dacie sporządzenia raportu, próba włamania i aresztowanie miały miejsce dwa i pół roku temu. Musiałem o niej przeczytać na łamach „Monitora” albo wspomniano nam o tym podczas kursów w akademii. Ciekawy przypadek przestępstwa, niespotykana motywacja w naszej części świata: polityczna prowokacja, dzieciaki z koledżu w maskach hokejowych podkładają ukryte kamery.

Houdini powarkuje przez sen, całkiem głośno. Pociągam łyk herbaty, jest już chłodna. Biorę się ponownie za czytanie. Trafiam na nazwiska sprawców, wszyscy zostali oskarżeni o włamanie i dwa inne wykroczenia. Marcus Norman, Julia Stone, Annabelle Demetrios, Frank Cignal.

Czytam ponownie te nazwiska, skupiam się na nich, bębniąc palcami o blat. Dlaczego akta „f. Cavatone’a” zawierają dokładny opis tej właśnie sprawy, dlaczego aresztowaniu poświęcono w nich cały akapit, przecież w ciągu sześcioletniej służby musiał dokonać setek podobnych zatrzymań?

Odpowiedź, jak się okazuje, nietrudno znaleźć. Zaznaczono

ją nawet – naprawdę podkreślono – na następnej stronie.

„Żadnemu z oskarżonych nie udało się postawić zarzutów. F. Cavatone, pomimo kilkukrotnych wezwań, nie złożył obciążających ich zeznań”.

Incydent w Blue Moon jest ostatni w aktach Bretta Cavatone’a. Nie ma w nich informacji o zwolnieniu ze służby, żadnych raportów o wydaleniu ani też wniosku o przejście na wcześniejszą emeryturę. Resztę jego historii już znam mniej lub bardziej dokładnie: facet opuszcza szeregi policji stanowej kilka miesięcy później, w wieku lat trzydziestu, i zaczyna pracować w pizzerii prowadzonej przez teścia. Potem – trzy dni temu – znika.

Wstaję i przeciągam się, czuję ból w każdej niemal części ciała. Organizm błaga o sen – albo o kawę. W skroni czuję rodzący się ból, ale dopiero gdy dotykam tego miejsca palcem, przypominam sobie, że kilka godzin wcześniej zostałem postrzelony przemysłowym zszywaczem. Przesuwam ostrożnie Houdiniego i kładę się przy nim w całkowitych ciemnościach, lecz już kilka minut później znów jestem na nogach, ponownie sięgam po akta – czytam je raz i drugi, nie mogąc przestać. Potrzeba odkrycia tego, co się w nich kryje, przemawia do mnie jak śpiew ptaków o poranku, jak wrzaski dzieci.

\* \* \*

- Poproszę o thermidor z homara - rzuca detektyw Culverson.

- Nie mamy takiego dania w karcie - odpowiada Ruth-Ann, wzdychając teatralnie.

- A coq au vin?

- Tego też nie mamy.

- Żartuje pani.

- Przykro mi, ale nie.

Jest późny ranek kolejnego dnia. Piątek. Culverson i Ruth-Ann przekomarzają się w sposób, który zazwyczaj lubię i akceptuję, ale teraz bębnię palcami o krawędź obudowy naszej łoży, czekając niecierpliwie, aż skończą słowne przepychanki. Detektywa McGully'ego nie ma jeszcze, to jednak akurat mało ważne, ponieważ zależy mi na opinii Culversona.

- Patrz - rzucam, gdy Ruth-Ann odwraca się w końcu i rusza w kierunku kuchni.

- Okay.

Podsuwam mu akta. Nie całość, tylko dwie ostatnie strony.

- Powiedz mi, co o tym sądzisz.

- To ten facet, który poszedł w świat? - Rozkłada bardzo wolno okulary do czytania. - Chłopak twojej dawnej opiekunki?

- Mąż.

- Myślałem, że był jej narzeczoną.

- Rzućże na to okiem.

Culverson podnosi kartki, czyta z okularami umieszczonymi na czubku nosa i szybko dochodzi do tych samych wniosków co ja:

- Wygląda na to, że go wywalili.
  - Tak.
  - Ale nie chcieli tego napisać.
  - Tak! - Szczęrze się do niego. - Właśnie tak!
  - Gdzie u licha jest McGully? - pyta Culverson, prostując się, by spojrzeć w kierunku drzwi.
  - Nie wiem - odpowiadam pospiesznie, stukając palcem w akta. - Ale pytanie brzmi: dlaczego, nieprawdaż? Dlaczego został wydalony ze służby? A dlatego, że zawalił sprawę zeznań.
  - Zgadza się. Ale nie wyrzuca się człowieka ze stanowki za to, że nie przyszedł zeznawać.
  - Fakt. - Chwila przerwy na zaczerpnięcie tchu. - Mogli to zrobić za powody tej nieobecności.
  - Zaraz. Chcesz powiedzieć, że był pijany?
- Ruth-Ann wraca z dwoma talerzami owsianki.
- Thermidor z homara - mówi, stawiając jeden przede mną - i coq au vin. - Podaje Culversonowi jego danie.
  - Nie - podejmuję temat, gdy Ruth-Ann odchodzi. - Nie chodzi o picie.
  - Słuchaj, Hank, jeśli dokonałeś jakiegoś przełomowego odkrycia, przestań się ze mną drażnić, tylko gadaj wprost - prosi Culverson. Zatyka serwetkę za kołnierzyk, rozkłada ją na piersi jak śliniak. - Nie wiem, czy słyszałeś, ale niewiele życia nam zostało.
  - Brett ponazywał wszystkie specjalności zakładu.
  - Co?

- W tej pizzerii. Rocky mi to powiedział, to jego szef i teść zarazem. Od niego to wiem. Brett porzucił służbę po tej aferze z firmą mleczarską i zaczął pracować w pizzerii prowadzonej przez ojca jego żony, a jednym z jego nowych obowiązków było wymyślanie nazw dla specjalności zakładu. Zacerpnął każdą z klasyki rocka. Layla: to bardzo rzadkie, specyficzne imię. Hazel: to samo. Sally Simpson także. A potem mamy Julię...

Culverson spogląda tam, gdzie wskazuję palcem, w sam środek akapitu o włamaniu. Na listę podejrzanych. Marcus Norman, Julia Stone, Annabelle Demetrios, Frank Cignal.

- Palace.

- Ze wszystkich żeńskich imion w piosenkach wybrała właśnie to?

- Palace!

- Chociaż pozostałe imiona zacerpnął z piosenek Beatlesów? Kto wybrałby imię Julia? - Stukam palcem wskazującym w kartkę. - Kto, jak nie facet, który nie mógł przestać o niej myśleć?

- Nie jestem zbyt wielkim miłośnikiem Beatlesów - wyznaje Culverson, dolewając miodu do swojej owsianki. - Masz może jakieś tropy powiązane z Earth, Wind and Fire?

- Daj spokój, proszę.

- Żartowałem.

- Wiem. Ale czy to twoim zdaniem nie brzmi sensownie?

- Szczerze? Nie. - Uśmiecha się. - Udałeś się na przechadzkę, mój młody przyjacielu. Odszedłeś na taką



odległość od dostępnego materiału dowodowego, że nie zobaczyłbym cię, nawet gdybyś miał wzrost przeciętnego słupa telefonicznego.

- Możliwe - przyznaję, składając ręce na piersi. - Ale mam rację.

- Niewykluczone - mówi. Znam Culversona dłużej, niż kogokolwiek z jeszcze żyjących ludzi. Może poza moją siostrą Nico. Dawno temu, gdy byłem jeszcze dzieckiem, był dla mnie detektywem Culversonem, który rozwiązał sprawę zabójstwa mojej mamy. - Ale wiesz co? Świat lada chwila eksploduje, więc radziłbym ci ruszyć dupę. Masz ostatni znany adres tej Julii?

- Tak. - Znów wskazuję akta. - Durham.

- Durham? - powtarza.

- Tak. W czasie tego incydentu zaczynała naukę na UNH.

- Zatem ostatni znany adres mieści się gdzieś na terytorium tak zwanej Wolnej Republiki. Jesteś gotów krążyć po tamtej okolicy od drzwi do drzwi?

- Nie. Może. - Zaciskam zęby. To najtrudniejsza część. - Ale znam kogoś, kto mógłby mi w tym pomóc.

- Tak? - Culverson unosi znacząco brew. - Któż to taki?

Ratuje mnie gong. Ktoś otwiera drzwi, pojawia się w nich McGully z walizką marki Samsonite, z którą wygląda jak domokrążca. Culverson i ja gapimy się na naszego kumpla, nawet Ruth-Ann wychyla się zza kontuaru. Nikt jednak nie odzywa się słowem. Tak to jest - jakby już odszedł, jakby na naszych oczach utracił wszystkie kolory i stał się czarno-

biały. Stoi tak na progu restauracji, w sieni, obok kasy, nad którą wciąż wiszą zdjęcia założyciela lokalu Boba Galickiego ściskającego dłonie szeregowi polityków przy staromodnym automacie sprzedającym gumę do żucia, od jakiegoś czasu popsutym i pustym.

Culverson opada na oparcie krzesła. McGully też gapi się na nas bez słowa.

- Wow - odzywa się w końcu mój czarnoskóry kolega. - Dokąd to?

- Do Nowego Orleanu - odpowiada McGully. - Zamierzam podejść do dziewięćdziesiątkipiątki i złapać jakiś autobus jadący na południe.

Culverson potakuje. Ja nadal milczę. Co miałbym mu powiedzieć? Kątem oka dostrzegam Ruth-Ann sterczącą za kontuarem z nieodłącznym dzbankiem wody w ręku, ona także nie spuszcza wzroku z naszego przyjaciela.

- Powiedziałaś o tym Beth? - pyta Culverson.

- Nie. - Po twarzy McGully'ego przemyka ten mały uśmiezek, a potem facet znów wbija wzrok w podłogę. - Powtarzałem jej wielokrotnie, że powinniśmy się stąd zwijać, że potrzeba nam jakiejś odmiany, ale ona... ona miała to gdzieś. Nie zamierzała zostawiać domu. Miejsca, w którym zmarła jej mama. - Spogląda na nas, potem znów spuszcza wzrok. - Ale zostawiłem jej wiadomość. W sumie dość krótką.

- Hej - odzywam się w końcu. - Słuchaj...

- Nie - odpowiada szybko. - Zamknij się, dobrze ci radzę.

- Dlaczego? - pytam, a on wpada w furję i rusza szybkim

krokiem w moim kierunku.

- Jesteś jak rozkapryszony smarkacz, wiesz? - Pochyliła się nad krawędzią łóży, a ja kulę się ze strachu. - Tkwisz po uszy w tych swoich notatnikach, dobrych i złych facetach, a to już zasrana przeszłość, stary. Tego gówna już nie ma.

- Spokojnie - rzuca Culverson, podrywając się z miejsca. - Daj spokój - prosi, lecz McGully nie odsuwa palca przed moją twarzą. - Poczekaj, aż woda się skończy, sam zobaczysz. - Wykrzywia się, obnażając zęby. - Myślisz, że ten funkcjonariusz ze stanówki, którego szukasz, to zły człowiek? Myślisz, że ja jestem zły?

- Tego nie powiedziałem - mamrocę, on jednak nie słucha. Tak naprawdę nie ze mną rozmawia.

- Poczekaj tylko, aż zabraknie wody w kranach. Wtedy zobaczysz, jak wyglądają ci źli. - Twarz mu czerwienieje. Musi zaczerpnąć tchu. - Okay?

Milczę, lecz on chyba czeka na odpowiedź.

- Okay - mówię.

- Okay, cwaniaczku?

- Okay.

Spoglądam mu w oczy, a on kiwa głową, odpuszcza. Nikt inny nie odzywa się słowem. Podeszwy McGully'ego piszczą na linoleum, kiedy się odwraca. Ruth-Ann krzywi się na ten dźwięk. Moment później drzwi się zatraskują i nasz przyjaciel znika. Odchodzi. Spoglądamy na siebie, ja i Culverson, potem wstaję, zostawiając nietkniętą owsiankę na stole.

- Zatem UNH - rzuca spokojnym tonem mój kolega.

- Tak. Wystarczy mi jeden dzień. Tam i z powrotem.

Kiwa głową.

- Tak.

- Jedynym problemem są te dzieciaki.

Opowiadam mu o Micahu i Alyssie, o sprawie z mieczem, a on obiecuje, że zajrzy do nich. Rozmawiamy zniżonymi głosami, nie gestykulując, ponieważ aura wściekłości pozostawiona przez McGully'ego wciąż buzuje wokół nas.

Wyrywam z notatnika spory kawałek kartki, który trafia zaraz do kieszeni Culversona.

- Ruszaj zatem, Henry. Rozwiąż tę sprawę - mówi. - Załatw ją jak trzeba.

\* \* \*

Na moim przystanku autobusowym tuż koło Nexy Time Around, dawnego ciucholandu, siedzę niedługo, pół minuty, może minutę, by wziąć się w garść. Potem wstaję, przechodzę przez ulicę i pukam zdecydowanie do drzwi.

Nikt nie reaguje. Stoję tam jak idiota. Gdzieś z perspektywy Wilson Avenue dobiega głośny klang, jakby ktoś zderzał dwie pokrywy od kubłów na śmieci. Pukam raz jeszcze, tym razem mocniej, wiem, że oni tam są. Przechyliłam się, by zajrzeć przez szczelnie zasłonięte okno, ale w tym właśnie momencie drzwi stają otworem i w szparze pojawia się twarz grubasa z przetłuszczonymi włosami, który pomimo upału ma wełnianą czapkę na głowie.

- Tak? - warczy. - Czego?

- Nazywam się Henry Palace... - zaczynam, ale już widzę Nico.

Odpycha grubasa od drzwi i rzuca się na mnie, przytula się jak wariatka.

- Henry! - woła. - Co u licha?

Niby psioczy, lecz widzę, że jest szczęśliwa. Szczerzy zęby, cofa się o krok, by zmierzyć mnie wzrokiem, a potem znów doskakuje i tuli się mocno. Ja też przyglądam się swojej siostrze stojącej przede mną w męskim podkoszulku, bojówkach, z papierosem zwisającym z kącika ust niczym patyczek od lizaka. Włosy przycięto jej na krótko, choć nierówno, i ufarbowano na czarno. To ogromna zmiana, z pewnością na gorsze, ale oczy wciąż ma takie same, błyszczące, lekko zmrużone, wesołe.

- Wiedziałam - stwierdza, patrząc mi w oczy, nadal roześmiana. - Wiedziałam, że jeszcze się zobaczymy.

Nie odpowiadam, też się uśmiecham, zerkając nad jej ramieniem na zagracony pokój, przestawne wieszaki, stosy ciuchów, manekiny poustawiane w obscenicznych pozach. Jest tam też jakiś facet, śpi na podłodze bez koszuli, lecz pod kołdrą. Obok po turecku siedzi kobieta tasująca karty. Dostrzegam także namiastkę stołu, kawał ustawionej na dwóch kozłach płyty, którą ktoś nakrył arkuszami papieru i starymi gazetami. Z wnętrza zalačuje odorem pleśni, potu i dymu papierosowego. Grubas w czapce przestępuje nad

śpiącym, by sięgnąć po palnik bunsenowski, od którego odpala papierosa.

- Gadaj - mówi Nico. - Czego chcesz?

Czego chcę? Tu i teraz chwycić siostrę za rękę i wyciągnąć ją z tej cuchnącej nory, jak robili prywatni detektywi w filmach o odzyskiwaniu dzieci z przeróżnych sekt i oddawaniu ich rodzicom. Chcę jej powiedzieć, że musi porzucić życie w tym... tym... hostelu, w tej noclegowni, w której zdecydowała się spędzić ostatnie dni dzielące nas od końca ludzkiej historii, wybrawszy towarzystwo głupców pasjonujących się teoriami spiskowymi. Chciałem, by porzuciła wszystkie te mrzonki, które doprowadziły ją do takiego stanu, i przeniosła się tam, gdzie mógłbym ją częściej widywać. Chciałem wykrzyczeć jej w twarz, że jest dla mnie wszystkim, ostatnią bliską osobą, ale jej błędne decyzje doprowadzają mnie do pasji i wpędzają w depresję.

- Hen? - odzywa się Nico, zaciągnąwszy się papierosem i wypuściwszy dym przez nos.

Nie mówię tego, co chciałbym powiedzieć. Uśmiecham się.

- Potrzebuję twojej pomocy, Nico.

CZĘŚĆ TRZECIA

# Znaki i szybolety

Sobota, 21 lipca

Rektascensja 20 03 13,8

Deklinacja -60 44 02

Elongacja 139,9

Delta 0,844 j.a.

# 1.

Jeśli uda mi się odszukać tę kobietę, znajdę też mężczyznę.

Culverson ma rację. Patrząc na tę sprawę obiektywnie, mój plan wydaje się w najlepszym razie szalony. To pomysł godny żółtodzioba albo człowieka niespełna rozumu: rozpocząć poszukiwania człowieka w takim miejscu Nowej Anglii, w którym nie sposób niczego znaleźć. Dokładniej rzecz ujmując, kobiety, której nie umiem nawet dokładniej opisać, ponieważ dysponuję jedynie nazwiskiem i dawnym adresem. Dlaczego chcę to zrobić? Ponieważ rzeczona kobieta mogła mieć romans z mężczyzną, którego kazano mi odnaleźć. Dwa lata temu z okładem ten romans!

McGully także ma rację – nie jestem aż tak głupi, by tego nie wiedzieć. Mam taką konstrukcję psychiczną, że wolę skupić się na konkretnym bardzo trudnym problemie, niż mocować się z wielkimi, lecz niemożliwymi do rozwikłania sprawami, ale żeby do tego dojrzeć, muszę najpierw wystawić nos – dosłownie – z moich niebieskich brulionów. W pozostałym mi czasie mógłbym się zająć milionem konkretniejszych rzeczy niż szukanie faceta, który ruszył w świat, by spełniać własne marzenia, robię to jednak, by uleczyć złamane serce Marthy Milano. Właśnie dlatego widzę sens dalszych poszukiwań. Większość problemów, z którymi my, ludzie, aktualnie się borykamy, wynika w dużej



mierze z tego, że większość z nas - zapewne ze strachu - przestała robić to, co ma sens.

Tak to sobie w każdym razie przedstawiam i wmawiam, jadąc nocą na południowy południowy wschód do Durham drogą numer 212, oczywiście rowerem, z siostrą wariatką, która ma być mi wsparciem w tym instynktownym błędzeniu po omacku. Z Concord do Durham jest niespełna czterdzieści mil, łatwo pokonać tę trasę, zwłaszcza teraz, gdy nie ma już samochodów. W drodze towarzyszy mi tylko ciepły wietrzyk i trele nocnych ptaków. Czasami Nico jedzie przodem, czasami ja to robię, wyprzedzając się, wykrzykujemy żartobliwe uwagi, dzielimy się spostrzeżeniami, sprawdzamy:

- Wszystko w porządku?
- Tak, głupku, a co u ciebie?
- Też.

Raz tylko dostrzegamy w oddali reflektory autobusu, które wyglądają z oddali jak zjawy. Zbliżają się, potem mijają nas i nikną. Autobus łaski napędzany nie wiadomo czym, wypełniony śpiewającymi i klaszczącymi pasażerami, którzy udają się gdzieś daleko, by czynić dobro w imieniu Jezusa. Obserwujemy jego tylne światła niknące w oddali na zachodzie... Ciekawe. Tak normalne zdarzenie jak autobus mijający człowieka na szosie wydaje się dzisiaj czymś niesamowitym, jakby to nie był zwykły samochód, tylko czołg.

Dawno już nie byłem w UNH, zaglądałem tam jakiś czas temu, ale jeszcze przed Mają i tą dziwną bezkrwawą

styczniową rewolucją, gdy grupa studentów przepędziła wykładowców i personel uczelni, po czym ogłosiła kampus Wolną Republiką New Hampshire. Plan zakładał stworzenie utopijnej społeczności, której ochotniczy członkowie będą mogli przeżyć resztę czasu w harmonii z braćmi i siostrami, pracując na rzecz wspólnoty, szanując się wzajemnie i robiąc do samego końca to, na co kto ma ochotę.

Nico, jak podejrzewałem, bywała tam dosyć często. Jej melina w Concord stanowiła coś na kształt nieformalnej ambasady Wolnej Republiki. Co ważniejsze, siostra twierdziła, że wie, jak mnie tam wprowadzić.

- O, tak – powiedziała, gdy przedstawiłem stojący przede mną dylemat, ciesząc się, że siostra może mi być do czegoś potrzebna. - Znam to miejsce. Dobrze je znam. Wszystkie znaki i szybolety.

A gdy wyjaśniłem jej, dla kogo to robię – że facet, którego szukam, był mężem Marthy Milano – tym bardziej zachęciłem ją do pomocy i Nico z największą radością spakowała potrzebne rzeczy.

Był tylko jeden warunek, który przedstawiła mi, jakżeby inaczej, mrużąc oczy jak filmowy gangster i mówiąc:

- Pod jednym warunkiem...

Po wyprawie, gdy dowiem się tego, czego potrzebuję, mam usiąść z nią, aby mogła mi wyjaśnić, czym konkretnie zajmują się jej przyjaciele.

- Masz to jak w banku – obiecałem. Siedzieliśmy w Next Time Around na dwóch brudnych pufach, rozmawiając

szeptem. – Nie ma sprawy.

- Mówię poważnie, Hen.

- Co?

- Obiecujesz, że kogoś wysłuchasz, i gdy przychodzi co do czego, ten ktoś mówi, a ty zamykasz uszy i prowadzisz ze sobą jakiś skomplikowany policyjny dialog na zupełnie inny temat.

- To nieprawda.

- Obiecuj mi po prostu, że usiądziemy, a ty wysłuchasz z otwartym umysłem wszystkiego, co będę miała do powiedzenia.

- Obiecuję, Nico. – Tak jej powiedziałem, podnosząc się z trudem z puffy. Potem nawet spojrzałem jej prosto w oczy, aby zyskała pewność, że będę słuchał jej, a nie głosów w mojej głowie. – Obiecuję.

I tak oto pedałużemy razem drogą numer 202 przez lesiste tereny, mijając Northwood Center i Northwood Ridge, rozmawiając od czasu do czasu albo jadąc w kompletnej ciszy, przysłuchując się dobiegającym z oddali odgłosom ścinania drzew na opał.

Nico przeżyła znacznie gorzej ode mnie wszystko to, co nas spotkało, te dramatyczne zdarzenia i tragedie, które zrujnowały nam dzieciństwo. Gdy zamordowano naszą matkę na parkingu przed Basket Lot, ja miałem dwanaście lat, ona sześć. Potem ojciec powiesił się na sznurze od zasłony i tak trafiliśmy na zesłanie do surowego i nie zainteresowanego nami dziadka.

Trudno byłoby dzisiaj rozdzielić nici tych trzech przeplatających się wielokrotnie i nakładających na siebie koszmarów, aby zrozumieć, który dotknął mnie najbardziej. Mogę za to zaświadczyć z niezachwianą pewnością, że ona nie poradziła sobie nigdy z bólem, który ja zdołałem jakoś przetrwać. Utonęła w nim jak człowiek zmyty wysoką falą przyływu i nigdy już nie zdołała się wydostać na powierzchnię. W wieku lat sześciu była typowym dzieckiem: bystra, strachliwa, ciekawska, pojętna, zmienna. A potem przetoczyła się po niej z rykiem fala zła, która podcina nogi, wciąga na głębię, wypełnia bólem, jakby człowiek naprawdę się topił.

Gdzieś na wschód od Epsom Nico zaczyna nucić melodię, w której natychmiast rozpoznaję rękę Dylana, ale nie jestem w stanie przypomnieć sobie tytułu. Wydaje mi się dziwne, że moja młodsza siostra zna utwór tego muzyka, a ja nie.

Chwilę później przechodzi jednak do refrenu, a do mnie dociera, że to „One Headlight”, kawałek napisany przez syna Dylana.

- Uwielbiam tę piosenkę - mówię. - Zanuciłaś ją z powodu Marthy?

- Słucham?

Doganiem ją, jedziemy teraz obok siebie.

- Nie pamiętasz? Tamtej wiosny słuchała tej piosenki na okrągło.

- Naprawdę? Ona była wtedy z nami?

- Żartujesz? Nie odstępowała nas na krok. Codziennie

robiła nam kolację.

Nico spogląda na mnie, wzrusza ramionami. Nieodmiennie nazywamy ów ciężki dla nas obojga okres „tamtą wiosną”, zamiast mówić wprost, ale dokładnie: „Te pięć miesięcy, które dzieliły dzień straszliwej śmierci mamy od samobójstwa ojca”.

- Naprawdę tego nie pamiętasz?

- Masz z tym jakiś problem?

- Nie.

Przyspiesza nagle, wysuwa się ponownie na prowadzenie i wraca do nucenia:

- *But Me and Cinderella, we put it all together...*

Houdini siedzi w przyczepce między pojemnikami z wałówką, dyszy radośnie, smakując chłodną bryzę wysuniętym różowym językiem.

\* \* \*

Mija północ, zanim docieramy do India Garden, położonej na obrzeżach kampusu okropnej restauracji, którą Nathanael Palace z niewiadomych dla mnie przyczyn wybrał, gdy jako pierwszoroczniak oprowadzałem go po uczelni. Przydymione wielokolorowe oświetlenie, bardzo przeciętna obsługa, mikroskopijne porcje pozbawionego smaku jedzenia, dziwnie przybrane i potwornie przyprawione. I tak nie miałem najmniejszej ochoty uczyć się na Uniwersytet New Hampshire. Komenda policji w Concord wymagała jedynie sześćdziesięciu godzin zajęć na kursie przygotowawczym,

więc dla świętego spokoju odbębniłem je w New Hampshire Technological Institute i natychmiast przeniosłem się do stanowej akademii policyjnej. Domyślam się, że dziadek byłby dumny, gdyby wiedział, że noszę mundur, ale niestety opuścił ten świat, zanim zdążyłem ukończyć szkołę.

Zeskakujemy z rowerów i prowadzimy je obok opuszczonej restauracji, jakbyśmy byli gośćmi z innej planety. Szyld został całkowicie zniszczony, szyby w oknach i drzwiach powybijano kamieniami, ale wewnątrz wydaje się nietknięte, jakby zachowano je na potrzeby wystawienia w muzeum. Długie rzędy przykładowych potraw wyłożonych w dawno już nie działających ladach, poustawiane nierówno kwadratowe stoliki. Nawet zapach pozostał ten sam. Kurkumy i kminku z lekką nutą środków czystości do linoleum. W kasie jakimś cudem zostały się pieniądze: cztery pomięte dwudziestodolarówki. Wyczuwam je pomiędzy opuszkami kciuka i palca wskazującego. Bezwartościowe kawałki papieru należące do starożytnej historii.

Houdini zasypia na przyczepce, ułożony wygodnie pomiędzy butelkami wody, kanapkami z masłem orzechowym, batonami energetycznymi i apteczką. Porusza oczami pod zamkniętymi powiekami, oddycha lekko jak dziecko. Podnoszę go ostrożnie i przekładam na legowisko z woreczków po ryżu. Nico i ja rozwijamy śpiwory i szykujemy sobie miejsce do spania na podłodze.

- Hej, czym ona chce ci zapłacić za tę robotę? - pyta siostra.
- Słucham? - odpowiadam, wyciągając niewielkiego rugera

z kieszeni, by mieć go tuż obok posłania.

- Martha Milano. Czym chce ci zapłacić za odnalezienie tego gagatka?

- Tego jeszcze nie wiem. Pewnie niczym. Ja po prostu... - Wzruszam ramionami, czując, że policzki mi pąsowieją. - Obiecał, że zostanie z nią do samego końca, więc się wkurzyła.

- Aleś ty głupi - rzuca Nico.

Jest bardzo ciemno, lecz z tonu jej głosu wnioskuję, że jest uśmiechnięta.

- Wiem. Dobrej nocy, Nico.

- Dobranoc, Hen.

\* \* \*

Flaga New Hampshire zniknęła z masztu nad Thompson Hall, jej miejsce zajął nowy sztandar. Przedstawia stylizowaną asteroidę, stalowoszarą, ciągnie się za nią połyskujący welon, który przypomina nieco pelerynę superbohatera. Asteroida ma właśnie się zderzyć, lecz nie z Ziemią, tylko z zaciśniętą pięścią. Flaga jest ogromna, wymalowano ją na prześcieradle, które łopocze leniwie na letnim wietrze.

- Nie powinieneś chodzić w garniturze. - Nico informuje mnie o tym już po raz trzeci tego ranka.

- Ale tylko garnitur zabrałem - odpowiadam. - Mnie to nie przeszkadza.

Wspinamy się na zbocze wzgórza porośniętego gęstą wysoką trawą, kierując się na Thompson Hall, który przypomina zamek. Houdini truchta tuż za nami.

- Idziemy do utopijnej społeczności zarządzanej przez megainteligentnych nastolatków. Jest lipiec. Powinieneś mieć na sobie szorty.

- Mnie to nie przeszkadza - powtarzam.

Nico wyprzedza mnie o parę kroków, by pozdrowić uniesieniem ręki dwie kobiety, dziewczyny właściwie, które wychodzą nam naprzeciw. Jedna z nich, Afroamerykanka o dość jasnym odcieniu skóry, ma włosy splecione w krótkie warkoczyki, zielone spodnie i koszulkę z logo tutejszego uniwersytetu. Druga jest blada, mikra, ma na sobie sukienkę na ramiączkach, a włosy spięła w kucyk. Gdy podchodzimy bliżej, mijając maszt z łopoczącym sztandarem, obie unoszą śrutówki, celując do nas.

Zamieram.

- Hej - rzuca Nico, jakby nic się nie stało. - Nie z hukiem.

- Ale z płaczem - odpowiada ta w sukience i lufy opadają.

Nico puszcza do mnie ledwie zauważalne oczko - „wszystkie te znaki i szybolety” - więc mogę znowu odetchnąć. Ten moment zagrożenia umknął zupełnie uwadze mojego czujnego obrońcy. Houdini obwąchiwał właśnie ziemię, wyszarpując z niej kępki trawy.

- Hej, ja cię chyba znam - odzywa się ta niska blada dziewczyna.

Nico zaczyna się szczyrzyć.



- Owszem. Masz na imię Beau, prawda?

- Tak. A ty jesteś Nico. Kumpela Jordana. Byliście u nas, jak budowaliśmy szklarnię.

- No. I jak wam poszło?

- Jako tako. Gandzia obrodziła całkiem nieźle, ale z pomidorami poszło gorzej.

Czarnoskóra dziewczyna i ja spoglądamy na siebie podczas tej wymiany zdań i uśmiechamy się niezręcznie, jak dwie obce sobie osoby na przyjęciu. Nie jesteśmy tu sami, zauważam to niemal natychmiast. Przy ścianie budynku po prawej stoją dwaj goście ubrani na czarno, jeden obwiązał bandaną dolną część twarzy. Sterczą tam niby zrelaksowani, ale przy tym czujni niczym pantery.

- Teraz stoisz na straży? - zagaduje Nico do Beau.

- Owszem. Aha, to moja kumpela Sport.

- Cześć - rzuca Afroamerykanka, co moja siostra kwituje ciepłym uśmiechem.

- A to Hank.

Ściskamy sobie dłonie, po czym Beau rzuca nagle: „Wybacz” i rusza w stronę Nico, która odpowiada od niechcienia: „Nie ma sprawy”.

Dziewczyny przeszukują nas kolejno, dokładnie, lecz sprawnie i szybko. Otwierają wielką torbę sportową, którą moja siostra zabrała z India Garden, sprawdzają zawartość, potem zasuwają zamek. Ja nie mam przy sobie nic, jeśli nie liczyć dwóch niebieskich brulionów wetkniętych do

wewnętrznej kieszeni marynarki. Nico uparła się, abym zostawił pistolet w restauracji.

- Dlaczego tak się ubrałeś? - pyta mnie Sport.

- Sam nie wiem - odpowiadam, przyjrzawszy się garniturowi.

Czuję, jak irytacja wylewa się z mojej siostry.

- Jest w żałobie - rzuca. - Po śmierci swojego świata.

- W porządku, jesteście czyści - stwierdza z zadowoleniem Beau.

- O mój Boże! - wykrzykuje Sport, pochylając się, by pogłaskać psa. - Jaka ona ślicznusia. Co to za rasa?

- To on - odpowiadam. - Bichon frisé.

- Ślicznusi jest - powtarza, a ja czuję się, jakbym trafił do jednego z tych innych wymiarów, w których ludzie niczym grupka przyjaciół wciąż się spotykają u stóp schodów, na trawniku uczelnianego kampusu, pod błękitnym niebem, z białym piaskiem. Detektyw McGully zwrócił naszą uwagę na niesamowitą pogodę tego lata. Określił ją jednak mianem „boleśnie pięknej”. Jak wyjaśnił, ilekroć widzi to słońce, odnosi wrażenie, że sam Bóg kopie nas wszystkich w jaja.

Dobry stary McGully, myślę sobie. On także poszedł w świat.

Chłopaków przy ścianie nikt nam nie przedstawia, ale ich wygląd i zachowanie wydają mi się znajome, takich jak oni oglądałem przecież często w wiadomościach, gdy biegali po ulicach w tumanach gazu łzawiącego, protestując przeciw spotkaniom tuzów międzynarodowej finansjery. Ci dwaj

wyglądają na pewnych siebie i spokojnych, machają nogami, siedząc na uniwersyteckim murku, papieros albo dżoint krąży z ust do ust. Przez piersi mają przewieszane pasy z amunicją.

- Słuchajcie - odzywa się Nico. - Przyprowadziłam tu Hanka na jeden dzień. On kogoś szuka.

- Aha - mruczy Sport. - Właściwie... - Zatrzymuje się, spina, spogląda na Beau, która kręci głową.

- Ty byłaś tu wcześniej, więc z tobą nie ma problemu - stwierdza, patrząc na moją siostrę. - Ale twój przyjaciel musi przejść kwarantannę.

- Kwarantannę? - dziwi się Nico.

Kwarantanna. Świetnie.

- To nowy system - wyjaśnia Beau. Jest mikrą kobietą o piskliwym głosiku, ale przemawia bardzo stanowczo. Jakby chciała zmusić innych do tego, by jej wysłuchali. - Comfort wpadł na ten pomysł, ale głosowała za nim prawie cała Wielka Grupa. Nowo przybyli uczą się podczas kwarantanny, jak funkcjonuje nasza społeczność. Uwalniamy ich od starego sposobu myślenia o życiu i od wszystkiego, co posiadają. - Wpadła już w rytm, nie mówi, tylko recytuje. - Podczas kwarantanny nowo przybyli poznają zasady panujące w Republice, muszą też zaakceptować to, że potrzeby społeczności są ważniejsze od potrzeb jednostki.

- Ostatnio sporo ludzi tu się nazłaziło - dodaje Sport bez takiego zadęcia, za co zostaje zganiona ostrym spojrzeniem

przyjaciółki, która widocznie chciała wyjaśnić to na swój oficjalny sposób.

- Jakich ludzi? - pyta Nico. - Informatorów policji?

- Tak - potwierdza Sport. - Ale też sporo takich... normalnych.

- A co się tyczy kwarantanny - wtrąca Beau, ponownie przejmując pałeczkę - nauczamy podczas niej, że w Republice mamy obowiązki, nie tylko przywileje. Że nie ma utopii dla konkretnej osoby, jeśli jest, to tylko dla wszystkich.

Sport przytakuje jej zdecydowanie, podchwytuje te słowa, powtarza je jak echo. Nie ma utopii dla konkretnej osoby...

Okay, myślę sobie. Rozumiem. Czas już kończyć przedstawienie.

- Jak długo trwa ta kwarantanna?

- Pięć dni - odpowiada Beau.

Sport robi przepaszającą minę.

A niech to. Julia Stone przebywa tutaj, jestem tego pewien. Siedzi sobie teraz gdzieś pod doryckimi kolumnami któregoś z kolegów, a Brett Cavatone opiera ciężką głowę na jej udach. Gdzie jednak będą za pięć dni? Zerkam na Nico, która wciąż wygląda na rozluźnioną, uśmiechniętą, ale dostrzegam początki niepokoju sączącego się jej do oczu - kwarantanna zaskoczyła ją tak samo jak mnie.

- To łatwizna - zapewnia mnie Sport. - Poważnie. Umieszczą cię w Woodside Apartments, w tym dużym akademiku po drugiej stronie Wallace. A co do wyzbywania

się prywatnej własności, to pozwolą ci zachować rzeczy osobiste. Zdjęcia i takie tam.

- Szczerze powiedziawszy, to już nie - wtrąca Beau.

- Naprawdę?

- Tak zdecydował Comfort.

- Kiedy?

- Wczoraj.

- Nie wiedziałam nawet, że ta sprawa będzie omawiana.

- Ale była - zapewnia ją Beau. - Koniec z osobistymi rzeczami i sentymentalnymi pamiątkami. Dołączą do porzucenia.

Wypowiada słowo „porzucenie” tak zdecydowanym tonem i z taką emfazą, jakby dopiero co wyczytała je w słowniku, poznając jego nowe znaczenie, które może zrozumieć tylko ten, kto odbębni pięciodniową kwarantannę w Woodside Apartments. Podnoszę wzrok na flagę, powiewającą na wietrze prześcieradło, dumny sztandar asteroidolandii.

- Dajcie spokój, dziewczyny - rzuca Nico. - Henry nie sprawi wam problemów. Nie możecie wydać mu przepustki?

- Czegóż w rodzaju pieczętki na ręce? - pyta Sport, lecz jej śmiech szybko cichnie.

Beau zachowuje kamienną twarz.

- Nie - odpowiada, ujmując mocniej kolbę broni. - Kwarantanna jest obowiązkowa.

- No wiesz, wczoraj... - zaczyna Sport, natychmiast jednak zostaje uciszona.

- Tak, wiem, ale dostało im się za to, że hej.

- To prawda.

Afroamerykanka zerka na koleżankę. Beau patrzy w kierunku ubranych na czarno chłopaków, którzy niczym kruki obserwują nas z murku. Fajne to egalitarystyczne utopijne społeczeństwo, myślę sobie, każdy pilnuje, by inni postępowali według zasad.

- Słuchajcie... – zaczynam, lecz Nico odwraca się do mnie, tylko trochę i na moment, ale wszystko w jej postawie, od spojrzenia po minę, mówi mi, że powinienem się zamknąć.

Zatem milknę. Właśnie po to zabrałem ją tutaj z sobą. W sumie mógłbym pozwolić jej załatwić tę sprawę w pojedynkę, to przecież jest jej żywioł, jeśli kiedykolwiek miała jakiś.

- Słuchajcie, mogę być z wami całkowicie szczerą? Ta kobieta, której szuka Henry, nie wie, że jej matka jest potwornie chora. Wiecie, umierająca

Beau nie reaguje w żaden sposób, ale Sport gwizdże pod nosem.

- Paskudnie.

Podchwytuję pomysł Nico i dodaję półgłosem:

- Owszem. Ma raka.

- Raką mózgu - precyzuje moja siostra, na co Afroamerykanka robi jeszcze większe oczy.

Beau nadal trzyma palec na spuście śrutówki.

- Tak, ma guz mózgu - potwierdzam. - A dokładniej struniaka tutaj, u podstawy czaszki. Ponieważ szpitale

przystały już przyjmować i większość lekarzy dała nogę, niewiele da się zrobić.

Wyobrażam sobie McGully'ego, rzecz jasna, te jego wielkie wodewilowe łapska: „Zostało pani pół roku”... bla, bla, bla. Nasz dziadek miał struniaka, ten rodzaj nowotworu atakuje zazwyczaj bardzo starych ludzi, ale tutaj raczej nikt o tym nie wie.

Sport patrzy na mnie, potem przenosi wzrok na Beau, a ona znów kręci głową.

- Nie - mówi. - Nie możemy.

- On ją musi tylko odszukać - przekonuje Nico najłagodniej, jak umie. - Chce dać znać młodej, że jej matka umiera, na wypadek gdyby chciała się pożegnać. Tylko tyle. Ale zrozumiemy, jeśli to naprawdę niemożliwe.

- To niemożliwe - powtarza natychmiast drobna strażniczka.

Sport zwraca się do niej:

- Nie bądź taką jędzą.

- Muszę stosować się do zasad.

- Bo to nie twoja mama.

- Dobra - rzuca nagle Beau. - Wiecie co? Pieprzyć to.

Cofa się, siada na schodach ze zwieszoną głową, a jej towarzyszka rusza w kierunku chłopaków i szepcze coś do ucha temu z papierosem, a potem, jakby żartując, wyjmuje mu go z ręki. Sport i pierwszy z anarchistów zajmują się sobą, drugi wzrusza ramionami, po czym odwraca się plecami do reszty, a nadąsana Beau nadal siedzi na

schodach. To po prostu banda dzieciuchów kręcących się bez celu, flirtujących, walczących, udowadniających swoją wyższość.

W końcu Afroamerykanka podbiega do nas uśmiechnięta, pokazując nam uniesiony kciuk. Ja mogę w końcu odetchnąć, widzę też kątem oka, że Nico się uśmiecha. Mamy cztery godziny, informuje nas Sport, i ani sekundy dłużej.

- I macie wrócić tym wyjściem, rozumiano? Tylko tym wyjściem.

- Jasne - odpowiadam, a moja siostra dodaje:

- Dzięki.

- Ona - Afroamerykanka wskazuje głową koleżankę - powiedziała swojej matce, że jest lesbijką. Z powodu tego całego zamieszania z asteroidą. W końcu nadszedł czas na bolesną szczerość, nie? Choć mamuśka stwierdziła, że będzie się za to smażyć w piekle. Więc... - Wzdycha ciężko. - Sama już nie wiem.

Beau wciąż siedzi na schodach, gapiąc się w niebo. Czasami myślę, że świat jest teraz lepszy, naprawdę, uważam, że to i owo zmieniło się na lepsze. Jeden z anarchistów zeskakuje z murka i rusza w naszym kierunku. Jest chudy, ma migdałowe oczy, bandana zwisa mu luźno na szyi.

- Masz cztery godziny, facet - rzuca.

Zalatuje od niego ręcznie zwijanymi papierosami i potem.

- Już im to mówiłam - wtrąca Sport.

- Świetnie. A do tego czasu zatrzymamy twojego psa.

Chudzielec wyciąga ręce. Nico spogląda na mnie, ja na



Houdiniego. Podnoszę go, drapię za uszkiem, tulę przez dłuższą chwilę. Patrzy mi w oczy, potem otrząsa się i wierzga, żebym go odstawił na ziemię. Robię to, a on wraca do żucia trawy pod czujnym okiem strażników.

- Cztery godziny - mówię, gdy Nico zarzuca torbę na ramię, abyśmy mogli ruszyć dalej.

## 2.

Dawno temu, gdy uczęszczałem do szkoły, pojechałem z kolegami na całodniowy festiwal muzyki popularnej organizowany przez stację radiową Rock 101 z Manchesteru. Wypad ten był częścią misternego, aczkolwiek dość krótkotrwałego planu poderwania fajnej dziewczyny nazwiskiem Alessandra Loomis. Dzisiaj czuję się podobnie, gdy stojąc przy tylnym wyjściu z Thompson Hall, patrzę w dół wzgórza na główny dziedziniec uczelni. Sceneria przypomina ów festiwal rockowy, ale podniesiony do potęgi dziesiątej: jaskrawokolorowe namioty i porozkładane śpiwory jak okiem sięgnąć, między nimi wielkie kartony, z których poustawiano coś na kształt barokowo udekorowanych fortów. Poruszające się w tłumie długie węzowate linie bębniarzy, którzy tworzą w tańcu przenikające się kręgi. W samym środku dziedzińca stoi wysoka rzeźba ze złomu, pomalowana neonowymi i pastelowymi barwami. Składa się z drzwi samochodowych i monitorów komputerowych, zabawek i części akwariów. Nad tym wszystkim snuje się dym z marihuany i tytoniu, jego kłęby przypominają słynne sygnały dymne. Mam przed sobą koncert, ale bez sceny, bez zespołów i elektryczności. Koncert, w którym bierze udział sama publiczność.

Nico miała rację. Powiniennem być włożyć szorty.

- Jak pięknie - mamrocze moja siostra.

Odchyła się, rozkłada ręce i przymyka oczy. Zaciąga się powietrzem – głównie dymem palonej marychy, ale jej chodzi raczej o atmosferę. Ja natomiast jestem zaskoczony odbiorem tej sceny, gdy stoję naprzeciw ogromu chaosu – nie tak się czułem, prawie godzinę wracając wozem do Concord po dniu spędzonym na festiwalu Rock 101, gdy w uszach dźwięczał mi na przemian głos fałszującej przeraźliwie Alessandry Loomis i znakomity cover „Buckets of Rain” Soundgarden.

Schodzimy w dół zbocza, prosto w tłum. Rozwiązuję krawat i zdejmuję go pośpiesznie, budząc wesołość siostry.

- Pięknie, panie Starsky – kpi. – Działamy pod przykrywką.

- Zamknij się – mruczę. – Gdzie idziemy?

- Musimy znaleźć mojego kumpla Jordana – odpowiada Nico. – On ma tu wszystko połapane.

- Okay – mówię. – Gdzie go znajdziemy?

- W Dimond. To biblioteka. Będzie tam, jeśli jego komitet nadal obraduje. Chodź za mną.

Podążam za moją siostrą w głąb Krainy Czarów, truchtając kilka kroków za nią, gdy kluczy w gęstwinie ludzi i namiotów. Nico zatrzymuje się od czasu do czasu, by przywitać się ze znajomymi, przykuca przed jednym z namiotów i ściska kościstą dziewczynę w mini, biustonoszu i imponującym indiańskim pióropuszu.

Na przeciwległym krańcu dziedzińca tłum się przerzedza, tam możemy ruszyć krętą ścieżką, która prowadzi nas najpierw w kępę młodych wiązów, a potem na trawnik za

nimi. Po kilku minutach marszu dźwięki bębnienia i śpiewów przycichają, a my jesteśmy na właściwym kampusie, mijamy podobne do siebie ceglane zabudowania uczelni – wydziały geologii, kinezylogii, matematyki. Po kolejnych dziesięciu minutach trafiamy na plac z jednym tylko bębniarzem, zapewne indywidualistą, który woli grać w samotności. Facet ma na sobie spodnie od dresu i koszulkę brooklyńskich Dodgersów. Napis na kamiennym narożniku obok głosi: SZTUKI SCENICZNE, a rozkładany stojak reklamowy, który umieszczono pomiędzy kolumnami u podstawy schodów, oznajmia: „Asteroidea jako metafora: kolizja, chaos i sposoby postrzegania zagłady”.

Nico zerka na znak.

- Czy to nasz cel? - pytam.

- Nie.

- A czy ty w ogóle wiesz, gdzie mamy iść?

- Tak - zapewnia, po czym ruszamy dalej.

Wyobrażam sobie Bretta Cavatone'a idącego przez kampus w tych jego ciężkich służbowych buciorach, szukającego podobnie jak ja teraz Julii Stone. Ciekawe, jak udało mu się przejść przez posterunek na granicy? Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że użył bardziej bezpośrednich metod niż ja. Zapewne obszedł cały perymetr, wybrał najslabiej chroniony posterunek i po prostu wszedł, używając siły wobec tych chuderlawych wyrostków zgrywających twardzieli.

Idę za Nico, która wciąż taszczy ciężką torbę. Zanurzamy

się coraz głębiej w teren kampusu. Ścieżki łączą się co chwilę, zarośla gęstnieją, potem znów stają się rzadsze. Na boisku za kompleksem sportowym trafiamy na rząd chłopaków ćwiczących z bagnetami pamiętającymi czasy wojny domowej. Ktoś właśnie rzuca rozkaz: „Do ataku!”, a oni ruszają przed siebie sprintem, z bagnetami w wyprostowanych rękach, docierają do mety, zatrzymują się, śmieją, wracają.

Ilekroć Nico przystaje na rozstaju dróg i przygryzając wargę, zaczyna się rozglądać, zanim znów ruszy szybkim krokiem, czuję rosnący niepokój o to, czy ona w ogóle wie, co robi.

- Zaczekaj – rzucam w pewnym momencie. – Tutaj jest mapa.

- Mnie nie jest potrzebna – odpowiada. – Wiem, dokąd mam iść.

- Jesteś pewna?

- Przestań o to pytać.

Dalsze wyklócanie się na ma sensu. Po bliższym przyjrzeniu zauważam, że mapa została sprytnie przerobiona. Nazwy miejsc pozastępowano nowymi napisami: Zguba, Miasto Śmierci, Gdzie Psy Dupami Szczekają.

- Wiem, co robię – zapewnia mnie siostra, niby z rozmysłem skręcając w lewo, w węższą ścieżkę zabezpieczoną poręczą.  
- Chodź.

Przekraczamy mulisty szemrzący strumień, mijamy kolejny budynek, dormitorium, z którego dobiega głośna muzyka,

a towarzyszy jej seria charakterystycznych jęków. Na dachu stoi facet, całkiem nagi, pozdrawia przechodniów, jakby był uczestnikiem jakiejś parady.

- Cholera - mruczę. - Cóż oni tam wyprawiają?

- Przecież wiesz - prycha Nico, nagle płoni się, spuszcza wzrok, co w jej wypadku jest naprawdę rzadkie. - Pieprzą się.

- Aha - odpowiadam. - No tak.

Chwilę później, dzięki Bogu, docieramy do celu.

\* \* \*

Przy schodach prowadzących do podziemi biblioteki Dimond dostrzegam bladoliciego młodzieńca, który pochyla się nad zapełnionym książkami pulpitem i czyta zawzięcie, popijając ze styropianowego kubka. Twarz ma wymizerowaną, włosy niechlujnie zmierzwione i brudne. Na podłodze obok zauważam stosik zużytych saszetek herbaty, wiadro stojące nieco dalej wypełnia, ku mojemu przerażeniu, uryna. Po jednej stronie faceta leży stos książek, po drugiej piętrzy się jeszcze wyższy: rzeczy do przeczytania i już zaliczone. Stoję tak chwilę, przyglądając się temu człowiekowi, który wydaje się nieruchomy jak posąg, może z jednym maleńkim wyjątkiem - mamrocze coś pod nosem. Robi to tak cicho, że wydawać się może, iż to pomruk generatora. Trzyma palec na rogu strony do momentu, gdy nagłym ruchem przewraca ją i znów zastyga, by jak najszybciej wchłonąć treść następnej.

- Chodź - odzywa się Nico, więc ruszamy w głąb sali, mijając cztery inne pulpity, przy których także tkwią milczące postacie zatopione w szybkim czytaniu.

\* \* \*

W piwnicy Nico prześlizguje się za zielone podwójne drzwi oznaczone napisem INTROLIGATORNIA, a ja zostaję na zewnątrz, dopóki nie wróci z przyjacielem. Zapewne z Jordanem. W ciągu tych kilku sekund, kiedy drzwi stoją otworem, dostrzegam za nimi spore pomieszczenie, w którym wszystkie stoły i maszyny przesunięto pod ściany, aby zrobić miejsce ludziom siedzącym po turecku na podłodze w mniej więcej koncentrycznych kręgach. Gdy moja siostra wychodzi, któryś z nich mówi właśnie: „Zgoda, z zastrzeżeniem...”, a reszta obecnych podnosi ręce, obie, z otwartymi dłońmi. Tyle zauważam, zanim drzwi znów się zamkną.

- Zatem to twój brat? - rzuca Jordan, wyciągając do mnie rękę. - Głowy nie dam, ale wydaje mi się, że do tej pory nie poznałem prawdziwego gliniarza.

- Cóż... - odpowiadam, ściskając jego dłoń i zastanawiając się, jak mu powiedzieć, że nie pracuję już w policji, ale on mnie uprzedza:

- Jak to jest wtykać komuś pałkę w dupę? - Cofam rękę. - Pytam poważnie - dodaje.

- Nie zachowuj się jak kretyn - prosi go Nico.

Spogląda na nią z miną niewiniątka.

- No co?

Ja chcę jedynie odnaleźć zaginionego. Nic więcej mnie nie obchodzi. Jordan i moja siostra opierają się o ścianę korytarza, a ja stoję naprzeciw nich. Facet jest niski, tłustawy, ma dziecięcą twarz i ray-bany podciągnięte wysoko na czoło. Gdy Nico wyjmuje papierosy, posyła jej znaczące spojrzenie, więc moja siostra odpala dwa za jednym zamachem.

- Co tam w Republice? - pyta.

- Nudno, głupio, śmiesznie. Jak zwykle. - Jordan zerka przez ramię na drzwi z napisem INTROLIGATORNIA. - Dzisiaj dyskutujemy politykę imigracyjną. Wpuszczać ich czy wypieprzać, krótko rzecz ujmując. - Mówi pospiesznie, pociągając papierosa i wydmuchując dym pomiędzy zwięzłymi zdaniem. - Większość chce ich przyjmować, zwłaszcza że mamy już kwarantannę. Tak na marginesie, jak udało ci się go wprowadzić?

- Wystarczyło zabajerować.

- Pięknie. - Odwraca się do mnie. - Niezły garniturek, tak na marginesie. Wyglądasz jak grabarz. - Nie przestaje gadać, ma się za ważniaka. - Niewielu się tutaj dostaje. To znaczy nielegalów. Straż wybrzeża odwała kawał dobrej roboty, zawracając ich albo pakując do obozów. Sorry, mój błąd, nie pakując, tylko internując. - Uśmiecha się krzywo, potem przechyla głowę, aż mu coś strzela w karku. - Dobra, mówcie, o co biega.

- Szukam kogoś.



- Jak my wszyscy.

- Kogoś konkretnego, dupku - warczy Nico, pokazując mu język.

Jeśli się okaże, że moja siostra zakochała się w tym palancie, po prostu go zamorduję.

- Chodzi o byłą studentkę - wyjaśniam. - Powinna skończyć naukę w zeszłym roku, gdy zaczynaliście się w to bawić.... Cokolwiek tu robicie.

- Cokolwiek tu robimy? - Jordan poważnieje. - Coś ci powiem, dupku, to jest szczyt naszej pieprzonej cywilizacji. Tak wygląda demokracja, prawdziwa demokracja, ty pieprzony nazistowski oprawco.

Wbija we mnie wściekłe spojrzenie, a ja zaczynam szukać słów, którymi dałoby się załagodzić sytuację, choć szczerze mówiąc, wolałbym nie korzystać z pomocy tego osobnika. Nagle Jordan zaczyna rechotać jak nie przymierzając hiena.

- Jaja sobie z ciebie robię, stary. - Wskazuje ręką za siebie, na pomieszczenie, w którym obradują jego koledzy. - Świat lada moment pójdzie w diabły, a te jełopy siedzą tam już prawie godzinę, debatując nad potrzebą racjonowania papieru toaletowego. To naprawdę popieprzone.

- Rozumiem - odzywam się najwolniej, jak umiem, aby nie wyczuł gniewu w moim głosie. - Dlaczego w tym uczestniczysz, skoro to takie głupie?

- Chodzi o dostęp do środków. Ludzi. Nie mówiąc już o tym, że wiem swoje: nie będzie żadnego końca świata. Zgadza się, Nico?

- Jak cholera - przytakuje.

- Dziewczyna, której szukam nazywa się Julia Stone. -  
Podaję mu kampusowy adres znaleziony w aktach sprawy. -  
Hunter Hall 415.

- Tam jej nie znajdziesz - zapewnia mnie. - Wszyscy się  
przenoszą.

- Tyle to sam się domyśliłem. Dlatego pytamy ciebie, gdzie  
ją można znaleźć.

- Masz jakieś zdjęcie?

- Nie mam.

Pogwizduje, przechyla głowę w tę i z powrotem,  
wydmuchuje dym.

- Posłuchaj, bracie Nico, gliniarzu. To nie będzie proste.  
Wszystko wokół jest wymieszane jak cement w betoniarce.  
Ale zrobię co w mojej mocy.

- Dzięki - rzucam, czując, że Brett wyslizguje mi się coraz  
bardziej, nie zapominam przy okazji o czterech godzinach,  
które moi nowi przyjaciele dali mi przy wejściu do Thompson  
Hall. Houdini dość się już wycierpiał. - Ile to potrwa?

- Ile? - Jordan spogląda na moją siostrę. - Czy tak policjanci  
mówią dziękuję?

- Boże - odpowiada Nico, dźgając go palcem w pierś. -  
Z ciebie naprawdę jest kutas.

- Spotkamy się w namiocie stołówki za półtorej godziny -  
mówi mi Jordan. - Jeśli do tej pory jej nie namierzę, nie uda  
mi się to nigdy.

\* \* \*

Za rogiem biblioteki Dimond znajduje się masa podobnych do siebie budynków mieszkalnych. Na placyku, który szczelnie otaczają, gra teraz z dziesięciu młodych chłopaków. Dzieciak w wiktoriańskim meloniku potrząsa styropianowym kubkiem, by rzucić na bruk kości, a gdy padają z głośnym trzaskiem, pozostali zaczynają wrzeszczeć i ruszają biegiem dookoła placu. Nakreślony kredą napis głosi: GRUPA ROBOCZA WULKANISTYKI ANTYPODALNEJ.

- Wiesz, co to może znaczyć? - zwracam się do Nico, ale ona wzrusza jedynie ramionami.

Odpala kolejnego papierosa, nie wykazując najmniejszego zainteresowania.

Gracze nie tylko biegają, lecz także rysują, zatrzymują się, by nakreślić coś w odpowiednich miejscach wielkiej planszy do gry, którą wymalowano na bruku. Chłopak w kapeluszu zgarnia kości, wrzuca je ponownie do kubka, po czym podaje następnemu graczowi, pospolicie wyglądającej dziewczynie w zwiewnej sukience i koszulce z logo doktora Who. Te dzieciaki przypominają mi rówieśników ze szkoły, z którymi nigdy się nie zaprzyjaźniłem, choć ich lubiłem. Tych, którzy grywali w D&D i pracowali po lekcjach: niechlujnych, niemodnych, chodzących w źle dobranych ciuchach i okularach, czujących się źle wszędzie poza własną grupą. Dziewczyna rzuca kości i tym razem wszyscy wołają chóralnie: „Ka-bum!”.

Podchodzę krok bliżej, z tego miejsca widzę już, że na placyku wyrysowano kontury kontynentów w tradycyjnym rzucie, jakby powiększono mapę. Gracze zaznaczają na niej współrzędne określane w jakiś sposób przez sumę liczb wyrzucanych kości. Trajektorie prowadzące do stref zniszczeń biegną w rozmaitych kierunkach. Jedna dociera do południowej Europy, inna mija Tokio, przecinając Pacyfik. Ciemnowłosa dziewczyna przykuca przy kolejnych miastach, przekreślając ich nazwy grubym markerem.

- Nie! Nie San Francisco! - jęczy inna, z dziwaczną fryzurą, i wybucha śmiechem. - Tam jest moje dawne mieszkanie!

Po chwili pozwalam Nico odciągnąć się od tej zabawy, wracamy ścieżkami wiodącymi przez tereny, które należały ongiś do UNH. Po raz kolejny wyobrażam sobie f. Cavatone'a, widzę oczami wyobraźni, jak błądzi w tym gąszczu przejść. Ciekawe, co myślałby o tym wszystkim: o polach namiotowych, dzieciakach, o grupie roboczej wulkanistyki antypodalnej? Twardy gliniarz ze stanówki trafiający w sam środek niekończącego się przyjęcia na cześć asteroidy. Zatrzymuję się i potrząsam głową. Coś ty sobie ubzdurał, Henry? Wydaje ci się, że zobaczysz go tutaj, jeśli uda ci się wyobrazić go sobie ze wszystkimi szczegółami?

\* \* \*

W namiocie stołowym całe żarcie jest darmowe, ciepłe i smaczne. Stoi tam poważnie wyglądająca kobiecina w brudnym żółtym fartuchu, podająca z długiego stołu zupę,

mięso i deser czekoladowy. Inne dania i herbatę można brać samemu. Przyglądam się bufetowi z nadzieją - kto wie? w tym innym świecie, przy innej organizacji... - ale niestety, tutaj też nie dostrzegam kawy. Ludzie wchodzą i wychodzą, odchylają połę brezentu, rzucając kucharce zwyczajowe „cześć”, biorą tacki i nakładają sobie jedzenie. Obywatele Republiki w większości są w szkolnym wieku albo nawet młodszy, lecz dostrzegam wśród nich także garstkę dorosłych. Obok nas przy stole piknikowym siada na przykład facet w średnim wieku, z długą siwą brodą i wydatnym brzuchem. Ma na sobie typową koszulkę do kręgli i co robi? Obwiązuje sobie rękę nad łokciem zwykłym przedłużaczem i jak gdyby nigdy nic daje sobie w żyłę, zapewne heroinę.

Próbuję go ignorować. Rozłamuję bułkę i otwieram małe pojemniczki margaryny.

- Słuchaj - rzucam do siostry - ten Jordan to twój chłopak?

Wybuchają śmiechem.

- Tak, tato. To mój chłopak. I wiesz, zastanawiam się, czy nie iść z nim na całość, ale proszę, nie wspominaj o tym Jezusowi.

- Bardzo zabawne.

- Wiem.

- Tak między nami... - Rozsmarowuję margarynę plastikowym nożem. - Nie lubię go.

- Tak między nami, mam to gdzieś. - Nico znów wybuchają śmiechem. - Ale prawdę powiedziawszy, ja też go nie lubię. Okay? Jest częścią naszej sprawy. Kumplem z zespołu.

Rozsiadam się wygodniej, by wgryźć się w bułkę. Nico cały czas targa tę tajemniczą torbę, wielką i nieporęczną, nawet teraz trzyma ją na ławce tuż przy sobie. Brzuchaty ćpun siedzący na końcu naszego stołu wydaje z siebie głośny jęk, naciskając tłoczek strzykawki, zaciska zęby, odchyła mocno głowę. W tym, że szprycuje się na naszych oczach, jest coś przerażającego, a zarazem fascynującego, zupełnie jakby kopulował albo kogoś zabijał. Odwracam wzrok, by spojrzeć ponownie na Nico.

Rozmawiamy. Nadrabiamy stracony czas. Opowiadamy sobie historie z dawnych czasów, o dziadku, o mamie i tacie, o Nico i jej porąbanych przyjaciółach ze szkoły, o kradzieży samochodów, picciu podkradanego piwa, wynoszeniu rzeczy ze sklepów. Przypominam jej gorliwe zachęty ze strony mamy, gdy Nico w bardzo młodym wieku zaczęła przejawiać zainteresowanie gimnastyką artystyczną. Moja pozbawiona koordynacji ruchów siostra próbowała wykonać salto, wyszło jej to marnie, rzecz jasna, wylądowała boleśnie na chudej pupie, a mama i tak biła brawo i z rękami przy ustach krzyczała: „Nico Palace, panie i panowie. Nico Palace!”.

Dojadamy zupełę, potem zerkam na zegarek. Jordan powiedział: półtorej godziny, a minęło dopiero pięćdziesiąt pięć minut. Narkoman bełkocze coś pod nosem, zapewne komentując swój odjazd.

- Słuchaj, Henry - zagaja siostra takim samym niby niewinnym tonem, jakiego używał Culverson, gdy zamierzał zapytać, czy jej nie widziałem. - Co tam u ciebie?

- W jakim sensie?
- Dziewczyny - precyzuje. Spoglądam w górę. Dach namiotu stołówki nie jest cały, w długim rozcięciu widzę błękit nieba.
- Tej, która zginęła.
- Naomi - przypominam jej imię. - W porządku.
- Naprawdę?
- Naprawdę.

Nico wzdycha, głaska mnie po wierzchu dłoni, to miły gest przypominający mi zachowania naszej od dawna nieżyjącej mamy. Mogę sobie nas wyobrazić w odległej przyszłości, która nie nadejdzie, powiedzmy, że w innym wymiarze. Nico staje w moich drzwiach na Święto Dziękczynienia albo w Wigilię, gdy jej głupi mąż, za którego kiedyś wyjdzie, jeszcze parkuje wóz, a moi uroczy siostrzeńcy wdzierają się szturmem za próg, żądając wydania prezentów.

- Jedno pytanie - rzucam. - Kojarzysz może nazwisko Canliss?
- Nie. Nie sądzę.
- Nie chodziliśmy z kimś takim do szkoły?
- Wątpię. Dlaczego pytasz?
- Tak sobie - odpowiadam wymijająco. - Zapomnij.

Wzrusza ramionami. Szefowa kuchni zaczyna śpiewać, coś operowego, chyba z „Wesela Figara”. Do namiotu wkracza nowa grupka, trzech chłopaków i dwie dziewczyny, wszyscy mają na sobie jaskrawopomarańczowe koszulki i adidasy, jakby należeli do jakiejś drużyny sportowej. Kłócą się głośno, ale nie gniewnie, o przyszłość ludzkości.

- Okay. Powiedzmy, że zginą wszyscy prócz dziesięciu ludzi  
- rzuca jeden z chłopaków. - Powiedzmy, że jeden z nich  
otwiera sklep...

- Kapitalistyczna świnia! - wpada mu w słowo któraś  
z dziewczyn i znów zaczyna się kłótnia.

Czoło ćpuna uderza w ławę z głośnym łomotem.

- Wiesz, powinnaś wrócić ze mną do Concord - stwierdzam  
nagle, kierując te słowa do siostry. - Jak rozwiążę tę sprawę.  
Pomieszkamy w domu dziadka przy On Little Pond Road.  
Będziemy się dzielić zapasami. Przeczekamy to razem.

- Chciałabym, braciszku - odpowiada rozbawiona Nico.  
Oczy jej lśnią. - Ale mam świat do uratowania.

\* \* \*

Jordan pojawia się w namiocie dokładnie o czasie, tak jak  
obiecał, z ray-banami i tym cholernym uśmiechem na  
twarzy. Zapisał informacje na temat Julii Stone na małym  
skrawku opakowania po papierosach, który wsuwa mi teraz  
w dłoń jak napiwek bagażowemu.

- Jest w S&P - rzuca do Nico.

- Bez jaj - odpowiada moja siostra.

- Co to jest S&P? - pytam.

- To jeden, jak by to powiedzieć... z wielkich komitetów -  
wyjaśnia mi siostra.

- Okay - mówię, zerkając na papierek. Zapisał na nim to, co  
powiedział. Julia Stone S&P. - To gdzie ją znajdę?

Jordan mierzy mnie wzrokiem.



- Czy ty masz jakiś filozoficzny albo moralny problem z dziękowaniem ludziom za oddane ci przysługi?

- Dziękuję - mówię. - Gdzie ją znajdę?

- Cóż, to trochę skomplikowane. S&P zbiera się za każdym razem w innym miejscu. - Unosi okulary, by puścić do mnie oczko. - Wiesz, ściśle tajne łamane przez poufne.

- Dajże spokój - prosi Nico, odpalając kolejnego papierosa.

- Dlaczego jej szukacie? - pyta Jordan.

- Nie mogę powiedzieć.

- Naprawdę? - dziwi się. - Nie możesz? Przebyłeś taki szmat drogi po informację, ale nie jesteś gotów dokonać za nią wymiany? Co zrobisz, gdy nadejdą czasy kanibalizmu i będziesz musiał negocjować ze Stanem Jaskiniowcem, kto zje jakiegoś dzieciaka?

- Ty naprawdę jesteś wielkim kutasem - wzdycha Nico, wypuszczając kłęb dymu.

- Ależ skąd - zaprzecza Jordan. - Nie jestem. - Odwraca się do niej, w jednej chwili poważniejąc. - Przyszłaś do mnie po informację, bo wiedziałaś, że mogę ją zdobyć. Jak myślisz, skąd ją wytrzasnąłem? Informacja to zasób, taki sam jak żarcie i tlen. Jezu, Louise! - Wyrzuca ręce w górę, po czym odwraca się do mnie. - Wszyscy wciąż czegoś chcą i chcą. Ale nikt nie chce niczego dać. - Rzuca papierosa na ziemię, dźga mnie palcem w pierś. - Dlatego... ty... dasz. Szukasz Julii Stone. Mów, dlaczego.

Milczę jak grób. Ręce trzymam splecione na piersi. Na pewno nie, myślę sobie. Dałeś mi wystarczająco dużo, bym

reszty dowiedział się na własną rękę. Patrzą mu prosto w oczy. Wybacz, klaunie.

- Szuka jej pewien facet - odzywa się moja siostra, wbijając wzrok w ziemię. - Były gliniarz.

- Nico! - mamrocze kompletnie zaskoczony.

Nawet na mnie nie spogląda.

- Ten gliniarz jest w niej zakochany, a mój brat próbuje go odszukać. Z polecenia żony tego gościa.

- Bez jaj - rzuca zdziwiony Jordan. - Widzisz? To interesujące. I... i... - Mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów z lekko rozwartymi ustami i przymkniętymi powiekami, jakbym był jakimś mitycznym stworem, co najmniej gryfem. - Dlaczego się tego podjąłeś?

- Sam nie wiem - przyznaję, ponieważ mam już tego dość. Jestem gotów stąd iść. - Może dlatego, że jej obiecałem.

- No, no.

Daje mi resztę informacji, których potrzebuję. S&P to skrót od Szacunek i Powściągliwość, a spotkanie odbywa się „właśnie teraz” w sali wykładowej numer 110 w Kingfisher, więc powinienem się pośpieszyć. Gdy wstaję, Jordan chwyta Nico za łokieć i szepce jej do ucha:

- Zostajesz tutaj, tak? Mamy parę bardzo zabawnych spraw do omówienia.

- Henry? - Oczy Nico znów lśnią. Unosi rękę i głaska mnie po policzku. - Zobaczymy się niedługo?

- Jasne - odpowiadam, odsuwając jej rękę.

Jestem blisko, tak blisko... Ruszam, ale zaraz się

zatrzymuję.

- Nico, co masz w tej torbie?
- Cukierki - odpowiada, wybuchając śmiechem.
- Nico.
- Prochy.
- Naprawdę?
- Pistolety. Ludzkie czaszki. Syrop klonowy.

Odwraca się, on także i wychodzą, trzymając się pod rękę. Znikają za brezentową przesłoną namiotu stołówki, wchłania ich kłębiący się tam tłum. Nico Palace, panie i panowie. Moja siostra.

### 3.

Przy ścieżce prowadzącej do Kingfisher Hall rosną okazałe dęby, szpaler ich wyniosłych prostych pni niczym gwardia pretoriańska pilnuje drogi pnącej się w górę zbocza. Z ich konarów zwisają banery, podstawowe kolory i proste fonty obwieszczają minione większe i mniejsze przykłady masowej zagłady: „zaraza Justyniana” z 541 roku, wybuch superwulkanu Toba sprzed siedemdziesięciu pięciu tysięcy lat, wielkie wymieranie permskie, wymieranie kredowe... i tak dalej, i tak dalej, parada pandemii, kataklizmów i wyginięcia całych gatunków zdobi podejście.

Wchodzę do budynku, mijam jego przepastne, nakryte kopułą, rozświetlone promieniami słońca atrium, idę następnie długim korytarzem pełnym tablic ogłoszeniowych, jakimś cudem ocalałych, oferujących granty, stypendia, możliwości odbycia praktyki dla studentów kierunków technicznych.

Gdy otwieram podwójne drzwi oznaczone numerem 110, natychmiast odnoszę wrażenie, że zorganizowano tutaj kolejne przyjęcie, poboczną imprezę festiwalu trwającego nieprzerwanie na głównym dziedzińcu. To wielka sala wykładowa, zatłoczona i głośnie, mam przed sobą tłum mieszkańców Republiki, odprężonych, ubranych rozmaicie, od dresów po coś, co wygląda jak piżamy My Little Pony dla dorosłych.

Ludzie tu zebrani biorą udział w zawziętej dyskusji, niektórzy drzemią rozłożeni wygodnie na trzech siedzeniach. Szukając wolnego miejsca, sunę w górę audytorium, powoli, ostrożnie, aby jak najmniej rzucać się w oczy. Po drodze zauważam co najmniej trzy zamrażarki wypełnione lodem i butelkami bez nalepek.

Na tym, co się dzieje w sali, mogę się skupić, dopiero gdy już siedzę w jednym z ostatnich rzędów - jakiś młody człowiek stoi plecami do tłumu rozebrany do pasa, z rękami związanymi linką. Za nim na niskim podeście dostrzegam rozkładany stół, za którym siedzi dwóch chłopaków i dziewczyna mniej więcej w studenckim wieku. Wszyscy mają srogie miny, pochylają się do siebie, szepczą.

Moszczę się na wąskim siedzisku, z trudem krzyżując nogi, i obserwuję uważnie bieg wydarzeń. Jeden z sędziów, facet w okularach, z bujnymi lokami na głowie, prostuje się i odchrząkuje, oczyszczając krtań.

- Okay - rzuca. - Możemy prosić o ciszę?

Ten ze związanymi rękoma porusza się nerwowo.

Rozglądam się po sali. Byłem świadkiem wielu procesów, toteż wiem, że z tym właśnie mam do czynienia. Lokaty prosi raz jeszcze o ciszę, więc tłum milknie, uspokaja się, ale tylko trochę.

Julia Stone jest gdzieś w tej sali, w tym tłumie.

- Możemy już kontynuować? - pyta dziewczyna siedząca pośrodku sędziowskiego triumwiratu. - Możemy rozpocząć głosowanie potwierdzające prawo komitetu S&P do

pilnowania porządku i bezpieczeństwa naszej społeczności?  
Ktoś jest przeciw?

Rozgląda się po audytorium. Podobnie postępują dwaj pozostali sędziowie, lokaty i ten siedzący po prawej, o pyzatej twarzy i zadartym nosie, wyglądający – przynajmniej moim zdaniem – na niepełnoletniego. Spora część zgromadzonych nie wykazuje wielkiego zainteresowania procesem. Ludzie rozmawiają, pochylając się mocno nad pulpitemi bądź odwracając do tych, którzy siedzą za nimi. Z miejsca, które zajmuję, widzę też faceta zwijającego największego džointa świata. Dwa rzędy za mną jakaś para zajmuje się właśnie sobą, gdy patrzę w ich kierunku, dziewczyna siada okrakiem na partnerze. Chłopak po mojej prawej, o ziemistej cerze i włochatych rękach, gapi się na coś, co trzyma między nogami.

- Hej! – irytuje się dziewczyna ze sceny. Ma ostre rysy, okulary w czarnej rogowej oprawie i włosy spięte w kucyk. Przed nią na blacie ustawiono złożoną kartkę, na której ktoś nabazgrał słowo: PRZEWODNICZĄCA, jedyny znak jej władzy. - Możemy kontynuować?

Ci z tłumu, którzy obserwują bieg wydarzeń w dole – nie więcej jak połowa zgromadzonych – wykonują gest podobny do tego, który widziałem wcześniej pod biblioteką: unoszą obie ręce nad głowę, jakby się poddawali. Domyślam się, że to coś na kształt akceptacji, ponieważ dziewczyna kiwa z zadowoleniem głową.

- Świetnie - mówi.

Oskarżony wyciąga nerwowo szyję, próbując obejrzeć się przez ramię.

- Kto to? - pytam szeptem sąsiada.

- Co? - mamrocze, patrząc na mnie pustym wzrokiem. Między nogami trzyma iPhona i nawet odpowiadając, nie przestaje przesuwac palcem po martwym ekranie. Robi to bezwiednie, raz po raz.

- Kim jest oskarżony? - Chłopak marszczy nos, a do mnie dociera właśnie, że być może użyłem źle kojarzącego się tutaj wyrażenia. - Co zrobił?

- Szczerze mówiąc, nie wiem - odpowiada, przenosząc wzrok na pozbawionego koszuli roztrzęsionego faceta stojącego przed podwyższeniem, jakby dopiero teraz go zauważył. - Pewnie coś przeszkrobał. Następnym punktem obrad ma być polityka wobec nagości. Pewnie dlatego mamy taką dużą frekwencję.

- Aha - mruczę, pozwalając mu wrócić do iPhona.

- Zatem dobrze - mówi tymczasem przewodnicząca składu sędziowskiego, zwracając się teraz bezpośrednio do oskarżonego. - Powinniśmy zacząć od przeproszenia ciebie jako członka naszej społeczności. Rozumiemy też, że powodem twojego... zatrzymania był akt niepotrzebnej przemocy.

Więzień odmrukuje coś, czego nie jestem w stanie zrozumieć, ale przewodnicząca potakuje. Przed pozostałymi sędziami także stoją złożone kartki. Lokaty jest WICE, a pucołowaty WICE WICE.

- Gdyby ktoś nie dosłyszał - odzywa się wice - to gościu powiedział: spoko.

Tłum wybucha śmiechem.

- No pięknie! - krzyczy ktoś sarkastycznie, więc wszyscy się odwracają, by na niego popatrzeć: grubas w kombinezonie i czapce malarskiej. - Spoko, ludziska. On jest spoko. Nie ma problemu.

Znowu śmiechy. Coraz więcej ludzi zdaje się zwracać uwagę na przebieg procesu. Ktoś inny, siedzący blisko drzwi, dodaje:

- Dzięki Bogu!

Para romansująca za moimi plecami uspokaja się na moment, by spojrzeć w kierunku podwyższenia, ale zaraz wraca do przerwanych karesów. Obserwując ten chaos, próbuję opracować plan działania. Zaczynam od oszacowania przybliżonej liczby obecnych na sali: jest tutaj ze sto rzędów, w każdym od pięćdziesięciu do siedemdziesięciu pięciu siedzisk, co najmniej osiemdziesiąt procent zajętych. Ponad połowa widowni to kobiety. Nie dysponuję zdjęciem Julii Stone, nie mam nawet jej pobieżnego opisu: czy jest ciemnoskóra, jakie ma znaki szczególne, jak się ubiera. Wiem jedynie, że powinna mieć od dwudziestu do dwudziestu czterech lat, a takich kobiet wokół mnie znajdzie się ze dwie setki.

- Okay - odzywa się znowu przewodnicząca. - Kradzież dobra wspólnego jest jednym z najpoważniejszych wykroczeń wobec prawa Wolnej Republiki. To jebana zbrodnia. Możemy



sobie z nią poradzić na wiele sposobów, ale równie ważne jest to, aby każdy mógł się wypowiedzieć na ten temat.

Rozglądam się wokół, bezskutecznie próbując zawęzić krąg osób, które mogą być Julią Stone. W jakim typie dziewczyny zakochałbym się, gdybym był Brettem? Do jakiej kobiety uciekłbym tuż przed zagładą?

Niestety nie jestem Brettem. Nigdy go nawet nie widziałem. A termin powrotu do Thompson Hall upływa za trzy kwadranse. Tyle mam czasu na odebranie psa i opuszczenie tego miejsca.

- Przepraszam, skończyłaś już? - pyta wice, spoglądając z szacunkiem na koleżankę, która przytakuje. - Czy ktoś ma coś do dodania w tej sprawie?

Kilkoro spośród obecnych schodzi już na dół bocznymi przejściami, unosząc ręce, jakby zgłaszali się do odpowiedzi. Trzeci sędzia, zastępca wiceprzewodniczącego, obserwuje ich uważnie. Nic nie mówi, tylko wodzi tymi świńskimi oczkami po audytorium. To on będzie udzielał głosu.

Trzy rzędy za mną siedzi kobieta o włosach tak ciemnorudych, że wydają się niemal brązowe. Zauważam ją, ponieważ notuje coś zawzięcie na papierze rozłożonym na gołych udach. Ma na sobie czarne mini i buty tego samego koloru. Brettowi powinna wydać się atrakcyjna, myślę.

Pierwszym, który chce wtrącić swoje trzy grosze, jest niski facet w bojówkach i czerwonej koszulce. Stojąc w przejściu, odczytuje z kartki mocno podekscytowanym głosem:

- Już sama idea kradzieży z komunalnego sklepu jest

odbiciem kapitalistycznej mentalności. Innymi słowy, coś takiego jak kradzież nie może i nie powinno istnieć w postkapitalistycznej rzeczywistości, w której coś takiego jak czyjaś własność – wymawia to słowo z wyraźnym obrzydzeniem – nie istnieje. – Gdy mówca przerzuca kartki, zastępca zastępcy spogląda na niego z irytacją. – Musimy przeciwdziałać zachowaniom, które dotyczą realnych problemów, a nie kapitalistycznych wymysłów.

- Okay – podsumowuje przewodnicząca.

Kurdupel odrywa wzrok od stosu kartek, widząc, że nie zamierza na tym poprzestać.

- Dziękuję – dodaje bardziej stanowczo dziewczyna.

- W kwestii regulaminowej – rzuca ktoś z tylnych rzędów, ten grubas w dresie, więc przewodnicząca oddaje mu głos skinieniem głowy. – Chciałem tylko skomentować zdanie przedmówcy: to brednie.

Czujny antykapitalista spogląda ze smutkiem na audytorium, czuje się skrzywdzony. Przewodnicząca, uśmiechając się pod nosem, przekazuje głos następnemu mówcy. W obu przejściach uformowały się już krótkie kolejki chętnych. Ja nie spuszczam wzroku z ciemnowłosej kobiety siedzącej trzy rzędy za mną. Co powinienem w tej sytuacji zrobić? Jak długo potrwa to posiedzenie?

Kolejnym mówcą jest dziewczyna o długich dreadach, która proponuje wprowadzenie skomplikowanego systemu odkupywania win, podczas którego oskarżeni o naruszanie norm współżycia musieliby nawiązać dialog ze społecznością,

aby przedyskutować naturę swoich występków. Ten pomysł podoba się zastępcy, widzę, że przytakuje każdemu zdaniu dziewczyny z taką gorliwością, aż mu podskakują loki. Dalej jest podobnie, występuje mówca po mówcy: jeden zastanawia się, czy dzisiejszy proces nie zainspiruje ludzi do naruszania kolejnych praw, ktoś pyta uprzejmie, czy dyskusja o nagości nie zeszła z porządku obrad, a zdecydowane potwierdzenie zastępcy wywołuje powszechną radość. Dziewczyna z gorejącymi oczyma i grubym warkoczem zbiega na dół i oświadcza, że zliczyła dokładnie mówców z tego posiedzenia i z sześciu poprzednich i oświadcza, że kolorowych uczestników dyskusji było dwunastokrotnie mniej niż białych.

- Hm – mruczy zastępca. - Może dlatego, że radykalne ruchy zawsze były domeną uprzywilejowanych?

- Może dlatego, że jesteśmy w pieprzonym New Hampshire - wtrąca klasowy trefniś, grubas w dresie.

Gdy zebrani reagują radosną wrzawą, rudowłosa kobieta odrywa wzrok od notatek, rozgląda się wokół i zauważa, że ją obserwuję. Nie spuszcza jednak wzroku. Patrzy mi prosto w oczy. Myślę, że mógłbym jej przekazać wiadomość, taką na kartce, ale wydaje mi się to tak absurdalne, że omal nie wybucham śmiechem. Nazywasz się Julia Stone? Jeśli tak, postaw krzyżyk w odpowiednim okienku.

- Okay - odzywa się przewodnicząca. - To wystarczy. Jak tam z czasem?

Wice wygląda na zaskoczonego, lecz jego zastępca

przytakuje skwapliwie. Oskarżony drży, pochyla się mocniej, znów się rozgląda po sali. W innych okolicznościach brak koszuli mógłby być wzięty za potężny atut, ale z niego czyni bezbronną ofiarę, kręgi na odkrytych plecach poruszają się pod skórą jak ryby wystawiające płetwy nad wodę.

- Przepraszam - mówię. - Przepraszam! - Wstaję. Zwariowałem. To najgłupsze, co mogę teraz zrobić. Ale robię to. - O kradzież czego został oskarżony?

Wszyscy zgromadzeni spoglądają na mnie w tej chwili - człowiek, który najmniej pasuje do tego tłumu, znalazł się nagle w centrum uwagi.

- To teraz nieważne - odpowiada mi wice, zerknąwszy na przewodniczącą, aby otrzymać zgodę na załatwienie tej sprawy. - Nasz protokół mówi, że ze względu na brak czasu i zasobów mamy się skupiać na sednie sprawy.

- Tak - popiera go dziewczyna. - Właśnie tak.

Zastępca zastępcy wbija we mnie spojrzenie, ostre, nieprzyjemne, czuję się, jakby obserwował mnie sęp.

- Ale on musi przecież wiedzieć, o co jest oskarżony. - Wskazuję głową podsądnego.

Niewiele brakuje, by tłum całkowicie umilkł. Mój występ zakłócił piknikową atmosferę tego spotkania. Chłopak z siedzenia obok, ten od iPhona, kuli się w fotelu, jakby chciał zwiększyć dzielący nas dystans. Kobieta, którą biorę za Julię Stone, spogląda na mnie z takim samym zainteresowaniem jak cała reszta audytorium. Zaczynam się denerwować.

Postąpiłem głupio, ale skoro otworzyłem usta, muszę iść za ciosem.

- Ma także prawo stanąć twarzą w twarz z tymi, którzy go oskarżają - dodaję. - Jeśli ktoś mówi, że ten człowiek coś mu ukradł, również powinien stawić się przed sądem.

Oskarżony rozgląda się śmieiej, potem patrzy z obawą w kierunku sędziów, jakby próbował zrozumieć, czy moja interwencja pomaga mu czy wręcz przeciwnie, może go pograżyć. Sam nie jestem tego pewien, przyjacielu, przekazuję mu telepatycznie. Naprawdę nie mam pojęcia, do czego to doprowadzi. Gdzieś w głębi sali ktoś otwiera piwo, słyszę charakterystyczny trzask i syk uwalnianego gazu. Na oparciu fotela przede mną jest napis: RON KOCHA CELIĘ, wykonany przez jakiegoś znudzonego studenta w czasach, które należą już do przeszłości.

- To nie tak, że nie mamy pojęcia o materiale dowodowym - oświadcza wice, obracając się na krześle, by mnie lepiej widzieć. - Chodziłem na prawo w Duke, rozumiesz? Tyle że stare zasady tracą znaczenie w obecnej sytuacji.

- Jak więc zamierzacie wydać wyrok...

- Nie nazywamy tego wydaniem wyroku...

- ...bez uczciwego procesu?

- Moment - wtrąca trzeci z sędziów, zastępca zastępcy, w końcu podnosząc buzujący gniewem głos. - Kim jesteś?

Otwieram usta, lecz nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Szukam rozpaczliwie sensownej odpowiedzi, ale każda wydaje się mocno niewystarczająca. Ci ludzie mogą mnie

nawet zabić – naprawdę mogę tutaj zginąć. Wolna Republika New Hampshire, pomimo głoszenia równościowych haseł i newage'owej ideologii, jest wyjętym spod prawa miejscem, w którym stare przepisy nie mają zastosowania, jak słusznie zauważył młodzieniec udający sędziego. Mogę zostać zlinchowany, jeśli tłum tego zażąda, mogą mnie pobić na śmierć albo zastrzelić, a ciało porzucić gdzieś na uboczu. Nico i Houdini nigdy się nie dowiedzą, dlaczego nie wróciłem.

- No - ponagła mnie zastępca zastępcy, podnosząc się z krzesła.

- Ja wiem - odzywa się niespodziewanie przewodnicząca.

- Co wiesz? - pyta wice.

- Wiedziałam, że przyślą kogoś, by go znalazł.

Spogląda na mnie zza stołu – ręce skrzyżowane na piersiach, okulary, kucyk – a ja patrzę jej prosto w oczy.

- Co takiego? - Jej zastępca zdaje się mocno zaskoczony. - O czym ty mówisz u licha?

Ale Julia Stone w ogóle się nie przejmuje jego pogubieniem ani zdziwieniem otaczającego nas tłumu. Spogląda na mnie chłodno.

- Mówiłam mu, że kogoś za nim przyślą. Bo to wasze metody, prawda? Wy tropicie ludzi.

Ciche pomruki zgromadzonych przeradzają się z wolna w paplaninę. Ludzie znów pochylają się do siebie, by trącać się łokciami i wymieniać pytania albo uwagi. Ignoruję ich, skupiając wzrok wyłącznie na Julii Stone.

- Możemy wrócić do procedowania - proponuje nieśmiało wice.

- O czym ty mówisz? - pyta ten pucołowaty, stojąc jak posąg.

- Ten człowiek przekroczył granicę, podając nieprawdziwe powody - wyjaśnia Julia, wytykając mnie placem. - Nie przybył, by z nami zamieszkać, tylko by zinfiltrować naszą społeczność. Wysłano go z misją wytropienia innego człowieka, jakby był psem albo świnią.

Zapada cisza, w której ludzie wodzą w napięciu wzrokiem od Julii do mnie i z powrotem. Znów to czuję: przeświadczenie, że ci ludzie mogą mnie zabić, że mogę zginąć w tej sali i nikt się o tym nie dowie. Jednocześnie odczuwam zalewającą mnie falę ekscytacji, patrzę na kobietę, której imieniem Brett nazwał pizzę, na kobietę, która zdołała odciągnąć go od Concord i żony, na kobietę, której szukałem i którą znalazłem. Chciałbym zrobić jej zdjęcie, przesłać detektywowi Culversonowi i powiedzieć: „A widzisz? Widzisz?”.

- Zdajesz sobie sprawę, gdzie jesteś? - pyta mnie Julia. - To nowy świat. Nie ma w nim miejsca na procedury policyjne.

- Nie jestem policjantem - odpowiadam jej.

- Czyżby? - kpi. - No to kimś tym w rodzaju.

- O co tu chodzi, Julio? - pyta zastępca zastępcy, robiąc agresywny krok w jej kierunku, na co wice zrywa się z miejsca i powstrzymuje go, kładąc mu dłoń na piersi.

- Spokojnie.

Julia nie spuszcza ze mnie wzroku.

- Nie uda ci się go zabić.

- Zabić? - mówię. - Ale ja nie... Jego żona mnie tu przysłała.

- Jego żona?

Stoi chwilę, ciężko dysząc, trawiąc moje słowa, rozważając, jak powinna zareagować, a ja myślę tylko o jednym. Zabić go? Kto by tu przychodził, żeby go zabić?

- Wybaczcie - przeprasza Julia kolegów z trybunału, a potem zwraca się do sali: - Proszę o przerwę w trybie wyjątkowym. Muszę porozmawiać z tym człowiekiem w cztery oczy.

- Daj spokój - obrusza się zastępca zastępcy. - Wczoraj też poprosiłaś o odroczenie sprawy.

- Tak, wiem - odpowiada oschle. - Nadeszły ciężkie czasy.

Julia Stone schodzi z podestu, pokazując mi gestem, że mamy się spotkać przy drzwiach. Schodzę na dół, chłopak ze związanymi rękami siada, jest skołowany, a zastępca przewodniczącej wykorzystuje chwilę i ogłasza rozpoczęcie następnego punktu obrad, czyli dyskusję o dopuszczeniu nagości w miejscach publicznych. Widownia szaleje, wszystkie ręce unoszą się w górę.



## 4.

Kobieta, którą kocha Brett, podobnie jak jego żona, nie jest piękną, a w każdym razie nie w normalnym tego słowa rozumieniu. O ile jednak przeciętność Marthy Milano równoważy ciepło jej natury, o tyle szczupłutka i raczej ponura Julia Stone nadrabia braki czymś zupełnie przeciwnym. Ona nie mówi, lecz głosi, przemawia pospiesznie z błyskiem w czarnych oczach, faszerując każde słowo ładunkiem energii.

- Tak - rzuca. - Te dzieciaki. Na dachu. Widzisz je? - Spoglądam tam, gdzie wskazuje, na dach akademika i poruszające się po nim żywo sylwetki. - To siłownia. Jest tam dzisiaj ze dwadzieścia osób. Czasami przychodzi naraz trzydzieści pięć do czterdziestu. Rowerki, atlasy. To przykład. Jeśli do nas dołączasz, możesz robić, co ci w duszy zagra, o ile, A: nie koliduje to ze swobodami pozostałych członków grupy, i B: jeśli twoje działania, tam gdzie jest to możliwe, przynoszą pożytek reszcie społeczności.

Julia milknie i wbija wzrok w wiszące przed nią powietrze, jakby usiłowała wypatrzeć w nim wypowiedziane dopiero co słowa. Napawa się ich brzmieniem, zanim przejdzie dalej. Stoimy na dachu Kingfisher Hall, między rurami ciepłowniczymi, przy zaniechanym ogródku i podniszczonej sofie, którą ktoś zdołał wtaszczyć tutaj po betonowych schodach i przepchnąć przez właz.

- Mamy tu zespół stypendystów, którzy podłączyli sprzęt z siłowni do dynam, by produkowały energię elektryczną, która trafia potem do centralnego akumulatora. Żeby na przykład... - wskazuje palcem kolejny budynek, stojący znacznie bliżej, którego okna na parterze są szczelnie zasłonięte - ...ci sami ludzie mogli tam oglądać filmy. W tej chwili mamy festiwal kina francuskiej Nowej Fali. Jutro będzie przegląd Tarantino. Potem coś jeszcze innego. Głosujemy nad wyborem. Mamy specjalny komitet zajmujący się tymi sprawami.

- Ciekawe - przyznaję, wciąż usiłując znaleźć klucz do niej i do tej rozmowy. „Gdzie on jest?” Tylko to pytanie chciałbym jej zadać. Gdzie jest Brett?

- Ciekawe? - prychna Julia. - Owszem, to może wydawać się ciekawe, ale nie o to mi chodziło. Odpowiadam na pytanie, które zadałeś tam, na dole. Jak możemy wydać wyrok na kogoś, kto niekoniecznie jest winny? - Spogląda na mnie uważnie przez grube szkła okularów. - Czy nie tak brzmiało?

- Mniej więcej.

- Nie. Właśnie to chciałeś wiedzieć. Nie kręć. On tego nie zrobił, tak na marginesie.

Unosi dumnie brodę, czekając na wyrażenie podziwu, okazanie zdziwienia albo złości. Szczerze mówiąc, zaskoczyła mnie nieco: wciąż mam przed oczami roztrzęsionego oskarżonego, nastolatka ze związanymi za plecami rękoma, który czeka na zlinczowanie przez tłum.

Udaje mi się jednak zachować kamienną twarz.

- Czyżby? - pytam, unosząc znacząco brew.

- Tak. Ja go wrobiłam.

Napiera, stara się mnie wyczuć, wiem nawet dlaczego. Jest przekonana, że powinna mnie nienawidzić, więc robi co może, bym upewnił ją, że ma rację. Przybyłem do niej skażony związkiem z Marthą, z „żoną”, więc Julia Stone ma szczerą chęć wygnać mnie stąd do kumpli gliniarzy albo tam, skąd przybyłem. Muszę ją więc rozegrać, cofnąć się, zachować pytania na później, na moment, w którym zdołam wycisnąć z niej odpowiedzi.

- Chciałem tylko powiedzieć, że ten dzieciak ma prawo do sprawiedliwego traktowania - mówię. - Nie twierdziłem nigdy, że jest niewinny.

- Bo nie jest niewiniątkiem - zapewnia mnie Julia - tyle że niczego nie ukradł. To gwałciciel, rozumiesz? Nie pytaj mnie, skąd to wiem. To moja robota. Mam mieć kontrolę nad wszystkim, co się dzieje w naszej społeczności. Wiem, co zrobił, i chcę się go pozbyć z Republiki. Gdybym jednak oskarżyła go o gwałt, to Jonathan... kojarzysz? Zastępca mojego zastępcy. - Przytakuję. Świńskie oczka, puciołowata twarz, pogardliwy uśmiezek rozpuszczonego paniczka. - Jonathan by zażądał, żeby powiesić drania. Nie dlatego, że przejmuje się przemocą wobec kobiet. On po prostu pała żądzą powieszenia kogokolwiek. A gdy już zaczniemy wieszać... - Potrząsa głową, widząc przyszłość. - Dajmy temu spokój.

Pocieram czoło, na skroni wymacuję strupek, pozostałość

po ataku Corteza w windzie. Mam wrażenie, że to wydarzyło się milion lat temu, w innym życiu. Julia spogląda ponownie na kampus nachmurzona, gestykułuje, gdy mówi:

- Radykalne teorie społeczne mają bardzo krótki żywot, kiedy próbuje się je urzeczywistniać. Bardzo szybko przeradzają się w anarchię. Albo władza ludu, nawet jeśli jest bardzo umiejętnie delegowana na konkretnych przywódców, prowadzi do totalitaryzmu lub autokracji. Znasz może jeden przykład, który przeczyłby tej tezie?

Wbija we mnie spojrzenie.

- Nie - odpowiadam. - Chyba nie znam.

- Nie znasz - podsumowuje - ponieważ coś takiego nie istnieje.

Jej pasja, jej pewność - w tej chwili widzę, że to one musiały przemówić do Bretta Cavatone'a, którego postrzegam teraz jako człowieka spokojnego, choć zarazem niezwykle bystrego i czułego, filozofa kryjącego się w muskularnym ciele policjanta. Jakim cudem taki człowiek mógł związać się z kimś takim jak Martha Milano? Ile trwało, zanim dotarło do niego, że poślubił niewłaściwą kobietę?

- Zyskaliśmy taką właśnie sposobność - peroruje tymczasem Julia. - Udało nam się obalić złudną równowagę pomiędzy bezpieczeństwem a wolnością osobistą. Ta równowaga nigdy nie działała, ale dopiero obecna sytuacja pokazała, jak bardzo była spieprzona. Musimy jedynie trzymać jakobinów za mordy, by jeszcze przez siedemdziesiąt siedem dni nie urządzili nam tutaj powtórki

z „Władcy much”. – Mówi coraz szybciej, słowa wylatują z jej ust niczym wagony ekspresu z tunelu. – To unikatowa sposobność w całej historii cywilizacji, ale zachowanie porządku publicznego wymaga stworzenia specyficznej formy sprawiedliwości wspierającej jednostkę. Zgadza się?

– Tak – potwierdzam.

– Właśnie. Czy ona ci płaci? – Odwraca się do mnie, krzyżuje ponownie ręce. – Mówię o żonie.

– Nie.

– Dlaczego jej więc pomagasz?

– Sam nie wiem – przyznaję, uśmiechając się pod nosem. – A wszyscy mnie o to pytają.

– Nie wątpię – rzuca.

Uśmiecha się do mnie, ale jeszcze bladziej, ledwie dostrzegam cień tego grymasu. Zauważam furtkę między jedynkami, co upodabnia ją do małej szelmy.

– Wcześniej sądziłaś, że przysłano mnie tutaj, żebym go zabił. Dlaczego ktoś miałby go zabić?

Uśmiech znika.

– Dlaczego miałabym ci to powiedzieć?

– Kochasz go?

– Miłość to burżuazyjny wymysł – odpowiada natychmiast, lecz odwraca się jednocześnie ode mnie, przenosi wzrok na odległe dachy i korony drzew odmienionego kampusu.

Czekam, dając jej czas na odtworzenie wspomnień, które przelatują jej teraz przez głowę. Dopiero po dłuższej chwili

zaczynam naciskać, opowiadając jej łagodnym tonem historię, którą już zna.

- Brett aresztował cię kilka lat temu w Rumney, ale ty go przekabaciłaś z za krat. Przekonałaś go, że racja leży po waszej stronie, więc zaczął cię poważać. Namówiłaś go, by nie składał zeznań. Tak rozwinęło się między wami uczucie. – Gdy pada słowo „uczucie”, Julia robi kwaśną minę, a ja kiwam głową, potwierdzając ponownie, że wiem, iż miłość jest burżuazyjnym wymysłem, ale nie przestaję mówić: – Problem w tym, że nie chciał porzucać żony. To nie byłoby w jego stylu. Dlatego pod koniec tego lata wróciłaś do szkoły, a on zwolnił się z policji i przeniósł do Concord. Tak to było.

Nie odpowiada, milczy jak zaklęta, nawet nie patrzy w moim kierunku. Utkwiła wzrok w kampusie, w swoich ludziach ćwiczących, oglądających filmy, rojących się na centralnym dziedzińcu. Nie przerywa mi jednak, nie próbuje też zaprzeczać. Mówię więc dalej, jestem facetem w garniturze, który w letnie popołudnie stoi na dachu, snując opowieść:

- Wtedy na scenę wkracza asteroida. Zaczyna się ostateczne odliczanie, które zmienia wszystko. Myślisz sobie: kiedy, jak nie teraz? Teraz Brett i ja mamy szansę. Pisziesz do niego listy, przedstawiasz w nich Wolną Republikę i to wszystko, co tutaj zdołałaś osiągnąć. Twierdzisz, że powinien tu przyjechać, by grać w szachy i spotykać się z tobą aż po kres tego wszystkiego.

W tym momencie Julia unosi palec i nadal gapiąc się

w przestrzeń, mówi:

- Jeden list. Kilka miesięcy temu.

- Okay - koryguję. - Jeden list. Aż tu nagle wczoraj facet pojawia się w proggu.

Mogę wyobrazić sobie tę scenę. Brett Cavatone wślizguje się na tyły zatłoczonego audytorium, podobnie jak ja dzisiaj, a ona dostrzega go niespodziewanie z miejsca na podwyższeniu. Szczeka jej opada, jej władcza postawa liderki znika jak obraz w rozregulowanym telewizorze, gdy widzi uśmiechającego się do niej pewnie i czule Bretta.

- Powiedział ci, że przyszedł, bo tak niewiele dni już zostało, więc chce je spędzić z tobą.

- Nie - wpada mi w słowo Julia.

- Nie?

W końcu odwraca się od poręczy i patrzy mi prosto w oczy, napuszyła się z emocji, a ja mam gdzieś, czy miłość jest burżuazyjnym wymysłem, widziałem nieraz zakochane osoby, więc wiem, że patrzę na kogoś, kto wpadł w jej sidła. Kocha go, więc gorzko żałuje słów, które zaraz padną.

- Nie. Nie przyszedł tutaj dlatego, że niewiele czasu nam zostało, więc chce go spędzić ze mną. Przyszedł po broń.

- Przyszedł po... - Odbiera mi mowę. - Co takiego?

Julia wybucha śmiechem, wydaje z siebie chrapliwe parsknięcie, a ja gapię się na nią z otwartymi ustami.

- Chodź - rzuca, otwierając klapę prowadzącą na klatkę schodową. - Przejdźmy się.

\* \* \*

Jeremy Canliss miał rację. Brett myślał o innej kobiecie. Ale nie pożądanie ani nie miłość przywiodła go na teren uniwersytetu stanowego, by odnaleźć Julię Stone. Pożądał broni, o której wspomniała mu w liście przesłanym kilka miesięcy temu.

Julia Stone prowadzi, a ja podążam za nią, trzymając dystans dwóch kroków. Oddalamy się od Kingfisher ścieżką zagłady: permskiej, kredowej, „zarazy Justyniana” – zdążając w głąb kampusu. Nie rozmawiamy, po prostu idziemy, moja ekscytacja daje o sobie znać przyspieszonym łomotem serca w piersi, odkrywam nowe pokłady prawdy, jakby w nawiedzonym zamczysku otwierało się przede mną ukryte przejście, które prowadzi do niezbadanych dotąd komnat. Mam pytania, mam ich naprawdę wiele, w tym sporo nowych, lecz idę za nią posłusznie, milcząc. Julia pozdrawia zdawkowymi gestami niemal każdego, kogo mijamy na tym krętym szlaku.

Naszym celem, jak się okazuje, jest niewielka betonowa budowla o płaskim, pokrytym papą dachu przylegająca do ogrodzenia, które oddziela teren uczelni od College Road. Domek ten kryje się w cieniu wielkiej elektrowni, obecnie nieczynnej, jej cewki i słupy są ciche i zimne.

Julia otwiera kłódkę zabezpieczającą wejście do przysadzistego budynku, wewnątrz jest tylko jedno pomieszczenie, idealny prostopadłościan, płaskie sklepienie,



taka sama podłoga, proste ściany. Mrok rozjaśniają promienie słońca przesączające się przez brudne szyby. Na ścianach dostrzegam rzędy haków, na których wisi broń: pistolety, karabiny maszynowe i powtarzalne. Na półkach umieszczonych tuż nad podłogą widzę także równiutko ułożone skrzynie z amunicją, jest ich tu z tuzin. Wolna Republika pozyskała ten arsenał na samym początku, wyjaśnia Julia, gdy zaczynała się rewolucja, zbrojąc się dzięki uniwersyteckiemu programowi szkolenia obrony cywilnej. Brett poinformował ją, że potrzebuje bardzo konkretnej broni, poprosił o kilka M140 z zamontowanymi lunetami. Julia dała mu je, a o kradzież oskarżyła gwałciciela.

- To nie tak, że ta broń należała do mnie, więc mogłam mu ją dać - tłumaczy, potrząsając z goryczą głową. - To własność naszej społeczności. Nie wiem, dlaczego dałam się do tego przekonać. To przecież...

Rozkłada bezradnie ręce, milknie, ale ja wiem, co chciałaby powiedzieć. Słyszałem już te słowa: „To przecież Brett”.

Wychodzimy na zewnątrz, Julia zamyka drzwi, po czym opieramy się o jedną z betonowych ścian, tę od strony elektrowni, a ja zwalczam falę strachu wywołaną świadomością, co kryje się we wnętrzu tego niepozornego budyneczku. A drzemie tam przerażająca destrukcyjna siła, jakich wiele dziś na tym świecie. Widziałem podobne składziki po tym, jak stało się jasne, że nie unikniemy zderzenia. Do dzisiaj powstały ich miliony - w piwnicach, na strychach, w szopach i garażach. W każdym spoczywa broń

czekająca na to, aby jej użyć. Świat pełen jest beczek prochu, którym wystarczy iskra do wywołania niekończących się eksplozji. Spoglądam na zegarek - jestem już spóźniony. Minął termin wyznaczony przez strażników przy Thompson Hall. Przepraszam w myślach Houdiniego, zastanawiając się jednocześnie, czy te dwie dziewczyny i towarzyszący im chłopcy w czerni byliby zdolni skrzywdzić psa.

Wracam do swojego pierwszego pytania:

- Julio, o co tu właściwie chodzi? Kto próbuje zabić Bretta?

- Nie wiem - odpowiada. - Może nikt.

- Jego życie nie jest zagrożone?

- Zagrożone? Nie sądzę, by...

Kręci głową z ponurą satysfakcją. Zamierza mi to powiedzieć, myślę, naprawdę mi to powie! Po raz pierwszy zyskuję niemal ekstatyczną pewność. Znajdę go. Idę po ciebie, Brett. Idę!

- Julio?

Chwila słabości mija jednak, jej twarz znów wyraża gniew.

- Dlaczego miałabym ci powiedzieć? - pyta, wypluwając kolejne słowa. Odrywa się od ściany, obrzuca mnie wściekłym spojrzeniem. - Dlaczego miałabym ci cokolwiek powiedzieć?

Odpowiadam nie na gniew, tylko na pytanie. Nie zadawałaby go, gdyby nie chciała podzielić się ze mną prawdą. Nie pokazywałaby mi tej broni.

- Dlatego, że ci na nim zależy. Nie wiem, do czego między wami doszło, ale dla ciebie to ważne. Może go nie kochasz,

nie chciałybyś jednak, aby przydarzyło mu się coś złego. Jeśli odnajdę Bretta na czas, być może zdołam temu zapobiec.

Nie odpowiada. Skubie nerwowo włosy jakże ludzkim gestem.

Idę po ciebie, Brett. Jestem już tak blisko.

Zauważam ruch za siatką, jakieś zwierzę, a może napruty obywatel Republiki porusza się w cieniu. Oboje odwracamy głowy, potem spoglądamy po sobie. Widzę, że Julia poważnie rozważa tę decyzję, waży każde za i przeciw, zastanawia się, czy odrzucić prawdę, którą jej przedstawiłem, ponieważ to tylko moje słowa. Widzę, jak ściiera się w niej lojalność wobec Bretta i złość na niego. Chęć wybawienia go z kłopotów.

- Nie powiem ci, co zamierza zrobić - oświadcza w końcu. - Zmusił mnie, bym dała słowo, że nikomu nie powiem. Nie mogę go zdradzić.

- Rozumiem - odpowiadam. - I szanuję to. Mówię poważnie.

- Ale mogę ci powiedzieć, gdzie go znajdziesz.

## 5.

Wybacz mi, Martho.

Słowa te rozbrzmiewają mi w uszach, widzę nawet, jak zawisają w rozświetlonej słońcem pustce kuchni, gdy wracam do Concord, pukam do jej drzwi jak gliniarz, który przynosi złe wieści.

Wybacz mi, Martho, ale twój mąż nie wróci do domu.

Gdybym miał rację i gdybym znalazł Bretta Cavatone'a tam, gdzie go przez moment widziałem oczami wyobraźni, jak leży w wysokiej trawie z głową na udach dawno utraconej miłości, albo gdybym trafił na niego w jakimś burdelu, albo gdybyśmy się zetknęli podczas jakiejś szalonej imprezy na plaży, na której leżałby nagrzanym jak piec, gapiąc się bezmyślnie w gwiazdy, wszędzie tam mógłbym mu przekazać wiadomość od Marthy, przypomnieć mu, że „ocalenie” zależy wyłącznie od tego, czy on wróci... Gdyby sprawy rozegrały się w taki właśnie sposób, miałbym choćby minimum szans na osiągnięcie sukcesu, cień nadziei na to, że Brett oprzytomnieje, przypomni sobie, kim jest, i wróci ze mną.

Wiem jednak, że poszedł w las, zabierając dwa karabiny. I bez względu na to, czy znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie, jak podejrzewa Julia Stone, czy przed sądem ostatecznym dokonuje niezwykle szlachetnych czynów, jak chciałaby wierzyć jego żona, oba te przypadki

świadczą niezbitcie, że nie jest zainteresowany powrotem do domu.

Nie udało mi się go znaleźć, mógłbym skłamać. Zniknął bez śladu.

Niestety, kiepski ze mnie kłamca. Może więc najrozsądniejszym rozwiązaniem byłaby rezygnacja z kolejnej wizyty u klientki? Mógłbym pozostać tutaj, w Durham, albo wrócić do Concord, lecz omijać szerokim łukiem jej dom przy Albin Road, aby Martha spędziła ostatnie miesiące życia, karmiąc się nadzieją. Niech umrze trzeciego października, oczekując do ostatniego momentu, że Brett pojawi się niespodziewanie i przytuli ją mocno w chwili, gdy świat wokół eksploduje.

\* \* \*

- Przepraszam za spóźnienie - wysapuję z trudem.

Jeden z anarchistów w czarnych koszulkach spogląda na mnie i rzuca:

- A którą to mamy godzinę?

Dostrzegam Houdiniego, śmiga cały i zdrowy po trawniku pod łopoczącym sztandarem Wolnej Republiki, ganiając za frisbee rzucanym przez Beau i Sport specjalnie dla niego.

- Dzięki Bogu - wysapuję ponownie, tym razem z ulgą.

Dziewczyny zostawiły śrutówki na schodach, porzuciły je tam, jakby to były zwykłe książki. Faceci w czerni siedzą na murku bez bandan na twarzach, grzejąc się w promieniach słońca.

Houdini szczerka radośnie na mój widok, ale ku mojemu najszczerzszemu żalowi nie pędzi do swojego pana. Bawi się znakomicie, ganiając od jednego oprawcy do drugiego, odnosząc im kolejno podniszczone żółte frisbee. Beau przykleka przy nim, jakby nie chciała mi go zwrócić, a Sport macha przyjaźnie ręką.

- O, cześć - rzuca. - Zobacz tylko - wskazuje mojego psa. - Siad.

Houdini siada.

- Obracamy się.

Mój pupil przetacza się przez grzbiet.

- Niesamowite - przyznaję. - No, no.

Klasyczny przykład psiego syndromu sztokholmskiego, co cierpliwie wyjaśniam Houdiniemu, gdy niechętnie dołącza do mnie i ruszamy wspólnie w drogę powrotną ku Main Street i India Garden.

Zjadam batonik i kanapkę z masłem orzechowym, sypię garść suchej karmy do miseczki i znów wracam myślami do smutnej powinności, czyli do kontaktu z klientką. Zrobiłem co mogłem, by odnaleźć twojego męża... Problem jednak w tym, że doskonale wiem, gdzie on jest teraz. Problem w tym, że dojechałbym tam w godzinę na rowerze. Problem w tym, że chcę to zrobić. Skoro dotarłem tak daleko, chcę dostarczyć mu tę wiadomość. Skoro osiągnąłem tak wiele, chcę mu spojrzeć w oczy.

Dzwonek zawieszony przy drzwiach India Garden odzywa się radośnie.

- Czy mogę prosić o palak paneer? - pyta Nico, odsuwając krzesło. - I kawałek chleba naan?

Uśmiecha się do mnie łobuzersko, jak tylko ona potrafi. Z kącika ust zwisa jej zawadiacko papieros, ale nie mam jakoś ochoty na żarty. Przytulam ją po prostu, długo i mocno. Jej twarz spoczywa na mojej piersi, a ja opieram brodę o jej głowę.

- Co z tobą, Henry? - pyta, gdy ją puszczam. - Stało się coś?

- Nie. To znaczy tak. Niezupełnie. - Siadam. - Zalatuje od ciebie piwkiem.

- Owszem - przyznaje. - Wypiłam kilka piw. - Przygląda dłonią kruczoczarne włosy, potem znów wtyka niedopałek w kącik ust. Houdini, wyczuwając dym, zerka na nią znad miski, nie kryjąc odrazy.

- I jak? - pyta Nico. - Znalazłeś ją?

- Mojego świadka? - precyzuję. - Tak.

- A co z mężem Marthy?

- Na razie nie. Ale wiem, gdzie przebywa.

- Tak? Gdzie?

- W Maine, na południe od Kittery. W miejscu zwanym Fort Riley. To jakiś dawny park stanowy.

Nico przytakuje mi bezwiednie, częstuje się też moim batonem. Zainteresowanie moim dochodzeniem na tym się kończy.

- Dobra - rzuca, skończywszy przeżuwać. - Gotowy?

Drapię się po czole. Dobrze wiem, o co jej chodzi. Obiecałem, że wysłucham wszystkich szczegółów jej

magicznego planu ocalenia świata, jeśli zdoła wprowadzić mnie na terytorium Wolnej Republiki New Hampshire. Potrzebuję jednak jeszcze paru minut. Kilku chwil szczęśliwej normalności. Bycia tutaj jak brat z siostrą i z psem. Nie jestem jeszcze gotowy, chcę powiedzieć. Jeszcze nie.

Ale obiecałem. Dałem jej słowo.

- Okay - mówię. - Nawijaj.

Zakładam nogę na nogę, pochylam się nieco bardziej ku niej, skupiając całą uwagę, aby widziała, że słucham, gdy już rozpocznie ten monolog, że nie odpływam bez względu na to, jak wielkimi bredniami mnie uraczy.

- Rząd Stanów Zjednoczonych - zaczyna Nico, a ja przesłaniam usta dłonią - gdyby tylko zechciał, mógłby dokonać w przestrzeni kosmicznej, tuż przed asteroidą, kilku eksplozji nuklearnych... - Zaciskam dłoń mocniej, zmuszam się do zmilczenia. - W efekcie doszłoby do nagrzania powierzchni obiektu i tak zwanej reakcji zwrotnej, czyli zmiany prędkości, dzięki czemu udałoby się uniknąć przewidywanej kolizji z Ziemią.

Teraz zamykam także oczy i pochylam się jeszcze bardziej, przyjmując pozycję, która powinna sugerować maksymalną koncentrację, robię, co mogę, by nie zerwać się na równe nogi i nie przerwać jej monologu. Nico kontynuuje:

- Niestety paru wysoko postawionych oficjeli postanowiło ukryć przed nami te informacje. Gdyby jednak wypłynęły,



zamierzają nas przekonać, że takie działania byłyby spóźnione albo wręcz niemożliwe.

Dłużej tego nie wytrzymam. Odsuwam dłoń od ust.

- Nico - mówię po prostu, a właściwie szepczę.

Albo mnie nie słyszy, albo nie chce usłyszeć.

Houdini oblizuje się w kącie.

- Ci, którzy mają odpowiednią wiedzę na ten temat, albo zostali uwięzieni, albo zniknęli.

Zaraz się zacznij. Czuję to, więc próbuję raz jeszcze:

- Nic...

- Albo zamordowani, jak się stało w jednym przypadku.

- Zamordowani? - Mam dość. Wstaję, pochylam się nad dzielącym nas stołem. - Nico, to jakieś brednie.

Ona także się pochyla i pyta:

- Na przykład co?

- To ma być ta wielka tajemnica? Eksplozja nuklearna? Zestrzelenie komety? Tego nie da się zrobić. Rozbilibyśmy jedną wielką asteroidę na miliony mniejszych. Nie słyszałaś o tym? National Geographic zrobił o tym specjalny program. Na litość boską. Temat trafił nawet na okładkę ostatniego numeru „Time Magazine”.

Mówię podniesionym głosem. Houdini przygląda mi się przez moment, jakby zdziwiony tym wybuchem, ale zaraz wraca do pałaszowania karmy.

- Nie o tym mówiłam - odpowiada ze spokojem Nico, składając ręce na piersi jak przedszkolanka. Traktuje mnie jak dzieciaka. Jak głupka. - Znowu mnie nie słuchałeś.

- Rozpętaliśmy wojnę z Pakistanem tylko dlatego, że chciał posłać w kierunku asteroidy atomówkę. Zginęły wtedy tysiące ludzi. - Wciąż mam przed oczami te relacje z „Monitora” z czasów, zanim w drukarniach skończył się papier: drony, naloty, bomby zapalające, błyskawiczne zniszczenie potencjału nuklearnego z nieodłącznymi stratami wśród ludności cywilnej. „Time” także wałkował ten temat w swoim podwójnym pożegnalnym numerze. Na okładce wypisano: „Teraz pozostaje nam już tylko czekać”.

- Nie mówiłam o zestrzeleniu asteroidy. - Nico także wstaje, opiera się o kontuar, wyciąga z kieszeni kolejnego papierosa. - Wspomniałam o eksplozji nuklearnej albo nawet o wielu eksplozjach, ale nie w pobliżu asteroidy. Nazywa się to fachowo pchnięciem korygującym. To coś zupełnie innego niż atak kinetyczny, czyli uderzanie wahadłowcami czy innymi obiektami w powierzchnię. Dzięki tej metodzie można osiągnąć zmianę prędkości obiektu, nie uszkadzając poważnie jego struktury, a co za tym idzie, nie doprowadzając do rozpadu.

Kolejne argumenty. Dlaczego mam wrażenie, że zaraz otrzymam broszurkę wyjaśniającą ten proces? Wstaję, zaczynam krążyć tam i z powrotem po restauracji.

- Pchnięcie korygujące. Naprawdę uważacie, że nikt inny by na to nie wpadł?

- Wiedziałam, że mnie nie wysłuchasz - stwierdza ze smutkiem, kręcąc głową, strzepując popiół na podłogę. - Wiedziałam, że nie mogę na ciebie liczyć.

Zatrzymuję się. Dobrze wie, co w takiej sytuacji powiedzieć; całe życie szkoliła się w tym, żeby wbijać mnie w poczucie winy po tym, jak temperowałem jej zapędy. Nabieram tchu. Zniżam głos.

- Przepraszam - mówię. - Powiedz coś więcej na ten temat.

- Jak już wspomniałam, chodzi o to, że rząd... choć powinnam raczej powiedzieć: wojsko, bo mamy teraz rządy mundurowych, nie cywilne... no więc ten rząd pomyślał o tym. Stworzono nawet zespół, który miał wymyślić, jak tego dokonać, i to lata temu, kiedy zagrożenie było czysto hipotetyczne. Powstał wtedy projekt nowej głowicy, o innym kształcie, z nowymi zapalnikami, takiej, którą można by wystrzelić w kosmos.

- Możliwe. Ale nigdy jej nie zbudowano.

- Cóż... - Uśmiecha się, puszcza do mnie oczko. - Chcą, abyśmy tak właśnie myśleli.

- Jezu, Nico, bredzisz.

- Już to mówiłeś. - W jednej chwili przeistacza się z zatroskanej rozumnej istoty w napaleńca. Na ten moment czekała. Przechodzimy do sedna jej obłądu. - Najbardziej konserwatywne elementy międzynarodowego kompleksu militarno-przemysłowego powitały asteroidę jak wybawienie. Dostrzeżono w niej okazję do zdobycia pełnej kontroli i władzy nad dziesiątkowaną populacją. Do przejęcia całego bogactwa, które przetrwa. Ci ludzie nie mogą się już doczekać tego pieprzonego zderzenia.

Wybucham śmiechem. Odchylam głowę i rechoczę prosto

w sufit z taką mocą, że nawet Houdini przestaje jeść i odskakuje od miski. Absurdalność tej sytuacji polega na tym, że my, dwoje nic nieznaczących ludzi, siedzimy w zdemolowanej hinduskiej restauracji w New Hampshire, rozmawiając w taki sposób, jakbyśmy znali największe sekrety wszechświata.

Nico mówi jeszcze dłuższą chwilę, a ja słucham jej na tyle, na ile umiem się zmusić, lecz większość i tak wlatuje mi jednym uchem i wylatuje drugim, bo to tylko puste słowa. Mamy oczywiście zbuntowanego naukowca: Hansa-Michaela Parry'ego, astrofizyka pracującego wcześniej dla dowództwa sił kosmicznych, który doskonale wie, jak tego dokonać i gdzie dokładnie są składowane te specjalne głowice, i jak ich użyć. Organizacja Nico odnalazła owego Parry'ego w wojskowym więzieniu i zamierza przerzucić go do Anglii, gdzie teoria ma wystarczająco wielu sympatyków gotowych spróbować przy użyciu brytyjskiego arsenału nuklearnego.

- Aha - powtarzam raz po raz podczas tej egzegezy. Mówię po prostu: - Aha.

Klepię się dłonią po udzie, więc Houdini natychmiast korzysta z zaproszenia i mogę podrapać go za uchem, mrużąc: „Grzeczny piesek”, zanim znów zeskoczy na podłogę, by dopaść przeoczonej wcześniej chrupki.

Jakaś część mojego umysłu, co uświadamiam sobie podczas tej rozmowy, pragnie być zaskoczona. Chciałbym z ust Nico usłyszeć argument, który mógłbym skwitować: „Cholera! Ona ma rację!”. Ale to niestety nie jest możliwe. Przecież

moja siostra nie może znać rozwiązania jako jedyna na tym łoż padole. Nikt go nie zna. Ani my, siedzący w tej namiastce restauracji, ani astrofizyk gnijący w jednym z rządowych więzień. To oczywiste brednie, tak wielkie, że mógłbym się z nich naigrawać cały dzień, gdyby nie to, że znam co najmniej jedną osobę, którą moja siostra przekonała, że to święta prawda.

- I co teraz? - pytam w końcu. - Ty i twoi przyjaciele zamierzacie wydostać tego naukowca z lochu?

- To już załatwione - wyznaje Nico, ignorując sarkazm, którym ociekało moje pytanie. - Nie ja załatwiłam. Nawet nie nasza nowoangielska komórka. Inny zespół ze Środkowego Zachodu. Nie tylko go odszukali, ale też zadbali o jego zwolnienie. Teraz czekamy wszyscy, Jordan, ja i reszta naszych, na przejęcie tamtej ekipy.

Powtarzam ostatnie słowa z niedowierzaniem. Przejęcie tamtej ekipy. Tekst rodem z filmu akcji klasy B. Tyle razy już widziałem, jak błyskotliwa przecież Nico dawała się zwieść: przez nadużywanie alkoholu, przez żalobę, marihuanę, kontakty z pokreconymi ludźmi.

- Dlaczego ty w to wszystko wierzysz, Nico?

- Dlatego, że to prawda - odpowiada.

Sięga do niedziałającej lodówki i otwiera napój o smaku mango. Okna i chodnik na zewnątrz rosi letni deszczyk.

- Ale skąd wiesz, że to prawda?

- To chyba oczywiste.

- Nie do końca - zapewniam ją. - Ten wasz sposób nie

zadziała. To się po prostu nie sumuje. Gadasz jak Jesus Man.

- Nie.

- Owszem, tak.

Jesus Man był staruszkami konającym na łóżku obok łóżka naszego dziadka, towarzyszącym mu przez kilka ostatnich miesięcy życia, w czasie ostatniej tury naświetlań, po których służba zdrowia poddała się i odesłała Nathanaela Palace'a do domu, by tam umarł. Jezus Man został oświecony przez samego Pana, więc nie było bólu ani cierpienia, którego nie zniósłby dzięki łasce Boga. Można powiedzieć, że celebrował swoją chorobę, z otwartymi rękoma witał każde cierpienie, jakby to był kolejny krok przybliżający go do raju. Dziadek nienawidził go prawie tak mocno jak samego raka - wyznał mi to scenicznym szeptem, który tamten musiał usłyszeć. Pewnego dnia Jezus Man stwierdził, gdy dziadek już zasnął, że ma nadzieję, iż przyjmimy Boga do naszych serc. Nie odpowiedziałem mu wtedy, tylko przytaknąłem grzecznie, nie odrywając wzroku od telewizora. Nico, mająca podówczas siedemnaście lat, uśmiechnęła się szeroko, po czym stwierdziła: „Dziękuję, proszę pana. Muszę to przemyśleć”.

Teraz wrusza tylko ramionami.

- To już wszystko, starszy bracie. Nie zmuszę cię przecież do tego, byś mi uwierzył.

- Nie zmusisz - potwierdzam. - Nie zdołasz. Kiedy wyruszasz, żeby przejąć tamtą ekipę?

- Niedługo. Jordan twierdzi, że oni już są w drodze. Jutro

albo pojutrze w Butler Fields ma wylądować helikopter, który nas zabierze.

- Kocham cię, Nico. - To jej teraz wyznaję, choć sam się dziwię treści wypowiedzianych słów. Ona także wydaje się nimi zaskoczona. Składa ręce na piersi, więc idę za ciosem: - Naprawdę. I dlatego coś ci obiecałem.

- Zwalniam cię z tego przyrzeczenia - odpowiada natychmiast.

- Nie możesz.

- Byliśmy wtedy dziećmi.

- Ty byłaś dzieckiem - poprawiam ją, nie okazując zdenerwowania. - Ja miałem piętnaście lat. Wiedziałem, co mówię.

- Ale i tak cię zwalniam.

- Nie - upieram się, natychmiast żałując użytego tonu, sceptycyzmu, tego, jak ją traktuję podczas tej rozmowy.

„Nie odchodź”, chciałbym powiedzieć. „Nie rób tego, zostań tu ze mną, jedź do Maine, jedź do Concord. Nico, nie odchodź”.

Houdini skończył jeść, po czym znalazł sobie miejsce na odpoczynek. W ciszy, która zapanowała, słyszymy jego ciche pochrapywanie.

- Powodzenia w rozwiązywaniu tej sprawy - rzuca moja siostra.

- Powodzenia... - odpowiadam, zaczynając zdanie, lecz nie mam pomysłu, jak je skończyć. Tylko na tyle mnie teraz stać.

- Powodzenia.

\* \* \*

Kolejna scena z dzieciństwa. Kilka lat po tamtej wiosnie, kilka lat przed Jesus Manem. Nico ma dziewięć lat i kłopoty dosłownie jej nie odstępują: obraża nauczycieli, kradnie drobiazgi w sklepach. Nalepki, puszki napojów gazowanych. Jakaś starsza dziewczyna częstuje ją piwem, pewnie dla kawału, ale Nico spija się nim – ma dopiero dziesięć lat i już jest pijana, a na jej dopiero rozwijający się mózg alkohol nie działa jak środek ośmielający do popełniania jeszcze gorszych czynów, tylko jak serum prawdy. Mamrocze więc i bełkocze, wylewając wszelkie żale do mnie, do dziadka, do wszystkich.

- Odejdiesz – mamrocze, gdy próbuję ją chwycić, podnieść i odstawić do domu. - Zostawisz mnie jak oni. Umrzesz. Znikniesz.

- Nie – zapewniam ją solennie. - Nic takiego nie zrobię, Nico.

\* \* \*

Deszcz wypadał się dość szybko, niebo znów jest czyste jak łąka, gwiazdy migocą jak zawsze. Próbuję usnąć, ale nie mogę. Z trudem udaje mi się przymknąć oczy, rzucam się niespokojnie na podłozie w India Garden, niewygodnie mi jak diabli, ponieważ plecak służy mi za poduszkę. O świcie wsadzę Houdiniego do przyczepki z resztą zapasów



i butelkami wody i wsiądę na rower, żeby ruszyć do południowej części Maine.

Skupiam się, by nie myśleć w tym momencie o Nico, jej przyjaciółkach i o tym, co zamierzają zrobić. Odsuwam ten temat na plan dalszy, wrócę do niego, ale na pewno nie teraz. Nakrywam kocem dziadka, który nie wie, dlaczego towarzyszy mi dzisiaj, wyniszczony i jak zwykle wkurzony jedzie na szpitalnym łóżku ze Śmiercią siedzącą na nim okrakiem.

„Dlaczego to robisz?” zapytała Julia, podobnie jak wcześniej Nico i McGully. Istnieje przecież wiele innych sposobów na spędzenie ostatnich miesięcy życia. Mógłbym zrobić coś sensowniejszego i bardziej przydatnego dla siebie albo dla innych ludzi. Ale dochodzenie, zwłaszcza takie jak to, rządzi się swoimi prawami – gna cię nieustannie naprzód, aż w pewnym momencie przestajesz się zastanawiać nad racjonalnością podejmowanych działań. Leżę długo w mroku spowijającym India Garden, rozmyślając o Bretcie Cavatone.

Kiedy go odnajdę tam, w lasach, z tą całą bronią, on także mnie zapyta: „Co ty tutaj robisz? Po co tu przylazłeś?”. A ja nie będę wiedział, co odpowiedzieć. Naprawdę nie będę wiedział.

CZEŚĆ CZWARTA

Nie żyje, N. nie żyje, naprawdę  
nie żyje

Niedziela, 22 lipca

Rektascensja 20 01 26,5

Deklinacja -61 09 16

Elongacja 139,2

Delta 0,835 j.a.

# 1.

Szosa numer 4 wije się na wschód od Durham, potem odbija na północny północny wschód i podąża wzdłuż biegu rzeki Piscataqua, oferując mi szeroką panoramę portu w Portsmouth: nieużywane od dawna klatki na homary kołyszą się na falach, na płyciźnie widać wystające z wody rdzewiejące wraki kutrów.

Tylko mnie tu przygnało tego ranka, tylko ja zmierzam tędy, by wykonać misję. Emerytowany detektyw Palace zasuwa na rowerze, ciągnąc czerwoną przyczepkę mieszczącą jego psa.

Cutts Neck, Raynes Neck, potwornie długi most Memorial ciągnący się wysoko nad portem. Następnie kilka rond, które wyplują mnie na wschodnie pasy stotrójki. Pamiętam dobrze tę trasę dzięki wspomnieniom z kilku letnich wypraw do York Beach, zanim moje dzieciństwo zakończyło się w tak tragiczny sposób. Mijam gigantycznego niebieskiego donuta, który zdobił ongiś Louie's Roadside Diner, lecz został zdemastowany przez sztorm albo wandalii i leży teraz na parkingu, przypominając porzuconą zabawkę wielkoluda.

Słońce wspięło się już wysoko, dobiega dziewiąta, a ja wchodzę właśnie w zakręt na trzecim z kolei rondzie, mijając liczne dziury i pęknięcia w asfalcie. Mijam bramę wjazdową Portsmouth Naval Station od strony morza. Nadchodzę. Lasy rozciągają się tuż za drogą numer 103, która przecina granicę stanu i wbija się głęboko w południowo-wschodnią

część Maine, gdzie znikają ostatnie pozory, że jest autostradą, i przekształca się w zwykłą dwupasmówkę oznaczoną pośrodku mocno już wyblakłą żółtą linią.

Nadchodzę!

\* \* \*

Fort Riley znajduje się na północnym krańcu Portsmouth Harbor. To spoglądająca śmiało w stronę morza kamienna warownia wzniesiona na stromym klifie. Przez ponad sto lat były to należące do armii Stanów Zjednoczonych czynne umocnienia, które chroniły tę część wybrzeża podczas wojny o niepodległość, potem w starciach w 1812 roku aż do drugiej wojny światowej, kiedy to rezerwiści w zielonych hełmach obsadzali podobne fortyfikacje wzdłuż całego wybrzeża północnego Atlantyku, wypatrując u-bootów. Przez niemal pół wieku Riley było parkiem narodowym i zabytkiem. Teraz obozuje tam Brett Cavatone, człowiek, którego poszukuję. Zjeżdżam z autostrady na parking, długi, choć wąski pas żużlu otoczony z lewej i prawej gęstymi lasami, na końcu którego wznosi się kamienny mur fortu.

Zeskakuję z roweru, wyjmuję Houdiniego z przyczepki i stawiam go na ziemi. Buzuje we mnie tak ogromne zniecierpliwienie, że z trudem łapię oddech. Wyczuwam w powietrzu zapach morza. On tu jest, myślę. To tutaj. „Dzień dobry. Nazywam się Henry Palace”.

Idę wolno w głąb parkingu, ręce trzymam cały czas na widoku, lekko uniesione, zmieniam się w istne uosobienie

bezbronności, na wypadek gdybym był obserwowany, na przykład przez kogoś, kto dysponuje dwiema snajperkami i ma powody, by obawiać się gości. Na parkingu stoi tylko jeden samochód, szary buick le sabre na quebeckich tablicach. Wszystkie opony ma przestrzelone. Na tylnym siedzeniu zauważam pluszowego misia i talię kart do gry w uno. Wejście do fortu znajduje się na samym końcu tego parkingu, to łukowato sklepiony portal w miejscu, gdzie mur skręca na południe. Tam żużel się kończy i zaczyna trawa. Dalej jest tylko ocean.

„Proszę odłożyć broń. Pańska żona prosi, by wrócił pan do domu”.

- Okay - rzucam do nikogo albo do psa, ale zaraz zauważam, że Houdini zdecydował, iż woli zostać przy rowerze. Gdy się odwracam, widzę go daleko w tyle, na samym początku pasa żużlu. Skacze radośnie pomiędzy rowerem a przyczepką z zapasami. Wskazuję w przeciwną stronę, za narożnik muru, na wewnątrz fortu. – Idziesz? – Houdini nie odpowiada. Powarkuje tylko, obwąchując ziemię. – Dobra - mówię. - W takim razie zostajesz tutaj.

Zabudowania fortu, z pół tuzina ruin składających się ze zwałów kamieni i butwiejącego drewna, rozsiane są po wzgórzu - to cały akr albo i więcej błotnistego, porośniętego trawą gruntu, który opada stromo w kierunku górującego nad wodami klifu. Rozmieszczenie tych budowli jest tak chaotyczne, jak można by się spodziewać po liczącej kilkaset lat placówce wojskowej rozbudowywanej kawałek po

kawałku przez różnych dowódców, w różnych czasach i w różnych celach. Wszystkie jednak rozmieszczono wokół centralnej budowli – blokhauzu, drewnianej wieży na solidnej granitowej podstawie, wznoszącej się nad środkową częścią fortu niczym świeczka na urodzinowym torcie. Ta warownia mogłaby naprawdę być solidnym kolonialnym domem, pomalowanym na biało uroczym wakacyjnym schronieniem z przepięknym widokiem na Portsmouth Harbor, gdyby nie to, że wschodnie mury idealnego ośmiościanu nie mają okien, tylko furty działowe, które pozwalają załodze ostrzeliwać cele dostrzeżone na morzu.

Oślaniam oczy i spoglądam w górę, na wąskie otwory strzelnicze. On może tam być. Może kryć się w każdym z tych zabudowań. Idę więc ostrożnie po porośniętym trawą błotnistym gruncie, przekraczam kamienne fundamenty przypominające płaskie nagrobki, czujnie wypatrując Bretta.

Dom strzelca to prostokątny budynek wzniesiony z cegły, rozmiarami przypominający jednoklasową szkołę. Tablica pamiątkowa mówi, że wzniesiono go w roku 1834, jednakże nie ma zadaszenia – może nigdy go nie ukończono albo dachówki zabrano w inne miejsce, gdy wojsko zdawało ten obiekt, a może ktoś rozszabrował je w minionych miesiącach, podobnie jak murowaną szopę Sierżanta Pioruna.

Wchodzę do pozbawionego stropu budynku. Tak niedługo będzie wyglądał cały świat: pusta skorupa wskazująca na istniejące tu wcześniej życie, ciekawskie zwierzęta przemykające wśród tych ruin, dzika roślinność

pochłaniająca wszystko, co zbudował człowiek, a nawet jego szczątki. Za pięćdziesiąt lat wszystko będzie tak wyglądało: opustoszałe, pogrążone w ciszy, porośnięte zielenią. Za jakie tam pięćdziesiąt lat – już w przyszłym roku, a nawet pod koniec tego.

Schodzę ostrożnie dalej łagodnie opadającym zboczem, aż pod granitowy mur okalający fort od wschodniej strony. Przed nim zauważam wąski rów wykopany w rozmięklej ziemi, tyle że to nie jest okop, lecz całkiem niedawno wryte zejście. Szczelina prowadząca do podstawy ściany, w której na dole znajduje się krótki ciąg stopni prowadzących do mrocznej komnaty o lepkiej mokrej podłodze. Pomieszczenie jest przesiąknięte wilgocią, wąskie, na tyle duże, by pomieścić działło. Mosiężna płytką przytwierdzona do ściany opisuje je nieznanym mi zupełnie słowem: kaponiera. Cuchnie tu solanką, rybą i starym mułem. Światło sączy się do wnętrza przez dziewięć szczelin umieszczonych wysoko po wschodniej stronie.

Jestem zbyt rosły na łażenie po takich umocnieniach. Wydają mi się ciaśniejsze od trumny. Jest tu tak idealnie cicho, że niemal natychmiast słyszę, jak serce łomocze mi w piersi, i nie wiedzieć czemu poraża mnie świadomość, że moje ciało funkcjonuje, jakby było maszyną.

Idę wolno w głąb kaponiery, wychylam się przez jedną z tych wąskich szczelin i wyglądam na zewnątrz. Na południu widzę latarnię morską, na północy ciągnące się w dal wybrzeże Maine. Daleko na horyzoncie dostrzegam

ciemny punkt, który może być zbliżającym się statkiem, a jakieś dwadzieścia stopni na lewo drugi. Przyglądam im się może z minutę, jeśli nie dłużej.

Takie jednostki muszą tędy przepływać cały dzień. Wielkie okręty z ładowniami wypełnionymi zdesperowanymi pasażerami, wygłodzonymi i wycieńczonymi, mieszkańcami wszystkich stron świata, pojawiają się we wschodnim Hampshire, by pozbyć się kłopotliwego ładunku.

Dostrzegam trzeci statek, maleńki punkcik na samym horyzoncie, tuż obok latarni na południowym krańcu portu. Moment później doznaję wizji, w której Ziemia jest płaska jak taca wypełniona kulkami popychanymi przez kogoś, by krążyły ze wschodu na zachód.

- Trudno sobie nawet wyobrazić, jak ciężkie warunki panują na tych statkach.

Głęboki spokojny głos, potem człapanie za moimi plecami. Nabieram tchu i odwracam się, w końcu mam go przed oczami.

- Zaczniemy od tego, że większość tych ludzi przybywa tutaj z praktycznie nieistniejących krajów - mówi Brett Cavatone spokojnie, pewnie, jak nauczyciel. - A jest ich coraz więcej od czasu pojawienia się Mai. Te statki są wypełnione uciekinierami. Ludzie siedzą w mrocznych ładowniach pełnych szczurów i robactwa. - Zarósł jeszcze bardziej, jego broda przypomina teraz gęstą czarną dżunglę. Oczy ma czarne, głęboko osadzone, jak na zdjęciu. - Ciężko



powiedzieć, czym się żywią i co piją podczas takich rejsów, ale ciągle wyruszają w morze.

- Funkcjonariuszu Cavatone, nazywam się Henry Palace. Pochodzę z Concord. - Nie odpowiada, więc kontynuuję: - Martha prosiła, bym cię odnalazł. Chce, żebyś wrócił do domu.

Na twarzy Bretta nie widzę śladu zaskoczenia ani zdziwienia. Nie pyta nawet - choć powinien - jak go znalazłem i dlaczego. Potakuje tylko, raz - przyjął wiadomość.

- Czy Martha trafiła do pana Corteza?

- Tak.

Kolejne potaknięcie.

- Czy pan Cortez wywiązuje się z umowy?

- Tak sędzę - potwierdzam.

- Świetnie. Zatem Martha jest bezpieczna? I zdrowa?

- Jest zdruzgotana. Złamał jej pan serce.

- Jest cała i zdrowa?

- Tak.

Brett przymyka powieki i kiwa głową po raz trzeci, tym razem bardziej zdecydowanie, głębiej, jak gdyby mi się kłaniał.

- Dzięki za fatywę.

Unoszę ręce.

- Chwila, moment! - Wydaje mi się to niesprawiedliwe. Co ja mówię, nierzeczywiste nawet. Na końcu takiej wyprawy mam odbyć półminutową rozmowę, po której zostanę ot, tak

zbyty? Dzięki za fatygę? – Czy mam jej coś przekazać od ciebie?

Brett zamyka oczy, splata też palce. Ma na sobie wojskowe spodnie plamiaki i bielusienką koszulkę, a na stopach widzę najzwyklejsze sandały.

- Możesz jej powiedzieć, że asteroida zmusiła mnie do dokonania bardzo trudnych wyborów, jak zresztą wielu innych ludzi. Martha zrozumie, o czym mowa.

- Nie. - Kręcę głową.

- Nie?

- Z całym szacunkiem, ale nie opuściłeś jej z powodu asteroidy. Ten kosmiczny śmieć nie zmusił nikogo do zrobienia niczego. To jedynie kawał skały przemierzającej przestrzeń kosmiczną. Tylko my odpowiadamy za nasze czyny.

W głębi krzaczastej brody dostrzegam ruch, tak zapewne wygląda blejsza wersja jego uśmiechu.

- Pytasz mnie, czy chcę jej coś przekazać, a potem nie przyjmujesz do wiadomości tego, co mówię? - powiada głębokim, ale cichym głosem, rytmicznie, jakby był prorokiem ze Starego Testamentu. - Wykonałeś swoje zadanie, przyjacielu, ale ja mam jeszcze coś do zrobienia.

- Masz żonę - upieram się, próbując szczęścia. Patrzy na mnie w ciszy, zimny jak głaz. - Twoja żona całkiem się pogubiła. Zostawiłeś ją tam samą, przerażoną. Nie można łamać danego komuś słowa tylko dlatego, że świat się kończy.

Już gdy to mówię, wiem, że zdoła obalić tę argumentację, i to bez trudu. To jasne, że Brett Cavatone jest przywiązany do swojej sprawy jak nie przymierzając mury, które nas otaczają, do skalistego podłoża, więc moja sugestia, iż powinien wrócić do Marthy i Rocky's Rock 'n' Bowl, wydaje się nie tylko niewykonalna, ale wręcz śmieszna. Po prostu dziecinada. Dlaczego miałby robić to, co mówię? No dlaczego? Bo komuś obiecał?

- Nie wrócę do domu. - Patrzy mi prosto w oczy, łypiąc spod krzaczastych brwi. - Przekaż jej to. Powiedz, że nasza umowa jest unieważniona. Ona zrozumie, o co mi chodzi.

Widzę Marthę Milano oczami wyobraźni, siedzi przy stole w kuchni zapłakana, załamana, trzyma w drżących dłoniach filiżankę, sięgając co rusz po papierosa, którego i tak sobie odmówi.

- Nie - mówię Brettowi. - Wątpią, by zrozumiała.

- Powiedziałeś, że na imię masz Henry?

- Jestem Henry Palace. Byłem do niedawna policjantem. Jak ty.

- Dzieją się tutaj rzeczy, których nie rozumiesz, funkcjonariuszu Palace. Których nie zdołasz pojąć.

Robi krok ku mnie, zwarty, masywny jak czołg, więc od razu przypominam sobie o pistoleciku wetkniętym do kieszeni blezera. Zdaję sobie jednak sprawę, że jeśli zechce, dopadnie mnie, przewróci i obije tymi wielkimi jak kafary pięściami, zanim zdążę wyjąć broń. Krople wody skapują z sufitu,

ściekają po zawilgoconych ścianach. Muszę mu powiedzieć jeszcze coś. Muszę coś spróbować.

- Martha twierdzi, że od tego zależy twoje ocalenie.

Powtarza ostatnie słowo: „ocalenie”, pozwala mu zawisnąć w półmroku między nami, a potem dodaje:

- Masz opuścić teren tego fortu w ciągu dziesięciu minut.

Zawraca na schody, prezentując mi szerokie plecy, stawia stopę na pierwszym stopniu wyjścia z kaponiery.

- Brett? Funkcjonariuszu Cavatone?

Zatrzymuje się, rzuca przez ramię, nie odwracając głowy:

- Tak, Henry?

Mijają sekundy, a ja nic nie mówię. „Tak, Henry?”

Moje dochodzenie dobiegło końca. Sprawa zamknięta. Wciąż jednak rozbrzmiewają mi w głowie słowa Julii Stone, która rzuca z przejęciem: „Zagrożone? Nie sądzę, by...”.

Nagle dociera do mnie, że nie mogę ot, tak po prostu odejść. Nie wiem nic, ale to i tak za dużo, by się poddać. Brett wciąż czeka. „Tak, Henry?”

- Wiem, co tu robisz - wyrzucam z siebie. - Widziałem się z Julią Stone, opowiedziała mi o wszystkim. Wyjaśniła mi, co zamierzasz.

- No tak - rzuca jakby nigdy nic.

Tego człowieka chyba nie sposób zaskoczyć.

- Chciałbym... ci pomóc.

Brett zawraca ze schodów, zmierza w moim kierunku, trzyma ręce przed sobą, jakby ogrzewał je nad ogniskiem. Ja

natomiast mam wrażenie, że mnie rozszyfrowuje, że czyta we mnie jak w kryształowej kuli.

- Jesteś uzbrojony? - pyta.

- Tak. - Wyjmuję z kieszeni rugera, tak by mógł go zobaczyć.

Zabiera mi go z ręki, waży w dłoni, rzuca w błoto.

- Znajdziemy ci coś lepszego.

\* \* \*

Razem wspinamy się na śliskie, porośnięte mchem stopnie kaponiery, razem przemierzamy błotniste trawniki, zmierzając w kierunku blokhauzu. Używając prowizorycznego bosaka, Brett opuszcza drabinę sznurową kończącą się pod umieszczonymi wysoko drzwiczkami. Teraz możemy jej sięgnąć i wspiąć się do wejścia. On idzie pierwszy, zwinnie i pewnie, ja natomiast, pokonując z trudem szczebel po szczeblu, z powyginanymi nogami i rękoma, wyglądam pewnie jak modliszka.

Nie mam bladego pojęcia, co będzie dalej.

\* \* \*

- Tam jest baza floty w Portsmouth, to baza Cape Cod, a tam mamy dawny posterunek straży wybrzeża w Portland, stan Maine. To wszystko. Trzy miejsca i na oko osiem albo dziewięć łodzi patrolowych. Wspierał je atomowy okręt podwodny Virginia, ale nikt go nie widział już od kilku

miesiący. Albo zdezerterowali, albo popłynęli na południe, by chronić Florydę.

Kiwam głową w milczeniu, w żołądku czuję potworny ucisk, gdy Brett wyłuszcza swój, a w zasadzie nasz plan.

- Mam plany wszystkich tych baz. Nie wiemy jednak, jak dobrze są chronione, ale możemy założyć, że jest gorzej, niż było w czasach przed Mają, choćby z powodu licznych dezercji i nawarstwiających się problemów technicznych powodowanych brakami części zapasowych.

Brett, wyłuszczać mi te szczegóły, wodzi palcem po mapach i planach, które porozwieszał na ścianach blokhauzu. Pozakrywał nimi tablice informacyjne i displeje z opisami historycznymi, ale spod tych dokumentów wyzierają tu i ówdzie twarze żołnierzy, którzy walczyli niegdyś w zapomnianych kampaniach, a potem spoglądali ponuro na portrecistów albo dagerotypistów. Myślę, że Brett myli się co do szans osiągnięcia sukcesu. Wydaje mi się, że te bazy morskie przypominają komendę policji w Concord. Są lepiej chronione, nie gorzej. Domyślam się, że wokół nich roi się od posterunków, do tego co najmniej kilka linii zasieków i wartownicy, którzy otrzymali rozkaz otwierać ogień do każdego zauważonego intruza.

Jest także całkowicie jasne, że wszelkie kalkulacje Bretta dotyczące potencjalnych zagrożeń brane są z powietrza. Tyle że człowiek, który wyrusza na krucjatę, nie bierze nigdy pod uwagę, że może zostać ranny albo zabity. A on zamierza popełnić morderstwo w imię wyższego dobra.

„Zagrożone? Nie sędę, by...”

- Wydaje mi się - wtrącam w pewnym momencie - że to robota dla więcej niż dwóch osób.

- Jeszcze dziesięć minut temu była to robota dla jednej osoby - odpowiada Brett. - Mamy obowiązek zrobić tyle, ile zdołamy, mając to, co mamy. Resztę pozostawmy Bogu.

Przytakuje po raz kolejny.

Będziemy się włamywać do baz marynarki wojennej i straży wybrzeża - zabijając wartowników, jeśli będzie trzeba, albo marynarzy - i podkładać ogień na pokładach jednostek patrolowych. Musimy zrobić co w naszej mocy, by już nigdy nie opuściły portów. Jeden człowiek wyruszył z misją otwarcia drogi milionom uchodźców zmierzających ku północnym wybrzeżom naszego kraju. Teraz to kruczata dwóch osób, poprawiam się w myślach. Najpierw udamy się do bazy marynarki w Portsmouth, a jeśli tam osiągniemy sukces, wrócimy tutaj, do Fortu Riley, aby uzupełnić zapasy potrzebne na pokonanie dłuższej trasy aż do Portland, gdzie wyruszymy pod koniec tygodnia.

- Wierzę, funkcjonariuszu Palace, że przysłano cię tutaj nie bez powodu - mówi Brett, odwracając się od ściany z poprzyklejanymi taśmą planami koszar. - Dzięki tobie mój plan się powiedzie.

Na samym środku pomieszczenia stoi pordzewiałe działo, którego lufa jest skierowana ku otworowi w ścianie wychodzącemu prosto na morze. Obok Bretta znajduje się także wielki kufer, przy którym właśnie klęka i podnosi

wieko. Zaczyna grzebać w zgromadzonych tam rzeczach. Widzę pojemniki z wodą, zwoje gazy, kapsułki z jodyną, ale też reklamówki pełne suszonej wołowiny i serów. Gdy tak przerzuca te cuda, zauważam coś, co nie pasuje do reszty, coś kolorowego. W tym momencie pokrywa kufra zostaje jednak zamknięta, a ja otrzymuję nową broń, dokładnie taką, jakiej się spodziewałem: to drugi z M140, które Julia Stone ukradła dla niego z magazynku uniwersyteckiego. Wciska mi go w rękę. Tak właśnie kończy się moja misja odnalezienia zaginionej osoby.

- Kiedy wyruszamy? - pytam.

- Teraz - odpowiada. - Zaraz.

Zrzucamy broń z poziomego wejścia. Karabiny lądują na ziemi z głośnym łomotem, a my złazimy kolejno, szczebel po szczeblu. Bret znów idzie pierwszy, ja posuwam się jego śladem. Gdy on dotyka już nogą ziemi, tracę chwyt, lecę w dół, ląduję wprost na jego plecach. Przewraca się, wrzeszcząc, a ja odtaczam się na bok, w kierunku broni, którą natychmiast wymierzam w jego głowę.

- Nie ruszaj się - mówię. - Ani kroku dalej.

- Proszę, Henry - mamrocze. - Nie rób tego.

- Wybacz mi tę dwulicowość - przemawiam pospiesznie - ale nie mogę pozwolić ci na realizację planów, które prowadzą do zabijania naszych żołnierzy.

Kłęczy w błocie, głowę ma lekko pochyloną, nie patrzy na mnie, ale wygląda jak modlący się mnich.

- Istnieją nadrzędne prawa, Henry. Ważniejsze od



ziemskich.

Wiedziałem, że powie coś podobnego.

- Morderstwo zawsze pozostanie morderstwem.

- Nie - zaprzecza.

- Bardzo mi przykro, funkcjonariuszu Cavatone - rzucam z załzawionymi oczami, które dopiero przyzwyczajają się na powrót do słonecznego blasku. - Naprawdę.

- Niepotrzebnie. Każdy odpowiada za swoje czyny.

M140 to znacznie większa broń od tej, z jaką miałem do czynienia, więc nie jestem przygotowany na jej ciężar. Nie ma na niej żadnych przyrządów celowniczych, tylko przymocowana na górze luneta, długa i cienka jak trzonek latarki. Drzę na całym ciele, ale pewnie trzymam karabin. Skupiam też całą uwagę na własnych rękach. Muszę nad nimi zapanować.

Brett wciąż klęczy, jest odwrócony tyłem do mnie, lecz teraz ma uniesioną głowę, jakby spoglądał w słońce.

- Rozumiem - dodaję - że nie zgadzasz się z izolacjonistyczną polityką, której narzędziem wykonawczym jest w tej chwili straż wybrzeża.

- Nie, Henry. Nie rozumiesz - odpowiada łagodnym, choć niemalże ponurym tonem. - Nie ma takiej polityki.

- Co?

- Wydawało mi się, że należysz do tych, którzy to zrozumieli, i dlatego właśnie zostałeś mi zesłany przez Boga.

Myśl o tym, że miałbym trafić tutaj z woli Boga albo innej siły nadprzyrodzonej, budzi we mnie na powrót niepewność

i niepokój. Zaciskam mocniej dłonie na tej wielkiej broni.

- To nie jest izolacja, tylko rzeź. Te patrolowce otwierają ogień do frachtowców, zatapiają je, kiedy tylko mogą. Strzelają do tych, którzy zdołają utrzymać się na wodzie. Oni nie chcą, by ktokolwiek tutaj wylądował.

Mrużę oczy przed słońcem, broń drży mi w dłoniach.

- Nie wierzę ci.

Po chwili Brett znów się odzywa, spokojnym pewnym głosem:

- Jak myślisz, co jest dzisiaj łatwiejsze dla straży wybrzeża czy też dla tego, co z niej zostało? Ogromna kosztowna akcja blokowania dostępu do naszych portów czy o wiele prostsze i skuteczniejsze działania, które ci właśnie opisałem? Gdyby zaprzestali tych ataków i pozostali w portach, imigranci błyskawicznie zalaliby Amerykę. Potem dotarliby do naszych miast i zaczęliby żądać, abyśmy dzielili się z nimi tym, co jeszcze mamy. Na koniec zapragnęliby równych szans na przetrwanie nadchodzącego kataklizmu. Dlatego właśnie robimy, co możemy, niech nam Bóg wybaczy, by do tego nie dopuścić. - Płacze. Pochylił głowę ku trawie porastającej fort, a głos łamie mu się ze wzruszenia. - Myślałem, że już to pojąłeś, Henry, i dlatego tutaj przyszedłeś.

Karabin drży mi w rękach, z trudem biorę się w garść, próbuję wymyślić, co dalej począć z tym fantem. Brett tymczasem na powrót odzyskuje głos i ciągnie na jednym oddechu:

- Ale może jest tak, że Bóg obdarzył cię oczami, które nie

pozwalają ci dostrzec tego rodzaju mroku. Dla ciebie to byłoby błogosławieństwo. Proszę cię jednak, Henry, błagam, pozwól mi wypełnić moją misję. Błagam cię o to tu i teraz, bo jeśli uda mi się ocalić choć jedno życie, jedno dziecko, kobietę albo mężczyznę, to wykonam wolę Pana. My dokonamy dzieła Bożego.

Wracam myślami do kropek na horyzoncie, do maleńkich stateczków, które widziałem w prześwicie szczeliny strzeleckiej kaponiery. Te statki zbliżają się z każdą chwilą, nawet teraz.

- Brett... – zaczynam, wtem on zrywa się z ziemi, robi szybki przewrót i staje z bronią w ręku. Dokonuje tego wszystkiego jednym płynnym ruchem, który kończy przykłonem, i już mierzy we mnie z M140, tak jak ja do niego.

Nie strzelam. Nie mogę. Jakże mógłbym nacisnąć spust?

Potrząsam głową, próbując odzyskać pełnię ostrości widzenia, pozbyć się potu roszącego mi obficie czoło. Zrób coś, Palace. Odzyskaj kontrolę nad sytuacją. Zaczynam:

- Czy ktoś jeszcze wie, gdzie jesteś i co robisz?
- Tylko Julia.
- Ona sądzi, że ktoś jeszcze jest w to wtajemniczony. Uważa też, że pewni ludzie mogą chcieć cię powstrzymać.
- Coś sobie uroiła. Myli się. Nikt nic nie wie.
- Skąd wytrzasnąłeś plany tych wszystkich baz?
- Od funkcjonariusza nazwiskiem Nils Ryan.
- Który jest...

- To były kolega z oddziału F. Wcześniej służył jako podoficer w straży wybrzeża.

- Ale nie wiedział, po co ci one?

- Nie.

Nie muszę pytać, dlaczego funkcjonariusz Ryan miałby oddać posiadane plany. Zrobił to, ponieważ został poproszony. Przez Bretta.

- Okay - mówię. - Zatem nikt nie wie o twoich zamiarach. Nikt nie wie, gdzie się ukrywasz. Oprócz mnie i Julii.

- Zgadza się.

- W takim razie... - Odrywam wzrok od wylotu lufy, by spojrzeć mu w oczy. - ...skończmy to teraz. Nie chcę robić ci krzywdy.

- Zatem nie rób. Odejdź.

- Nie chcę. Nie mogę.

I znów stoimy, on mierzy we mnie, ja w niego.

- Proszę cię.

- Tam są ludzie, którzy mają tylko jedną szansę na ocalenie - zaczyna mówić powoli, spokojnie. - Ludzie, którzy zaryzykowali wszystko, przebyli tysiące mil ściśnięci w kontenerach albo przepełnionych ładowniach. Może i głupio postąpili, ale mieli do tego prawo i na pewno nie zasłużyli na to, by zastrzelono ich trzydzieści jardów od brzegu.

- Owszem, ale... - Ale co, funkcjonariuszu Palace? Ale co? - Złożyliśmy kiedyś przysięgę, ty i ja. Zgadza się? Jako

policjanci. Nadal mamy obowiązek postępować zgodnie z przepisami, czyniąc to, co jest właściwe.

Kręci ze smutkiem głową.

- Mówisz o dwóch różnych rzeczach, przyjacielu.

Stoję na niewielkim wzniesieniu, spoglądam więc w dół, a ponieważ on wciąż klęczy, czuję się wyższy niż zazwyczaj. Nad naszymi głowami przelatuje ptak, potem następny, czuję powiew wiatru, silniejszy niż zazwyczaj, letnią bryzę niosącą zapach ryb i odór prochu, którym przesiąkły okoliczne bunkry. Słyszymy też szum przyboju, ledwie uchwytny z tej odległości.

- Na trzy obaj odłożymy broń - proponuję.

- Dobrze - zgadza się.

- Potem wymyślimy wspólnie, jak rozwiązać ten problem.

- Dobrze.

- Na trzy.

- Jeden - mówi Brett, odsuwając kolbę od ramienia, choć niewiele, więc i ja opuszczam lufę o kilka cali, ponieważ mięśnie palą mnie już żywym ogniem.

- Dwa - mówimy razem i nasze karabiny, opuszczone pod kątem czterdziestu pięciu stopni, mierzą już w ziemię.

- Trzy - mówię i upuszczam broń. On robi to samo.

Zamieramy może na ćwierć sekundy, a potem obaj zaczynamy się uśmiechać, tak półgębkiem, oto dwaj ludzie honoru na łonie natury. Brett podnosi się z ziemi, wyciąga do mnie rękę i zaczyna mówić: „Przyjacielu...”, a gdy odpowiadam podobnym gestem, rozlega się huk, piorun

z jasnego nieba, po którym czuję ostry, palący ból w ramieniu. Odwracam się na pięcie w poszukiwaniu strzelca, ale zanim wykonam te pół obrotu, Brett już leży na ziemi z rozrzuconymi rękami i nogami. Doskakuję do niego, wykrzykuję jego imię, ściskając mocno własną zranioną rękę. Padam obok, dysząc ciężko, leżę tak pięć, dziesięć sekund, czekając na kolejne strzały. Staram się odgrzebać w pamięci zasady postępowania z ofiarami strzelanin, wszystkie te sztuczne oddychania i inne czynności, lecz niepotrzebnie. Kula trafiła Bretta prosto między oczy, pozbawiła go połowy twarzy. Nic już dla niego nie mogę zrobić. Zginął na miejscu.

\* \* \*

Najważniejsze to założyć opaskę uciskową na zranioną rękę - tyle zapamiętałem, poza tym wydało mi się to oczywiste, krew leje się z rany jak woda z kranu, z ręki tryskają jasnoczerwone strużki, plamią mi koszulę i płaszcz, rosą błoto między butami. Obok spoczywa ciało martwego Bretta.

To zabawne, patrzę na te fontanny posoki, ale mam wrażenie, że to nie ja jestem ranny, że to ręka kogoś innego, garnitur kogoś innego i pulsująca rana też. Potworny ból, który przeszył mnie w momencie trafienia, zniknął, a przestrzelina w górnej części ręki, na wysokości bicepsa, wygląda na bardzo poważną ranę, tyle że zupełnie jej nie czuję.

Szok. Ten kompletny brak czucia jest spowodowany zastrzykiem adrenaliny, która wypełnia moje żyły z takim

impetem jak woda kadłub tonącego statku. Oglądałem rękę, jakby to była kończyna leżąca na ladzie w sklepie mięsny: kula uszkodziła arterię ramieniową, tracę krew w zastraszającym tempie, zbyt szybko, kolejne cenne mililitry wsiąkają w podłoże Fortu Riley. Przeszedłem kurs pierwszej pomocy, potem odnawiałem tę wiedzę na corocznych sprawdzianach z wiedzy medycznej, ponieważ tak stanowił regulamin komendy policji w Concord. Wiem więc, czego mogę się spodziewać: spadku ciśnienia krwi, zawrotów głowy, poczucia wyziębienia, potliwości i wreszcie poważnego zagrożenia gorączką. Co ja mówię, wszystkie te symptomy są bardzo poważne, ranami postrzałowymi należy zajmować się bezzwłocznie, a już tymi, które uszkadzają arterie, w szczególności. „Wysokie ryzyko utraty kończyny albo/oraz życia”.

Muszę opatrzyć ranę i udać się do szpitala.

Brett spoczywa na ziemi trzy stopy ode mnie. Potworna rana w twarzy, kompletny bezruch ciała. „Nasza umowa została unieważniona”. Dlaczego tak właśnie to ujął? Co to w ogóle znaczy?

Skup się, Palace. Opatrz ranę.

- Okay - mówię do siebie. - Jezu...

Obmacuję ziemię, dopóki nie znajduję krótkiego grubego patyka. Nie na wiele mi się przyda, oczywiście w dłuższej perspektywie, ale teraz najważniejsze to zatamować upływ krwi - powinienem to zrobić już pół minuty temu - aby nie stracić przytomności, dotrzeć do roweru i odszukać apteczkę

pierwszej pomocy. Mogę użyć krawata jako prowizorycznej opaski uciskowej, myślę, lecz gdy sięgam do szyi, wyczuwam palcami, że nie mam krawata. Zdjąłem go wczoraj – czy aby na pewno było to wczoraj? – na dziedzińcu UNH, więc leży pewnie teraz na którejś z tych krętych ścieżek, porzucony jak wylinka węża na pustyni. Wyciągam lewą rękę, próbując poruszać tylko tą stroną ciała, aby nie urazić zranionego miejsca. Pochylam się bardzo wolno, zdejmuję najpierw but, potem skarpetkę. Krzywiąc się, łapię koniec w zęby, po czym owijam ją na rękę powyżej rany, jakbym był uzależnionym od heroiny ćpunem. W tym momencie przypominam sobie brodatego brzuchacza, który dawał sobie przy nas w żyłę w namiocie stołówki. To dla ciebie, rzucam w myślach, wciskając znaleziony patyk między skórę a skarpetę. Przekręcam go kilkakrotnie, czując, jak elastyczny materiał napręża się z każdym ruchem. Czuję w ręce mrowienie, gdy ucisk blokuje naczynia krwionośne. Spoglądam na postrzelone miejsce, widzę, że krew sączy się już tylko, teraz to nie fontanny, jedynie cienkie strużki.

- No i gotowe – mówię do ręki. - Załatwione.

Nadal mnie nie boli. Szok powinien minąć po upływie mniej więcej trzydziestu minut, po czym ból zacznie narastać i osiągnie apogeum po jakichś sześciu, może ośmiu godzinach. Widzę oczyma wyobraźni zdanie wypisane w broszurce, którą rozdano nam podczas kursu pierwszej pomocy. Czarna helvetica na zielonkawych stronach ulotki: **NAJWAŻNIEJSZY JEST CZAS.** Ustabilizuj jak najszybciej



ranę i dbaj o to, by była zamknięta, dopóki pacjent nie trafi do szpitala.

Do szpitala, Henry? Do jakiego szpitala?

Skarpeta rozciąga się, gdy tylko wypuszczam jej koniec pomiędzy zębów. Zostało mi może z dziesięć minut, więc gramolę się z ziemi i ruszam chwiejnym krokiem w kierunku parkingu. W kierunku czerwonej przyczepki Red Rider, która kryje wszystkie moje zapasy.

\* \* \*

„To przecież Brett”, mówili mi wszyscy. „To przecież Brett”. Teraz mam już pewne pojęcie, o co mogło im chodzić. Fascynujący człowiek, uosobienie żywiołu. Charyzmatyczny, mądry, uczciwy i dziwny.

Zatrzymałem się na chwilę, by odpocząć, mniej więcej w połowie drogi pomiędzy miejscem, gdzie zostaliśmy ostrzelani, a słupkiem, do którego przypiąłem rower.

„Nasza umowa została unieważniona”, powiedział. Bardzo dziwny zwrot w odniesieniu do spraw sercowych.

Żałuję, że nie załatwiliśmy kilku spraw, a najważniejszą wydaje mi się to, że Brett nie zapytał, dlaczego uparłem się go odnaleźć, dlaczego tak mi na tym zależało. A przygotowałem sobie naprawdę świetne odpowiedzi. Dlatego, że dane słowo, to dane słowo, funkcjonariuszu Cavatone. Nasza cywilizacja opiera się przecież na garści takich zobowiązań. Hipoteka, przysięga małżeńska, przyrzeczenie, że będzie się przestrzegać praw, przysięga, że

będzie się je egzekwować. Zwłaszcza teraz, gdy nasz świat zaczyna się chwiać w posadach, każde złamanie danego słowa jest jak gładz ciskany w ściany pokryte siatkami spękań.

Wyjaśniam to wszystko Brettowi, wlekąc się w kierunku roweru, próbując utrzymać nad raną opaskę zrobioną ze skarpety, sycząc na głos, gdy czuję pierwsze ukłucia bólu. Udzielam mu tych odpowiedzi, mimo że leży tam martwy, ponieważ szanse na to, że dołączę do niego po tamtej stronie, rosną z każdą chwilą.

\* \* \*

W chwili gdy docieram do roweru, mój prowizoryczny opatrunek jest już nasiąknięty do granic, a gdy go zdejmuję, krew znów zaczyna tryskać. Wymacuję w apteczce czarne pneumatyczne opaski uciskowe, naciągam jedną wysoko na rękę, nad ranę, i nadmuchuję tak szybko, jak tylko potrafię, zaciskając powieki z taką mocą, z jaką palce ugniatają gumową gruszkę pompki.

Przerywam po chwili. Nie czuję jeszcze zawrotów głowy, nie doświadczam także poważniejszego bólu. Mogę więc poświęcić chwilkę na zastanowienie, na przemyślenie sprawy. Z miejsca, gdzie stoję, widzę zakręt drogi numer trzy i ściany drzew otaczające parking z pozostałych stron.

„Jaki szpital, Hank?” pytam się znowu, wynajdując tę kwestię gdzieś w podświadomości i wywlekając ją na światło dzienne – i nie chodzi mi bynajmniej o to, który szpital powinienem wybrać. Zastanawiam się raczej, czy w pobliżu

znajduje się jakakolwiek czynna placówka medyczna, do której zdoła dotrzeć jadąca na rowerze ofiara postrzału, potwornie zmęczona i w dodatku porządnie wykrwawiona. Może nie wyciekł ze mnie cały litr, ale z pewnością więcej niż pół litra. Najbliższym miastem jest Portsmouth, nie wiem jednak, czy mają tam jeszcze czynny szpital albo choćby prywatne gabinety lekarskie. A co z Durham? W Wolnej Republice New Hampshire z pewnością znalazłby się namiot medyczny, skoro mają tam nawet stołówkę. W którejś z tych ich piwnic jest z pewnością podstawowy sprzęt obsługiwany przez studentów medycyny.

Czy nie będzie mi łatwiej, jeśli pozbędę się przyczepki? Spoglądam w dół, zastanawiając się, czy bezpiecznie i mądrze będzie wyrzucić zapasy wody, jedzenia i środków opatrunkowych, aby uzyskać prędkość większą o trzy, cztery mile na godzinę. Przyklękam, by sprawdzić, ile zostało mi wody. Za mało, stanowczo za mało.

Już. Jest. Ból. Zaczyna się.

- Jezu - mówię to jedno słowo, a potem je wykrzykuję: - Jezu!

Odchylam głowę jak najdalej i wrzeszczę raz jeszcze, tym razem z całych sił. Boli, o tak, bardzo boli, jakby mi ktoś przytykał do bicepsa rozżarzone żelazo. Chwytam się zdrową ręką za tę obolałą i natychmiast ją puszczam, wyjąc jeszcze głośniej.

Przykucam, mrużę powieki, chwieję się na nogach, robiąc serię krótkich płytkich wdechów.

- Mój Boże, mój Boże.

Ból promieniuje z rany, sięga już do barku, klatki piersiowej, karku, atakuje cały tułów. Kilka kolejnych wdechów, wciąż kucam na parkingu przy szosie. Po kilku długich sekundach ból się cofa. A gdy otwieram oczy, dostrzegam na żwirze z halucynogenną ostrością pojedynczy pomarańczowy liść.

Nie, to nie jest prawdziwy liść. Przyglądam mu się uważnie. To sztuczny liść. Podnoszę go lewą dłonią. Zrobiono go z jakiejś tkaniny, syntetycznej. To sztuczny liść.

W mojej głowie pojawia się myśl. Nie formułuję jej słowo po słowie, zakwita nagle, od razu calusieńka, jakby ktoś mi ją tam podsunął. To nie ma sensu.

Wiem przecież, czym jest ten sztuczny liść. To część kamuflażu strzelca wyborowego, noszą je zawodowi policjanci albo wojskowi snajperzy. Zakładają na siebie takie coś, żeby przebywać w terenie przez dłuższy czas, wtopieni w krajobraz, niedostrzegalni. Dowiedziałem się tego nie podczas służby w policji, tylko od dziadka, który zabrał mnie na polowanie dokładnie trzy razy, próbując wyleczyć wnuka z totalnego braku zainteresowania łowiectwem. Pamiętam jak dziś, że wskazał mi myśliwego, który krył się w zaroślach w takim właśnie kostiumie z liści, po czym fuknął: „W tym się poluje na ludzi, nie na zające”. Zapamiętałem jego skwaszoną minę i tę nazwę, strój maskujący, który wtedy wydał mi się zbyt zabawny, by mógł być używany przy zabijaniu ludzi.

Ból uderza ponownie niczym fala przyływu, więc chwytam powietrze ustami i znów przykucam, nie wypuszczając z dłoni tego dziwnego liścia. To nie ma sensu.

Gdy atak przechodzi - nie całkiem, ale na tyle, bym mógł odetchnąć - spoglądam za kamienny mur, na wzniesienie, próbując znaleźć miejsce, gdzie strzelec czatował, gdzieś na lesistej grani pomiędzy drogą a fortem. Wyliczam w myślach tor lotu kuli. Cienka czerwona linia wydostaje się z lufy i mknie nad łąkami. Przyglądam się jej. Szacuję. Trzysta jardów. To był strzał snajperski, co do tego nie mam wątpliwości. Z tej odległości to łatwizna, kula przechodzi przez moją rękę i trafia idealnie w twarz Bretta. Byłem świadkiem zastrzelenia funkcjonariusza Cavatone'a przez snajpera ze straży wybrzeża albo marynarki. Zawodowego zabójcę, który wytropił go tutaj i zaczął się w stroju maskującym, by oddać strzał z grani pomiędzy drogą a fortem. Wyprzedzające uderzenie kończące krucjatę szaleńca.

Dlaczego więc uważam, że to nie ma sensu?

Poznaję odpowiedź, zanim kończę formułować pytanie: ponieważ Brett powiedział mi, że nie. Że nikt o tym nie wiedział. Nie powiedział nikomu, dokąd się udaje. Tylko Julii, a ona powtórzyła to mnie.

Jakim cudem więc wojsko mogło wysłać przeciw niemu snajpera, skoro nie rozpoczął jeszcze ataków? Przecież nikt nie mógł wiedzieć, co on szykuje.

Nowe pokłady bólu. Gorszego. Najgorszego. Odrzucam

głowę w tył i wyję. Czuję fale nudności napływające od strony żołądka, sięgające już gardła. Ból z rany promieniuje uderzeniami. Czarne punkciki zaczynają mi latać przed oczami, więc liczę powoli do dziesięciu, czując rodzące się dopiero zawroty głowy. Brett zapewniał mnie, że nikt inny o tym nie wie. Brett nie miał powodu mnie okłamywać.

A co z tym jego przyjacielem ze stanówki, dawnym marynarzem straży wybrzeża, od którego dostał te wszystkie mapy i plany? Czy ten facet nie domyślił się, o co może chodzić? Czy nie zaalarmował odpowiednich służb? Nie wytropił go?

Ale jest coś jeszcze, coś... Muszę nabrać tchu, by sobie przypomnieć, o co chodzi. W blokhauzie widziałem przedmiot, który nie pasował do całej reszty. Ból utrudnia mi myślenie. Sprawia, że mam spore problemy z poruszaniem, a nawet trwaniem w miejscu. Siadam więc na żużlu, opieram plecy o kamienny mur i staram się nie poruszać zranioną ręką.

Kolor.

Coś różowego w kufrze.

Wstaję, człapię po parkingu w tym samym kierunku, w którym podążył strzelec, ku drodze. Ku tej samej szosie, którą odjechał, pewnie rowerem podobnym do mojego.

Albo należącym do niej, dodaję, myśląc o Julii Stone i Marcie Cavatone. Mój mózg zaczyna nagle pracować na wysokich obrotach, szacuję motywy, przypominam sobie wszystkie osoby, które spotkałem po drodze do Fortu Riley,

nie zapominając o całej broni, jaką po drodze zobaczyłem. O karabinach M140 u Julii, o strzelnicy Rocky'ego z karabinkami do paintballa, o moim małym rugerze. Jeremy Canliss miał za pazuchą jakiś pistolet, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy przed pizzerią. Nie, nie miał. Ubzdurałem to sobie. Chyba...

Jakie to ma znaczenie? Żyjemy w Ameryce podczas ostatecznego odliczania. Wszyscy są uzbrojeni.

- Szpital. - Znajduję słowa tkwiące w krtani i wypowiadam je z powagą, napominając sam siebie. - Zapomnij o broni. Zapomnij o Bretcie. Jedź do szpitala.

Zerkam w kierunku drogi numer sto trzy, której asfalt zdaje się topić w tym upale, powietrze nad nim jest rozedrgane, wydaje mi się, że widzę, jak paruje. Chwieję się mocno. Zielone stronice ulotek fruwią na wietrze, teksty na nich zapisane informują mnie, że nudności będą eskalować, od umiarkowanych do ekstremalnych. Za jakieś cztery godziny ból powinien zelżeć, tyle czasu trzeba, by tkanki pozbawione ukrwienia zaczęły obumierać.

Spoglądam tępo na rower i nagle zdaję sobie sprawę, że podjąłem decyzję. Jest już za późno. Pomysł, bym wskoczył na rower i pojechał szukać szpitala, to idiotyzm. Szaleństwo. Już pół godziny temu było na to za późno. Nie dam rady utrzymać się na rowerze. Przecież ja ledwie mogę chodzić. Uśmiecham się, wypowiadając to zdanie na głos:

- Henry, nie dasz rady wsiąść na rower.

Zerkam przez ramię. Brett wciąż leży na trawie twarzą do

słońca. Jego misję trzeba uznać za całkowitą porażkę. Wiem, dlaczego odszedł, tak, wiem nawet, dokąd się udał, ale nie żyje, a ja nie mogłem nic zrobić, aby go ocalić.

Wykombinowałem jednak, do pewnego stopnia rzecz jasna, kto mógł go zastrzelić. Mam już kilka ciekawych domysłów na ten temat.

\* \* \*

Czterdziestu pięciu minut potrzebuję, by wrócić po własnych śladach – idąc z powrotem przez parking, mijając kamienny łukowaty portal i nasiąkniętą wodą łąkę otaczającą blokhauz.

Ból znów się nasilił, jest nie tylko trudniejszy do zniesienia, ale zaanektował nowe terytoria, skolonizował najdalsze rejony mojego organizmu. W chwili gdy docieram do rozchwianego cienia wieży, oddech mam nierówny i płytki, poruszam się zgięty wpół jak zgrzybiały staruszek z głupiej kreskówki. Upadam, lądując na zranionej ręce, piszczę z bólu jak dziecko, lecz obracam się na plecy. Leżę pod dyndającą na wietrze drabiną sznurową, przy samej ścianie blokhauzu.

Gapię się na tę drabinę. Szerokie szczeble, gdy całkiem niedawno schodziłem po nich z wieży tuż za Brettem, jeszcze godzinę temu wydawały mi się żywcem przeniesione z placu zabaw w White Parku, po którym szalałem na podobnych konstrukcjach w dzieciństwie. Teraz to zbocze góry, na którą mam się jakoś wspiąć, choć jestem skrajnie wyczerpany i dysponuję tylko jedną ręką.



Wstaję powoli, spoglądam w górę, mrużąc powieki. Czuję, jak słońce przypala mi tył głowy.

- Raz - rzucam, nabrawszy tchu, po czym z głośnym jękiem dźwigam ciężar ciała jedyną zdrową ręką. Podnoszę się na tyle, by stopą sięgnąć drugiego stopnia drabiny.

Zastygam, dysząc ciężko, zaledwie trzy stopy nad ziemią, z odchyłoną mocno głową i przymkniętymi powiekami. Pot ścieka mi z czoła strumieniami, zbiera się we wgłębieniach nad obojczykiem. Czekam na odzyskanie sił, ile to trwa, nie wiem, może nawet kilka minut.

- Dwa - mówię potem.

Wdech, skupienie, jęk, podciągnięcie. Trzy, potem cztery. Kolejne momenty skupienia, po których moja stopa trafia na wyższy szczebel, a ja podciągam się i wypuszczam powietrze z płuc, a potem czekam, dysząc ciężko, przypiekany przez słońce na tej ścianie, czując, jak pot spływa mi wzdłuż kręgosłupa i po rękach, docierając aż w okolice pasa, przemaszając pachy.

Gdzieś w połowie drogi, przy szczeblu numer dziesięć, uznaję, że podjąłem się niemożliwego. Nie dam rady wejść wyżej. To równie dobre miejsce na śmierć jak każde inne.

Jestem zbyt zmęczony, zbyt rozpalony i spragniony - z czasem właśnie pragnienie staje się moją największą bolączką, sprawia mi więcej problemów niż nudności czy podnosząca się nieustannie gorączka. Jest gorsze od bólu, który do tej pory wydawał mi się największym spośród

dreńczęcych mnie katuszy. Nie pamiętam już nawet, co chciałem znaleźć tam, na górze, w blokhauzie.

To jednak nie ma teraz najmniejszego znaczenia. Jestem zbyt wyczerpany, zbyt obolały i zbyt spragniony, by wspinać się dalej. Umrę tutaj pokryty potem i zaschniętą krwią, umrę na ścianie dwustuletniej budowli, palony popołudniowym słońcem. Tutaj Maja zostanie pustą skorupę mojego ciała i zmyje ją w odmęty morza.

Pies szczeka u stóp budynku. Nie mogę go dostrzec, za to słyszę doskonale. Szczeka po raz drugi, głośno i wyraźnie.

- Hej - mówię, lecz słowo wydobywające się z moich ust dryfuje w stronę ziemi wolno niczym suche liście opadające z drzew. Odchrząkuję, by oczyścić krtań, i próbuję raz jeszcze: - Hej, piesku.

Houdini nie przestaje szczekać, ponieważ jest już głodny albo wystraszony, może po prostu cieszy się, że mnie znowu widzi, a przynajmniej znajome długie nogi. Pewnie zabłądził w pobliskim lesie, ganiając za wiewiórkami lub uciekając przed innymi stworzeniami przez ostatnie dwie godziny. Przy dezorientacji i zmęczeniu, które mnie ogarnęły, odbieram jego szczekanie jako zachętę: upiera się, bym kontynuował wspinaczkę, atakuję więc kolejny szczebel, a potem następny.

Mój mały piesek pojawił się w kluczowym momencie, by przypomnieć mi w swoim chrapliwym psim języku, że zbawienie czeka u szczytu tej drabiny. Idę więc dalej. W górę.

\* \* \*

Gdy padam w końcu na podłogę blokhausu, leżę tam przez chwilę, kaszląc potwornie. Krtań zapadła mi się jak szyb starej kopalni. Przetaczam się, gdy ten atak mija, pełzną pod działem w stronę kufra, jakimś cudem udaje mi się go otworzyć, więc sięgam natychmiast po dwugalonową butlę wody. Dźwigam ją do ust, a ciężka jest jak diabli. Piję niczym wędrowiec, który dotarł do oazy po przebyciu całej pustyni. Pozwalam, by to, czego nie zdołam przełknąć, moczyło mi twarz i pierś. W końcu przestaję, aby zaczerpnąć łapczywie tchu, jak delfin wynurzający się z głębin, a potem znów zaczynam pić.

W końcu opróżniona butla wypada mi z dłoni, słyszę głuche dźwięki towarzyszące jej odbijaniu się od desek podłogi.

Wracam do kufra i minutę później trafiam na to, czego szukam. Różowy papier wsunięty... nie, więcej, ukryty pomiędzy ubraniami na zmianę a latarką. Pojedyncza kartka różowego papieru wyrwana z zeszytu, pomięta i poczerniała na krawędziach, tam gdzie dotykały jej palce Bretta pobrudzone ziemią i osadami prochu. Wymiętoszona i brudna, ale wciąż da się wyczuć ulotny zapach cynamonu.

Śmieję się w głos, to naprawdę paskudny chrapliwy dźwięk. Biorę kartkę z pamiętnika Marthy, macham nią, by rozłożyć ją zdrową dłonią. Kartka jest postrzępiona z jednej strony, jakby wydarto ją gwałtownym ruchem. Spoglądam na zadaszenie schronu Bretta, przykładam kartkę do piersi

i szczerzę się jak dureń. Czuję, że zaschnięty na mojej twarzy brud pęka i odpada. Czytam raz i drugi, znaczenie tych słów zaczyna mnie otaczać, ale nadchodzi kryzys, kręci mi się w głowie, dostaję gorączki, więc znów przyciskam ten skrawek papieru do piersi, opieram się o ścianę i przymykam oczy.

\* \* \*

Szczeka tam, na dole. Houdini, piękny wierny pupil, nawołuje mnie. Hałasuje tak bardzo, abym nie zasnął, albo dlatego, że dostrzegł na niebie ciekawie wyglądającą chmurę, a może po prostu upaja się brzmieniem własnego głosu, jak to psy mają w zwyczaju.

Powinienem... Otwieram oczy, gapię się na przeciwległą ścianę, próbując ubrać myśli w zrozumiałą kształt. Powinienem sprawdzić, o co mu chodzi. Przetaczam się więc na brzuch i pełzną do wyjścia. Ręka nie boli już tak potwornie, ale ta chwila wytchnienia może być bardzo złym znakiem. Wysuwam głowę za krawędź, jest tam, szczeka, zmyślna bestia, ujada tuż przy ścianie, by dźwięk poniósł się wysoko i dotarł do mnie tu, na górze.

- Dobry piesek - szepczę, posyłając mu uśmiech.

Słońce stoi już nisko nad horyzontem, straciło także na blasku, lecz wciąż mogę dostrzec piramidkę z martwych ptaków ułożoną przez mojego psiaka. Nie jestem pewien, czy to rodzaj ofiary ku mojej czci, danina czy też dziwaczna

przynęta. Zobacz, mój panie, zobacz! Jeśli przeżyjesz ten koszmar, możesz zjeść te ptaszki.

- Dobry piesek - powtarzam. - Dobry piesek.

\* \* \*

Mija trochę czasu. Gdybym zerknął na zegarek, wiedziałbym, która jest teraz godzina i ile czasu minęło od chwili odcięcia mojej ręki od reszty krwiobiegu, odkryłbym przy okazji, jak blisko jestem śmierci albo utraty prawego ramienia.

Czuję ból prawie w całym ciele. W dawnych czasach przypięto by mnie za ręce i nogi do jakiejś maszyny, a potem poruszono jakieś pokrętło, żebym zaczął mówić. A może nawet nie, zrobiono by tak tylko po to, by patrzeć, jak cierpię. Albo z powodu wizytacji jakiegoś ważniaka, który nigdy wcześniej nie widział, jak działa ta maszyna. Ot, kolejna rzecz, która zmusza cię do pomyślenia: co zamierzasz robić, skoro nadchodzi koniec świata?

Czytam po raz kolejny to, co napisano na różowej kartce. Równiutkimi, choć nieco pochylonymi literami nakreślonymi ręką Marthy, przypominającymi nieco te, które widziałem w cytacie ze świętej Katarzyny na ścianie kuchni nad kranem. Słowa różnią się jednak wydzźwiękiem od tamtej sentencji, i to bardzo.

NIE ŻYJE, N. NIE ŻYJE, NAPRAWDĘ NIE ŻYJE.

NIGDY WIĘCEJ NIE DOTKNĘ JEGO TWARZY ANI GO NIE UCAŁUJĘ.

GDY PRZYMYKAM OCZY, WIDZĘ GO: SZCZEROZŁOTY UŚMIECH, RĘCZNIE ROBIONE PAPIEROSY, GŁUPIE TATUAŻE.

ALE KIEDY JE OTWIERAM, ON ZNÓW ZNIKA.

NIECH TEN ŚWIAT SCZEŹNIE, BEZ NIEGO I TAK JEST JUŻ MARTWY, ALE...

Urywa się w połowie zdania, ponieważ ciąg dalszy był na następnej stronie. Na górze jest jeszcze data. Piąty lipca, to zaledwie kilka tygodni temu.

„Nie żyje”, napisała. „N. nie żyje, naprawdę nie żyje”.

Kto, Martho? Kim jest ten N.?

Nadal nie spoglądam na zegarek, ale czuję, jak szybko upływa czas. Dzień już się kończy, promienie słońca pojawiają się i znikają w szczelinach strzelniczych. Żałuję, że nie umiem posłać swoich myśli, jak w średniowieczu posyłano gołębie pocztowe, aby zebrały wskazówki i przyniosły mi je tutaj, na górę, do tej komnaty zguby.

Kim jest N., Martho? Gość ze złotymi zębami ręcznie zwijający papierosy i posiadający zabawne tatuaże.

Ile karabinów zostało w tej szopie koło siłowni, Julio Stone? Pójdiesz tam i policzysz je dla mnie? Musisz to sprawdzać, a może to ty wyniosłaś kolejny?

Funkcjonariusz Nils Ryan, kumpel Bretta z czasów służby w stanówce. Nils to imię na literę N. Ale był jeszcze inny N., tylko nie mogę go sobie teraz przypomnieć. Świat wiruje mi przed oczami. Ta sprawa była prosta jak drut. Zaginął

człowiek, znajdź go. A teraz mam wrażenie, że droga prowadząca do celu zmieniła się w jeden wielki labirynt.

Naciskam bezwładną rękę od góry do dołu, ale nie czuję zupełnie nic, oddech mam płytki, nierówny. W pewnym momencie dotrę do punktu, w którym wszystko przestanie mieć znaczenie. W zdaniu: „Utrata kończyny albo/oraz śmierć”, pozostanie tylko to drugie: „oraz”.

Dzieciakami nie muszę się przejmować. Alyssą i Micahem Rose z podstawówki przy Quincy. Przekazałem ich pod pieczę Culversona, a to słowny facet, który zrobi, co trzeba. Uśmiecham się na myśl o Culversonie, siedzi teraz pewnie w Somerset i zjada samotnie kolację, a potem pyta uprzejmie Ruth-Ann, ile się należy.

Tarcza słońca ciemnieje. Jest późne popołudnie. Niedługo zapadnie noc.

Żal mi tylko Nico, ponieważ obiecałem, że będę jej bronił, dopóki jedno z nas albo oboje nie zginiemy. Ona była pijana, a ja miałem piętnaście lat, ale dałem jej słowo i mówiłem poważnie. Teraz przepraszam ją w myślach. Jeśli do kogoś mogą dotrzeć drogą telepatyczną, to właśnie do mojej siostry. Dlatego skupiam się i wysyłam te słowa w eter. Nico, kochana, tak mi przykro.

\* \* \*

Otwieram oczy i widzę wyraźnie tarczę zegarka. Jest piąta trzynaście. Około sześciu i pół godziny od postrzelenia, od chwili, gdy kula przeszła mój biceps.

Od dłuższego czasu nie słyszę już Houdiniego. Może i on zdecydował, że trzeba unieważnić naszą umowę, pognał w las, zmutował w psa morskiego albo wilka. I dobrze. Sięgam dłonią do twarzy, jakbym chciał sprawdzić czy ona nadal tam jest. Wyczuwam brud. Bruzdy, których nie pamiętam. Nawet wąsy wydają się dziwnie wielkie, są tak poskręcane i nierówne jak linia brzegowa. Nie podoba mi się to.

Czytam raz jeszcze kartkę z pamiętnika Marthy. NIE ŻYJE, N. NIE ŻYJE, NAPRAWDĘ NIE ŻYJE.

\* \* \*

Strzelanina wybucha gwałtownie, zaczyna się nie od jednego czy dwóch huknięć, tylko od jednoczesnej salwy z setek luf, ale ja nie mogę się ruszyć, nie mogę zejść na krawędź urwiska. Pozostaje mi więc wyglądanie przez wąski otwór w ścianie i obserwowanie tego horroru z daleka.

Podczas tego długiego gorącego dnia jeden z punkcików, które dostrzegłem rankiem na horyzoncie, zdołał dotrzeć na redę portu i rzucił kotwicę w pobliżu latarni morskiej. To frachtowiec o wysokich stalowych burtach, wielki jak góra. Znajduje się niespełna pół mili od brzegu otoczony wianuszkami tratw i łodzi, które przypominają szczenięta tłoczące się wokół karmiącej suczki. Sześć albo siedem podobnych im łódek odrywa się od tej masy i kieruje w stronę wybrzeża. Ich pokłady zapełniają ludzkie postacie,



silniki popyrkują miarowo. A teraz – na moich oczach – ktoś otwiera do nich zmasowany ogień.

– Nie – szepczę.

Jest tak, jak mówił Brett – to patrolowiec straży wybrzeża, smukły, stalowy, z ostrym dziobem, masztami antenowymi, majestatyczny okręt blokujący dostęp do brzegu, oferujący zbliżającym się łodziom nie pomocną dłoń, tylko kanonadę.

Małe jednostki daremnie próbują wykonywać manewry unikowe. Łodzie wiosłowe i tratwy są zbyt powolne i nieruchawe w porównaniu z prującym wody okrętem wojennym.

Po niebie przemykają ptaki, mkną jak szalone, uciekają przed ogłuszającym hukiem.

– Nie – powtarzam, leżąc wysoko na wieży przy wąskim oknie, niezdolny do żadnej innej reakcji. – Nie.

Tratwy zaczynają się przewracać, ich pasażerowie wpadają do wody, młócąc ją szaleńczo rękoma, wrzeszcząc, chwytając się nawzajem – kobiety, dzieci, młodzi mężczyźni – a ja patrzę na to bezradny, uwięziony wewnątrz tego blokhauzu, wewnątrz tej rany, kaszląc, czując zawroty głowy, przyglądam się, jak toną, jak pływają, jak łodzie z patrolowca ruszają, by zająć się pozostałymi.

– Stać – szepczę, oczy uciekają mi w głąb głowy. – Policja!

Dzieci tulą się do siebie, ich drobne ciała miotane są falami kilwaterów przemykających obok łodzi. Otwierają usta do krzyku nawet wtedy, gdy przykrywa je woda.

\* \* \*

W ciszy po masakrze zapadam w sen, a gorączka przynosi mi kolejne koszmary. Brett żyje, przykucnął obok mnie, przy otworze strzelniczym blokhauzu, z M140 wymierzonym w jakiś cel. Nie rzuca: „A nie mówiłem?”. To nie w jego stylu. Słyszę za to: „Unieważniona. Nasza umowa została unieważniona”. Chcę go ostrzec, że lufa jego broni wsuwa się do naszej kryjówki innym otworem strzelniczym, zupełnie jakby to była scena z jakiejś kreskówki, w której człowiek sam mierzy we własną twarz.

„Nie rób tego – krzyczę – nie strzelaj!” Poruszam ustami, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk, więc Brett naciska spust i moment później leci w tył, robiąc salta, przetaczając się, aż całkiem nieruchomieje.

W następnym śnie, w następnej scenie, trzyma w rękach fuzję, siedzimy tym razem na dachu. Uśmiecha się do mnie, dziwnie promieniejąc, odchyła mocno i zaczyna strzelać jak do rzutków, wysoko, wysoko, strącając asteroidę z nieba. Houdini skacze i przynosi nam ją w pysku, niesie w pyszczku żarzącą się wciąż skalisto-metaliczną planetoidę, jakby to była martwa kaczka.

\* \* \*

Budzi mnie jakiś odległy nieznaną dźwięk, a moja pierwsza myśl jest taka: „On chciał odejść”.

Nie on był niewierny jej, tylko ona jemu.

Och, Martho...

Miała kochanka, mężczyznę, którego opisywała jako N., człowieka, który musiał zginąć podczas zamieszek w Dniu Niepodległości.

Brett nie opuścił Marthy, ale zbierał się, i to długo, by to uczynić. Miał informacje, miał plan, wiedział, że chce poprawić ten świat. Wiedział nawet, gdzie powinien się udać, by zdobyć broń, której będzie potrzebował. Nie zrobił tego jednak, nie odszedł, ponieważ dał słowo żonie, i to w obliczu Boga, a był człowiekiem, który nie łamie danego słowa.

Znów to brzdąkanie. Co to za dźwięk? Statek musiał wrócić albo pojawił się nowy, więc nad horyzontem pojawia się groźba kolejnej strzelaniny. Wizje martwych i konających pasażerów tratw powracają, ostre i barwne niczym fotografia. Próbuje unieść głowę, ale nie daje rady. Zostaje w tej dziurze, przymyka oczy na to, co widziałem, i skupiam się ponownie na swojej sprawie, próbując pozbierać wszystko do kupy.

Brett zareagował na znalezienie kartki z pamiętnika Marthy nie gniewem, lecz skrywaną radością. Wyrwał tę notatkę i zachował ją na pamiątkę, ponieważ to był jego bilet do wolności, pozwolenie, by wyruszył w świat i robił to, czego pragnął. Dobił targu ze złodziejem Cortezem i odszedł. Z łaski Pana jego żona okazała się niewierna, więc ich umowa została unieważniona, a on poczuł się zwolniony z danego słowa i zostawił ją. Wydarł kartkę z pamiętnika

i trzymając ją na sercu, pognał do tej wieży, by rozpocząć swoją krucjatę.

Pomruk narasta. Podnoszę rękę, widzę, jak wędruje w górę powoli, niezdarnie, jakby składała się z garści powiązanych patyków. Proszę, niech to nie będzie następny statek. Błagam. Nie chcę już na to patrzeć.

Dudnienie na zewnątrz. Blisko, znacznie bliżej, niż jest do morza. Silnik.

Muszę się podnieść, muszę się podciągnąć, więc robię to. Używam nóg, ale nie po to, by iść, pełznę po podłodze jak robak w kierunku wyjścia, wystawiam głowę na zewnątrz i widzę go – jest tam – wielki zielony helikopter wisi na niebie tuż nad blokhauzem, pracujący bez ustanku rotor wydaje ogłuszający ryk.

Odrywam zdrową rękę od progu i macham nią, a raczej ledwie poruszam, próbuję krzyczeć, lecz z moich ust nie wydobywa się żaden dźwięk. Nico wychyla się z drzwi śmigłowca, trzyma się ramy, śmieje, krzyczy:

- Hank! Hank!

Nie mogę jej słyszeć, widzę tylko, że jej usta się poruszają, wypowiadając słowa: „A nie mówiłam?”.

CZEŚĆ PIĄTA

# Dziki kraj

Wtorek, 24 lipca

Rektascensja 19 57 36,4

Deklinacja -61 59 14

Elongacja 137,9

Delta 0,817 j.a.

# 1.

„Martho, o Martho, ukryłaś przede mną swe serce.

Martho, o Martho, dlaczegoś mi to uczyniła?”

Jestem tam, kucam obok Marthy Milano w wejściu do Easy-Bake, piec właśnie się rozgrzewa, więc czujemy oboje na twarzy miły żar. Leżę w blokhauzie, spoglądając na strzaskaną czaszkę Bretta. Siedzę przygarbiony, półprzytomny w helikopterze, a siostra potrząsa mną, policzkuje mnie, robi wszystko, bym nie zasnął. Ale ja nie śpię. Z pieca Easy-Baken coś dziwnie załatuje. Wydaje mi się, że słyszę ciche pomruki, jakby w głębi domu ktoś rozmawiał.

Otwieram oczy. Dziwny biały pokój oświetla samotna świeca, ale oczy mnie bolą od jej blasku. Muszę zacisnąć powieki.

„Martho, o Martho, dlaczegoś mi to uczyniła?”

Skłamała. A w każdym razie dopuściła się grzechu przemilczenia.

Gdzie ja jestem? Co się stało z Nico? Helikopter... fort... pies... Gdzie jest Houdini?

Miała kochanka - mówię o Marcie. Nazywał się N. Kim był ten N.? Oszukiwała. To ona złamała przysięgę małżeńską, ona unieważniła umowę, ona zaryzykowała własnym ocaleniem. Na moment przed tym, nim wyszedłem z Rock 'n' Bowl, pojawił się tam nowy gość. Norman. Tak się nazywał. „Przyszedł pan Norman”. „Bez jaj, tak wcześnie?”

Pływam w gęstym powietrzu, kołyszę się, opadam. Niemiły zapach przechodzi w odór, jest ostry, kwaśny, jakby coś dezynfekowano, jakbyśmy z Marthą próbowali upiec zużyty mop. Gdzie ja jestem? Na Boga, jak tu trafiłem?

„Czy masz mi coś jeszcze do powiedzenia, Martho?” – tak właśnie powiedziałem, czyż nie? O to zapytałem. Powiedz coś jeszcze o swoim mężu, o waszym małżeństwie. Próbuje wejrzeć z oddali w głąb serca Marthy: ona uważa, jestem tego pewien, że to, co zrobiła i z kim, nie ma najmniejszego znaczenia dla tej sprawy. Jej mąż odszedł, nieważne dlaczego, ale ona chce, by wrócił.

Ale Martho, o Martho, on już nie wróci.

Znów widzę twarz Bretta: wielki pusty krater i jeszcze ten odrażający smród, który mnie otacza. Węższą czujnie, oczy wciąż mam zamknięte jak dopiero co urodzony króliczek, smakuję woń powietrza, choć wciąż jeszcze mam na nosie wilgoć łona. Wybielacz? Płyn do czyszczenia?

Kolejne mamrotania, jeszcze więcej ściszonych głosów.

A potem nagle jakiś gigant chwyta mnie za prawy bok i ściska go, wielgachne paluchy brutalnie wpijają mi się w ciało, próbują oderwać rękę od torsu, jakby to był płatek kwiatka. Wierzgam, przypominam sobie o ranie. Czuję się jak zepsuta zabawka, jakby mnie ciśnięto z wysokości na bruk.

- Hank! - Jeden z głosów staje się wyraźny i głośny. - Hank!

Nigdy wcześniej nie zauważyłem, jak ostro i klinicznie brzmi moje imię. Hank, jak szorstko i zwięźle, Hank, jak

onomatopeicznie, niczym zgrzyt łańcucha po metalowej płycie. Myśli wirują coraz szybciej.

- Hank - mówi ten głos ponownie, ale to już nie sen, w tym pokoju ktoś jest.

Leżę w jakimś pomieszczeniu, jest tu jeszcze jakiś człowiek, który stoi tuż obok i wypowiada moje imię.

Decyduję się unieść najpierw jedną powiekę. Odsłaniam prawe oko, w szczelinę natychmiast wdziera się oślepiający blask. Z niego wyłania się powoli kształt twarzy, którą rozpoznaję. Dwoje oczu, każde ukryte za szkłem okularów, twarz owalna, gapiąca się na mnie z góry jak na jakąś amebę. Nad okularami nierówno obcięta grzywka i ta irytująco sceptyczna mina.

- Doktor Fenton? - chrypię, otwierając drugie oko.

- Co ci się stało? - pyta Alice.

- Postrzelono mnie.

- Dzięki - mruczy. - To jedyna część tej opowieści, której sama się już domyślałam.

- Wyszła pani z piwnicy - mówię.

- Tak, opuściłam kostnicę - przyznaje. - Mamy za mało lekarzy, a zbyt wielu ludzi potrzebuje ostatnio pomocy. Coraz więcej idiotów pada ofiarą wypadków z bronią.

Chciałbym jej odpowiedzieć, lecz ta krótka wymiana zdań wyczerpuje mnie kompletnie. Pozwalam więc, by powieki znów mi opadły. Alice Fenton to legenda. Była - a może jest nadal - głównym patologiem stanu New Hampshire. Naprawdę od dawna wielbiłem ją, oczywiście z dystansu,



wielbiłem tę jej zawodową sprawność i przenikliwość. Kilka miesięcy temu miałem sposobność po raz pierwszy współpracować z nią, dzięki jej spostrzeżeniom udało mi się znaleźć zabójcę kilkorga ludzi. Między innymi Naomi Eddes, w której się zakochałem. Tak, Fenton to legenda.

- Doktor Fenton - mówię. - Jest pani legendą.

- Wspaniale - odpowiada. - Prześpij się. Porozmawiamy później.

- Chwileczkę. Proszę zaczekać.

- Tak?

- Sekundkę.

Nabieram tchu. Otwieram oczy. Opieram się na łokciach i rozglądam wokół. Pościel wydaje się zielonożółta w tym półmroku. Mam na sobie szaroburą szpitalną koszulę. Jestem u siebie. Widzę wieszak, na którym był kiedyś telewizor, teraz sterczący ze ściany jak obumarły metalowy konar. Muszę iść na Albin Street. Muszę spotkać się z klientką. „Hej, Martha. Mam do ciebie kilka pytań”.

Doktor Fenton stoi obok mojego łóżka z plikiem papierów pod pachą, jej przysadzista sylwetka emanuje zniecierpliwieniem.

- Słucham - rzuca.

- Muszę już iść.

- Jasne. Miło było cię zobaczyć.

- Dzięki - mruczę.

Czeka, aż przerzucę nogi przez ramę łóżka, aż ściśnięty żołądek znów wróci na swoje miejsce. Przed oczami

przelatują mi kolejne wizje. Płacząca Martha. Gapiący się Brett. Pałaca Nico. Rocky w swoim biurze z nogami na blacie. Naomi Eddes leżąca nieruchomo w mroku tam, gdzie ją znalazłem. Przestaję poruszać nogami, zaciskam krtań, próbując zwalczyć torsje.

- Eter - rzuca doktor Fenton z ledwie wyczuwalną nutą rozbawienia. - Zostałeś potraktowany eterem. Moim kolegom, i mnie też zresztą, już dawno zabrakło środków usypiających. Departament Sprawiedliwości obiecał na piątek dostawę morfiny i MS continu razem z paroma beczkami paliwa do generatorów, ale uwierzę, jak to zobaczę. Na razie musimy ratować się eterem. Odkrywamy na nowo stare metody.

Potakuję. Robię wszystko, by się nie porzygać. Ręka boli mnie, jakby cała była poprzeszrzelana. Próbuję nią poruszyć, by sprawdzić, czy ból się wzmocni czy może zelżeje, ale odkrywam, że ani drgnie.

- Powinnam ci o czymś powiedzieć, Hank - dodaje doktor Fenton, a ja nie dostrzegam nawet śladu rozbawienia w jej głosie. - Istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo, że stracisz rękę.

Słucham jej obojętnie. Stracisz rękę. Jasne. Oczywiście. Moja poduszka pachnie kurzem i krwią innych ludzi.

Fentan nadal mówi:

- Załatałam tę przeszrzeloną tętnicę w twoim ramieniu, usuwając ten rozharatany fragment i zastępując go przeszczepem. Ale... - milknie, potrząsa głową. - Sama już

nie wiem, co robię. Przeprowadzałam autopsje przez ostatnie ćwierć wieku, a od dwóch tygodni jestem chirurgiem gmerającym w żywych ludziach. W dodatku, czego pewnie jeszcze nie zauważyłeś, w tym szpitalu zrobiło się kurewsko ciemno.

- Pani doktor, jestem pewien, że zrobiła pani co w jej mocy - pocieszam ją. Wyciągam zdrową rękę, by poklepać ją po ramieniu.

- Ja też jestem tego pewna - przyznaje - ale to jeszcze nie znaczy, że nie stracisz tej ręki.

Próbuję raz jeszcze poruszyć nogami i tym razem udaje mi się przesunąć je nieco bliżej krawędzi łóżka. Wizualizuję przy tym trasę, jaką muszę pokonać, by dotrzeć ze szpitala miejskiego, mieszczącego się przy Pleasant Street i Langley Parkway, aż na Albin Street w północnej części Concord. „Nie wchodzę ci w drogę, Martho. Chcę tylko poznać prawdę”.

Otoczające mnie urządzenia popiskują głucho, bijący od nich blask jest blady, przydymiony, jeszcze słabiej świecą zasilane z generatora lampy. Nogi odmawiają przesunięcia się choćby o milimetr dalej. Ręka mnie rwie, a reszta ciała boli. Świat zaczyna z wolna wirować. Czuję, że pogrążam się ponownie w chmurze eteru, ale nie jest to wcale nieprzyjemne wrażenie. Na miejscu Fenton stoi teraz Naomi, spogląda na mnie tak czule, że serce zaczyna mi żywiej bić. Za życia była łyśa, lecz na tamtym świecie włosy jej już

odrosły, wyglądają teraz ślicznie, jak mech pokrywający obmywany wodą głąz.

Gdy pozwalam głowie opaść na poduszkę, w polu widzenia znów pojawia się ryczący helikopter i Nico piekłała się w jego drzwiach. Mrugnięcie okiem i jestem w środku, rozgorączkowany i skołowany, czuję owiewający nas wiatr. Włosy Nico falują niczym łany czarnej trawy. Pilot jest niepewny, jakby podenerwowany. To dziewczyna, naprawdę młoda, zaledwie nastolatka, na pewno nie ma jeszcze dwudziestu lat. Nosi lotnicze gogle i bardzo niepewnie trzyma drążek wolanta.

Walczę z Nico przez całą drogę. Czterdzieści pięć minut kłótni, podniesione głosy, krzyki - inaczej nie da się niczego usłyszeć w ryku wirnika i przy ogłuszającym wyciu wiatru. Oboje próbujemy się przekonać, by drugie nie zrobiło niczego głupiego. Ja proszę, by odwiozła mnie do Concord i tam została, zamieszkała ze mną do samego końca w domku przy Little Pond Road, tak jak wcześniej to omawialiśmy. Ona odmawia, nalega, bym trzymał się jej, znów opowiada mi o asteroidzie, bombach, hydrodynamicznych symulacjach i potrzebnej zmianie prędkości. Przez cały czas rzuca nami w tę i we w tę po niebie nad New Hampshire.

Gorączkuję coraz bardziej, ale już schodzimy ostro na lądowisko przy szpitalu miejskim.

Gdy gramolę się na zewnątrz, Nico głośno rzuca za mną... co też takiego powiedziała? Coś szalonego. Kiedy odwracam się, stojąc na miękkich nogach na skraju lądowiska, i błagam

siostrę otumaniony bólem i gorączką, by pozwoliła się chronić do samego końca, oświadcza mi po prostu: „Nic się nie martw”.

- Nic mi nie będzie! - krzyczy, przykładając dłonie do ust. - Będziemy w kontakcie mailowym!

W szpitalnym łóżku budzi mnie mój własny śmiech. „Będziemy w kontakcie mailowym”. Te słowa, ich znaczenie zdaje się pochodzić z obcego języka. Z urdu, farsi albo z dawno martwej łaciny.

Kładę głowę na poduszce, oddycham głęboko, by choć trochę się uspokoić. Nie mogę uwierzyć, że pozwoliłem jej odejść.

\* \* \*

Nieustający ruch i gwar, do którego przyzwyczailiśmy się w szpitalach, teraz nie istnieje. Nikt nie biega po korytarzach, odziane w zieleń pielęgniarki nie wślizgują się do sal, by zmierzyć poziom płynów w kroplówkach, podać posiłek albo poprawić pościel. Tylko od czasu do czasu słyszę czyjś krzyk lub piszczenie kół pchanego wózka dobiegające z innych sal i pomieszczeń.

W końcu udaje mi się postawić nogi na ziemi, w końcu podchodzę tam, gdzie ktoś rzucił moje ubranie.

Rękę nadal mam na temblaku, owiniętą szczelnie bandażami i przyciśniętą do torsu. Odnajduję zegarek, potem buty. Przeglądam pozostałe części garderoby. Spodnie nadają się do noszenia, ale przesiąkniętą krwią koszulę

i marynarkę muszę zostawić, więc zdany jestem na szpitalne ciuchy, przynajmniej dopóki nie dotrę do domu i nie przebiorę się.

Ale to już po wizycie u Marthy. Najpierw muszę się udać na Albin Street i zadać mojej klientce kilka pytań.

Doktor Fenton stoi przy recepcji w głębi korytarza, zapisuje coś pośpiesznie na jednym ze stosu dokumentów. Zerkam na mnie, gdy pełznę powoli w jej kierunku, lecz za moment znów skupia się na pisaniu.

- Zatem... - zagajam.

- Rozumiem - odpowiada. - Musisz już iść.

Z ambulatorium za jej plecami dobiega nieprzerwany jęk. W drugim ktoś powtarza w kółko:

- Tylko spokojnie, tylko spokojnie, tylko spokojnie.

- Powinieneś zostać u nas co najmniej dobę na obserwacji - informuje mnie doktor Fenton. - Powinieneś też przyjmować antybiotyki.

- Tak - mruczę, zerkając przez ramię na salę, którą właśnie opuściłem. - To mogę już iść?

- Powiedziałaś, że wymagasz leczenia antybiotykami - podkreśla, biorąc dokumenty i ruszając w swoją stronę. - Nie mówiłam, że je mamy.

\* \* \*

Houdini czeka przed głównym wejściem do lobby szpitala, jest jak goryl pilnujący chorego bossa. Gdy tylko wytaczam się z budynku na parking w tej jasnoniebieskiej szpitalnej

piżamie, potrząsa głową - przysięgam na Boga, że to robi -  
i razem ruszamy dalej.

## 2.

Mój zegarek wskazuje jedenastą piętnaście. Wiem, że to nie dwudziesta trzecia piętnaście, ponieważ słońce stoi wysoko na niebie, gdy w towarzystwie Houdiniego idę w kierunku północnych przedmieść Concord. Nie wiem tylko, jaki dzień mamy dzisiaj, naprawdę nie mam bladego pojęcia. Nie wiem, jak długo leżałem na wpół martwy w Forcie Riley, nie wiem, ile czasu spędziłem w łóżku na trzecim piętrze szpitala miejskiego, kiedy przetransportował mnie tam helikopter. Całymi latami wybudzałem się przecież z upojenia eterem i ponownie zapadałem w sen.

Idę w kierunku domu Marthy najszybciej, jak mogę, z martwą ręką na temblaku, z potem ciekącym po plecach, od którego szpitalna koszula lepi mi się do kręgosłupa. Rozglądam się czujnie, sprawdzając, jak zmieniło się miasto podczas mojej nieobecności, co przypomina przyglądanie się zagadkom z czasopism dla dzieci: porównaj te dwa rysunki, wskaż różnice. Kroczę wzdłuż Pleasant Street, potem skręcam w Rumford. Na ścianach widzę nowe graffiti. Samochody z pootwieranymi maskami, którym brakowało po jednym kole, teraz nie mają ich wcale, nie mówiąc o tym, że ktoś powybił szyby łomem. Niektóre jeszcze się palą, widzę gęsty czarny dym sączący się z silnika. Kolejne domy opuszczono, frontowe drzwi stoją otworem. Ze słupów telefonicznych zostały tylko pieńki.



Tydzień temu delikatesy Pirelli przy Wilde Street tętniły życiem, handlowano tam czym popadnie, było też kilku fryzjerów, którzy w pomieszczeniach na zapleczu strzygli i golili za co łaska. Teraz wejścia i witryny są zamknięte rozciąganymi kratami, a figurka Pirellego na chodniku została przyozdobiona pasem na amunicję. Przecina pierś figury, jakby przedstawiała jakiegoś bandito.

Houdini powarkuje, gdy tamtędy przechodzimy, wysuwa się przede mnie, mruży żółte ślepka. Słońce przypieka chodniki.

\* \* \*

- Martho? - pukam do drzwi lewą ręką, odczekuję chwilę, potem walę w nie znowu. - Jesteś tam, Martho?

Trawnik Cavatone'ów był jedynym regularnie koszonym, ale teraz upodabnia się do pozostałych, wkradają się na niego chwasty, źdźbła trawy sterczą niczym nieprzystrzyżone włosy. Krzywię się, czując niespodziewanie mocne pulsowanie w zranionej ręce.

Pukam raz jeszcze, czekając na szczęk odsuwanych kolejno rygla. Nic jednak nie słyszę, więc wołam:

- Hej, Martho!

Po drugiej stronie ulicy ktoś odsuwa firankę, dostrzegam za nią bladą twarz.

- Przepraszam - wołam. - Hej....

Firanka wraca na miejsce. Gdzieś w głębi ulicy szczeka pies. Houdini natychmiast odwraca łeppek w poszukiwaniu rywala.

Unoszę pięść, by załomotać raz jeszcze, ale drzwi stają nagle otworem i ktoś chwyta mnie mocno za nadgarstek. Jednym szybkim ruchem zostaję wciągnięty do środka, drzwi zatrzaszczają się za moimi plecami. Dyszę ciężko, przyparty do ściany, prawa ręka rozsyła po całym ciele spazmy bólu. Czuję gorący oddech przy twarzy. Kręcone włosy, masywna szczęka.

- Cześć, Cortez - rzucam.

- Cholera - mruczy dość pogodnym tonem, jego oczy także wyrażają radość. - Znam cię. - Cortez puszcza mój nadgarstek, cofa się o krok, obejmuje mnie jak dawno nie widzianego przyjaciela, którego miał odebrać z lotniska. - Pan policjant.

W prawej ręce wciąż trzyma przemysłowy zszywacz, ale na szczęście lufą do ziemi. Houdini został na ganku, szczęka więc jak oszalała. Muszę otworzyć drzwi i wpuścić go do domu.

- A ty skąd się tu wziąłeś? - pyta Cortez. - I dlaczego jesteś ubrany, jakbyś nawiał z czubkowa?

- Gdzie Martha?

- A niech to - rzuca, opadając na skórzany fotel Cavatone'ów. - Miałem nadzieję, że ty mi to powiesz.

- Nie ma jej w domu?

- Nie kłamie, panie policjancie.

Cortez przygląda się z rozbawieniem, jak przeszukuję mały domek, wszystkie szafy w salonie, jak otwieram garderoby w sypialniach, zaglądam pod łóżko w poszukiwaniu dowodów

obecności Marthy. Nic. Zniknęła, podobnie jak jej ubrania. Komody są puste, wieszaki dyndają po jej stronie szafy. Zniknął także pistolet Bretta, sig-sauer, który zostawił, by żona mogła się bronić, gdy on wyruszy w lasy bawić się w krzyżowca. W kuchni promienie słońca przesuwają się wolno po rozgrzanym stole, mosiężny czajnik stoi tam, gdzie powinien, na palniku kuchenki. Po Marcie nie ma jednak ani śladu, a moja sprawa zatacza pełne koło: znów mam do czynienia z zaginioną osobą, choć nie z tą co przedtem.

Wracam do salonu i gniewnie celuję palcem w Corteza.

- Wydawało mi się, że masz ją mieć na oku.

- Miałem - odpowiada, zszywacz przemysłowy spoczywa na jego udach jak śpiący kot. - I mam.

- Tak?

- Dobra, zawiodłem - przyznaje, spozierając teatralnie w sufit, jakby chciał zapytać Boga, czemu do tego dopuścił. - Zawaliłem na całej linii.

- Okay - mówię. - Okay. - Obmacuję kieszenie w poszukiwaniu brulionu, ale co zrozumiałe, nie mam go przy sobie. Nie mam nawet kieszeni, nie mówiąc o tym, że piszę wyłącznie prawą ręką, aktualnie nieczynną. - Opowiedz wszystko po kolei.

Nie muszę go ponownie zachęcać. Wstaje, gestykuluje żywo podczas mówienia:

- W sobotę wpadłem tutaj trzy razy. Trzy razy. - Prostuje palec wskazujący, środkowy i serdeczny, a opowiada takim

tonem, jakby to była jakaś biblijna przypowieść: „Po trzykroć wzywałem twoje imię, ale ty po trzykroć mnie odtrącałeś”.

Złodziej Cortez przyjechał z Garvins Falls na rowerze z przyczepką wyładowaną po brzegi zapasami dla Marthy, trzy razy obszedł dom, aby upewnić się, czy wszystko jest w porządku, sprawdził drzwi i okna, zlustrował teren. Rano, w południe i pod wieczór. Trzykrotnie upewnił się, że wszystko jest w porządku, tyle też razy paradował po ulicy z widoczną bronią, aby potencjalni włamywacze albo gwałciciele zrozumieli, że ta posesja jest dobrze strzeżona. W niedzielę to samo, dodaje Cortez, wizyta rano, w południe, wieczorem.

- Mówię jej: dam ci wszystko, czego będziesz potrzebowała.  
- Rozgląda się po salonie. - Chcesz muskularnego dżentelmana, który będzie siedział na tej sofie z kijem bejsbolowym w ręku, przyślę ci takiego. Chcesz, by ktoś siedział na ganku z wyrzutnią rakiet, i to załatwię.

Unoszę brew - w Office Depot, z tego, co wiem, nie sprzedawano wyrzutni rakiet. A Cortez szczyrzy zęby, gotów udzielić mi bardziej szczegółowych wyjaśnień, więc macham tylko ręką, by kontynuował. Nie mam nastroju na takie gadki.

- Ta kobieta nie była zainteresowana ochroną w domu, za to cała reszta jej pasowała - referuje. - Cieszyło ją, że tu zaglądamy. Tak jak ustaliłem z jej mężem.

- Okay. I co dalej?

- Wczoraj było normalnie, ale jak zjawiłem się tu dziś rano,

patrzę, a ona stoi na ganku i macha do mnie ręką.

- Stała na ganku?

- Tak, panie policjancie. Z walizką.

- Z walizką?

- Tak. Z walizką. I mówi do mnie: „Nie, dziękuję”. Jakbym był skautką sprzedającą ciasteczka. Pieprzonym Świadkiem Jehowy! - Naśladując kobiecy głos, powtarza: - Nie, dziękuję.

„Martho, o Martho, jakież to sekret kryjesz w sercu swoim?”

- Wyglądało to tak, jakby na kogoś czekała - dodaje Cortez, drapiąc się po brodzie. - Ale nie na mnie.

- Zaraz... - mówię. Próbuję wyobrazić sobie każdy szczegół, poukładać je w głowie. - Poczekaj.

- Co jest? - Cortez przygląda mi się uważniej. - Mam coś powtórzyć?

- Nie - odpowiadam. - Nie. Powiedz mi tylko... jaki mamy dzisiaj dzień?

- Wtorek. - Szczerzy zęby. - Wszystko w porządku?

- Tak. Nie wiedziałem tylko, jaki mamy dzisiaj dzień. Kontynuuj, proszę.

Cortez odpowiedział jej, że niespecjalnie ma tu coś do gadania, ponieważ zawarł umowę z jej mężem, a ona nie ma prawa jej unieważnić. Jeśli nie chce go widzieć, niech nie wyłazi z domu, a on lub jego przyjaciółka zostawią zapasy na progu i obejdą teren. Ale ona uparcie powtarza: „Nie, dziękuję”. Każe mu się zbierać i kiedy tak dyskutują, nagle ktoś przywała w łeb.

- Ten ktoś uderzył ją czy ciebie?
- Mnie. Przecież wyraźnie mówię.
- Czym?
- Sam chciałbym wiedzieć. Czymś twardym i płaskim. - Złodziej zawstydzony wbija wzrok w podłogę. - To był naprawdę mocny cios, straciłem przytomność. - Cofa się o krok, rozkłada ręce i spogląda na mnie, jakby chciał powiedzieć: „Tak, wiem, to brzmi nieprawdopodobnie, ale tak właśnie było”. - Nie wiem, ile tak leżałem, choć chyba nie za długo. A kiedy się ocknąłem, jej już nie było. Wszedłem więc do domu i przetrząsałem wszystko ze trzy razy. Ale dom wyglądał jak teraz. Ona zniknęła.
- Cholera - mruczę.
- Tak - popiera mnie zwięźle Cortez, a potem przedrzeźnia mnie, lecz z całkiem poważną miną: - Cholera.
- A co robisz tutaj teraz?
- Czekam na nią. Mój przyjaciel, pan Wells, szuka jej, a ja czekam, czasami zaginione osoby po prostu wracają do domu. Ellen tymczasem zajmuje się interesami. Słuchaj, wisi mi, czy ta babka chce być znaleziona czy nie. Musimy ją odszukać. Jeśli ten gliniarz wróci i zobaczy, że jej nie ma, będę skończony.
- Ta umowa, jak przypuszczam, została unieważniona - oznajmiam.
- Co? Znaczy... on nie żyje? - Cortez nie wygląda na zasmuconego tą wieścią. - Kto go zabił?
- Pracuję nad tym.

Spogląda na mnie, przechyliwszy głowę.

- Dlaczego?

- Tego jeszcze nie wiem. Ale dowiem się, gdy znajdę sprawcę.

- Nie chodziło mi o to, dlaczego go zabito. Pytam, dlaczego ty się tym dalej zajmujesz.

Robię kolejny obchód niewielkiego domu, Houdini trzyma się mnie jak uwiązany. Oglądam zamki w oknach, szukam odcisków palców, stóp, czegokolwiek. Czy ktoś ją do tego zmusił czy z własnej woli wymknęła się spod opieki faceta opłaconego przez Bretta? Czy ją porwano? Walizka mogłaby świadczyć o tym, że na kogoś czekała, na przykład na tajemniczego pana N. Ale on przecież nie żyje...

Gapię się przez dłuższą chwilę w opróżnioną szafę Marthy Milano, potem wracam na dół i zastaję Corteza rozciągniętego na leżance. Dzierży papierosa niczym berło.

- Powiadam ci, ta cała sprawa to zły znak - rzuca. - Żebym zgubił trop osoby, którą miałem się zaopiekować? To kurewsko zły znak.

- Dla kogo?

- Szlag, przecież wiesz. Dla ludzkości. Dla całego rodzaju ludzkiego.

\* \* \*

Po wyjściu na zewnątrz spoglądam w stronę słońca. Miasto jest bardziej rozpalone niż jeszcze tydzień temu, a w powietrzu daje się wychwycić charakterystyczną woń -

odór ścieków płynących z prądem rzeki, śmieci wyrzucanych przez okna prosto na ulicę. Smród potu i strachu. Powinienem wrócić do domu i przebrać się, sprawdzić, czy nie włamano się, gdy przebywałem poza miastem. Upewnić się, że nie ukradziono niczego ze zgromadzonych tam zapasów, które musiałem zostawić.

- Naprawdę powinniśmy tam iść - mówię do Houdiniego. - Musimy wrócić do domu.

Nie robimy tego jednak. Wracamy tam, skąd przyszedliśmy, tą samą drogą, wzdłuż Albin, Rumford na Pleasant Street.

Nieliczni przechodnie, których napotykamy, poruszają się szybko, unikając nawet kontaktu wzrokowego. Gdy zbliżamy się do Langley Boulevard, widzę faceta w wiatrówce: zasuwa ze zwieszoną głową, niosąc pod pachami dwie całe szynki. Potem pojawia się kobieta popychająca wózek, w którym zamiast dziecka ma gigantyczną butlę wody Deer Park.

Nagle dociera do mnie, że od momentu powrotu do Concord nie widziałem do tej pory śladu radiowozu, nie mówiąc już o obecności funkcjonariuszy. Uświadomienie sobie tego nie wiedzieć czemu napawa mnie przerażeniem.

Zmęczyło mnie to chodzenie, zraniona ręka kołysze się u boku, bezużyteczna, czuję się przez nią, jakbym musiał dźwigać dziesięciofuntowy odważnik, aby komuś coś udowodnić albo wygrać jakiś durny konkurs.

\* \* \*



Znajduję doktor Fenton tam, gdzie ją zostawiłem. Przedziera się przez papierkową robotę wsparta o kontuar stanowiska pielęgniarek. Oczy jej błyszczą za okrągłymi okularami.

- Hej - zagajam, ale w tym momencie inny lekarz, niski, łysy, o zamglonym spojrzeniu, zatrzymuje się i wrzeszczy:

- Czy to pieprzony pies?! Tu nie wolno wprowadzać tych pieprzonych psów!

- Przepraszam - bąkam.

- Zamknij się, Gordon - wtrąca Fenton. - Ten pies jest czystszy od ciebie.

- Cha, cha. Bardzo śmieszne, ty pieprzona jędo - odwarkuje i znika w sąsiednim pomieszczeniu, zatraskując z hukiem drzwi.

Fenton zwraca się do mnie:

- Co się stało, detektywie Palace? Został pan ponownie postrzelony?

\* \* \*

Schodzimy nieoświetlonymi schodami do kafeterii na zatłoczonym parterze: brudne ceraty na stołach, tylko kilka krzeseł, wielki kubeł wypełniony wymieszanymi sztucami, pudła torebek herbaty z supermarketu i rząd czajników ustawionych na kuchenkach turystycznych. Doktor Fenton i ja zaparzamy sobie herbatę, wynosimy ją do lobby i siadamy w miękkich fotelach.

- Kiedy przestała pani pracować w kostnicy?

- Dwa tygodnie temu - odpowiada. - Może trzy. W każdym razie jeszcze w zeszłym miesiącu. Przeszliśmy nam wtedy zlecać kolejne autopsje. Nikt ich już nie potrzebował. Przygotowywaliśmy jedynie ciała do pogrzebów.

- Ale była pani tam, na dole, w Dzień Niepodległości?

- Tak.

Drzwi frontowe otwierają się z hukiem i do środka wkracza mężczyzna niosący na rękach kobietę, jakby byli nowożeńcami, tyle że ona krwawi obficie z pociętych nadgarstków, a on wrzeszczy:

- Boże, ty idiotko, ty durna babo, jakaś ty głupia!

Otwiera kopnięciem drzwi na klatkę schodową, nie przestając wyzywać żony, co słyszymy, nawet gdy drzwi się za nimi zamykają. Fenton podnosi okulary, przeciera oczy, spogląda na mnie wyczekująco.

- Chciałbym zidentyfikować denata, którego przywieziono tamtej nocy.

- Czwartego lipca? - pyta. - Zapomnij.

- Dlaczego?

- Dlaczego? Zwieźli nam tutaj ze trzy tuziny ofiar. Może nawet czterdzieści ciał. Zrzucili je na kupę, jak drwa na opał.

- Aha.

Na kupę, jak drwa na opał. Mój sąsiad, pan Maron, ten od odstojnika, zginął tamtej nocy.

- A my nie mogliśmy nawet dobrze ich przebadać. Zero zdjęć, zero notatek. Tylko pakowanie do worków i oznaczanie.

- Pani doktor, ten, kogo szukam, powinien się wyróżniać.  
- Raczej ty się wyróżniasz, przyjacielu - rzuca, upiwszy herbaty z wyraźną odrazą.  
- Trzydziestoletni facet ze złotymi zębami. Miał śmieszne tatuaże.

- Co znaczy: śmieszne?

- Tego nie wiem. Po prostu dziwne.

Spogląda na mnie skonsternowana, a ja sam już nie wiem, jak te tatuaże miałyby wyglądać: gumowe kurczaki, Marsjanin Marvin?

- Gdzie miał te tatuaże? - pyta Fenton.

- Tego też nie wiem.

- A znasz chociaż przyczynę śmierci?

- Czy oni wszyscy nie zostali... zastrzeleni?

- Nie, Hank... - Te słowa ociekają sarkazmem, ale nagle Fenton urywa, pokorniej i dodaje całkiem spokojnym tonem: - Nie.

Zdejmuje okulary, spogląda na dłonie, a ja na wszelki wypadek, gdyby to była forma wyrażania przez nią żalu, odwracam wzrok, próbując znaleźć w mrocznym holu coś, na czym mogę skupić uwagę.

- Jak już wspomniałam - odzywa się nagle charakterystycznym dla niej ostrym tonem - odpowiedź brzmi: nie.

- Nie było nikogo pasującego do tego opisu? Nie pamięta pani?

- To drugie. Jestem niemal pewna, że nie widziałam ciała

pasującego do tego opisu.

- Niemal, czyli na ile procent?

Doktor Fenton musi to sobie przemyśleć. Ja natomiast się zastanawiam, co porabia na górze desperat z żoną samobójczynią, jeżeli trafił na doktora Gordona.

- Tak na osiemdziesiąt - słyszę odpowiedź.

- Czy jest możliwe, by ofiara tych zamieszek trafiła do szpitala New Hampshire?

- Nie - stwierdza kategorycznie. - Był wtedy zamknięty. Chyba że ktoś zawiózł tam ciało, ponieważ o tym nie wiedział, i porzucił je potem na podjeździe. Podejrzewam.... - przerywa, by odchrząknąć. - Podejrzewam, że pozbyto się w ten sposób części ciała.

- Tak - potwierdzam bezwiednie.

Wstaje. Czas wracać do roboty.

- Jak tam ręka?

- Jako tako. - Ściskam biceps palcami lewej ręki, leciuteńko.

- Naprawdę niewiele czuję.

- Tak powinno być - zapewnia mnie.

Wracamy na schody. Odstawiam na wpół opróżniony kubek na podłogę, obok przepełnionego kosza na śmieci.

- Przez kilka tygodni krążenie będzie się stopniowo poprawiało, więc często będziesz czuł uporczywe mrowienie, ale potem zostanie już tylko rehabilitacja, aby przywrócić ręce pełną sprawność. I właśnie wtedy, gdzieś na początku października, w Ziemię uderzy wielka asteroida i umrzesz.

### 3.

- Poszedłem tam w piątek wieczorem, jakieś dwie godziny po tym, jak wyjechałeś, ten plac zabaw to prawdziwa ziemia niczyja, powiadam ci. Wiesz, że poniszczyli nawet huśtawki? Zostały tylko kołyszące się na wietrze łańcuchy. Ogrodzenia praktycznie już nie ma, a ten, jak go nazywają, małpi gaj leżał przewrócony. Pomyślałem, że chyba trafiłem nie tam, gdzie trzeba.

- Ale to była podstawówka przy Quincy? - upewniam się.

- Tak - odpowiada detektyw Culverson. - Przy Quincy. Boisko za szkołą.

- Zgadza się.

Knajpka, nasza loża, mój stary przyjaciel z niezapalonym cygarem wlewa miód do herbaty i opowiada mi, jak było. W miejscu, które zwykł zajmować McGully, widać na winylu dwa wgniecenia.

- Włazę tam jak ten dureń z mieczem samurajskim w garści. Tak na marginesie, nie pytaj nawet, jak udało mi się go zdobyć. Stoję tam więc i myślę: Okay, wygląda na to, że nieletni kumple Hanka znaleźli sobie nową metę. I w tym momencie zauważam ulotkę: „Jeśli jesteś rodzicem...”. Czujesz to? Wygląda na to, że ich stamtąd zgarnięto.

Oddycham z ulgą. To dobra wiadomość. Chyba najlepsze rozwiązanie dla Alyssy i Micaha Rose'ów. Autobus łaski zabrał ich gdzieś pod dach, gdzie trzy razy dziennie

otrzymają posiłek, możliwość zabawy i modlitwy. Ruth-Ann siedzi na stołku przy kasie. Ma karafkę z wrzątkiem, długopis wetknięty za ucho, a notesik, w którym zapisuje zamówienia, tkwi w przedniej kieszeni fartucha. Culverson ma na sobie tylko podkoszulek, poszarzały już, z pożółkłymi plamami w okolicach pach. Rozebrał się, by pożyczyć mi koszulę, która w pasie jest potwornie szeroka, a w kołnierzu jeszcze bardziej.

- To byli katolicy?

Potrząsa głową.

- Stowarzyszenie Chrześcijańskiej Nauki.

- No tak - mruczę.

Zaczynam bębnić palcami zdrowej ręki po blacie. Teraz, gdy już wiem, że moim dzieciakom nic nie grozi, że nie ucierpiały przez moją kilkudniową nieobecność, jestem gotów iść dalej, skupić się ponownie na swojej sprawie. Przywlokłem się tutaj, by korzystając z pory lunchu, wypytać Culversona, co on o tym sądzi. Dlatego mówię mu o wszystkim, co dotyczy sprawy zaginięcia, które teraz jest morderstwem.

- Potem poszedłem pod adres wskazany na ulotce. Warren i Green. Nie opisałeś mi tych dzieciaków, więc po prostu podałem ich nazwiska.

- Jak one się mają? - pytam. - Są tam szczęśliwe?

- I w tym problem - rzuca Culverson. - Nie było ich na liście.

- Co? - Moje palce zastygają. - Nie było ich?

- Nie. Zwieźli masę dzieciaków. Znalazłem jednego

nazwiskiem Blackwell.

- Stone - poprawiam go. - Andy Blackstone.

- Tak. Zabawny szczył. On mi powiedział, że ci twoi... - Culverson przegląda notatki, ma taki notes, jakich używaliśmy podczas prawdziwych dochodzeń. Mogę się założyć, że zabrał go z magazynu komendy, zanim zostaliśmy wywaleni na zbity pysk. - Twierdził, że przywieziono ich tam, ale ulotnili się przed apelem.

- Aha.

- Tyle tylko zdołałem się dowiedzieć.

- Aha - powtarzam, wbijając wzrok w brudne linoleum na podłodze.

Nie mogę uwierzyć, że ich straciłem. Byłem przecież odpowiedzialny za te dzieciaki, z własnej nieprzymuszonej woli, ale to przecież nic nie zmienia w tej sytuacji. Potraktowałem je jednak jak przedmioty, jak akta, które można przekazać koledze, gdy ma się zbyt wiele na głowie. Wybrałem prowadzenie sprawy zaginionego męża Marthy Milano, a przecież każdy kolejny wybór determinuje następny, każdy krok naprzód sprawia, że umierają tysiące możliwych rzeczywistości.

Myślę o tamtych poniszczonych łodziach i tratwach, które widziałem z okna blokhauzu; o ludziach tonących, martwych.

- Detektywie Palace? - odzywa się Culverson. - Twoja kolej. Opowiedz o swoim dochodzeniu.

Kiwam głową, odrywam wzrok od podłogi, nabieram tchu. Po to spotkaliśmy się tutaj. Po to tutaj przyszedłem.

Streszczam się, przedstawiając tylko najważniejsze fakty: Julia Stone z UNH, Brett Cavatone w Forcie Riley. Postrzelenie, pomarańczowy liść ze stroju maskującego, kartka z pamiętnika. Detektyw Culverson przerywa mi, dopiero gdy docieram do tajemniczego pana N.

- Czekał - mówi. - Zwolnij troszkę. - Oczyszcza krtań, wygląda na zamysłonego. - Masz kobietę, która prosi cię o pomoc. Jej mąż poszedł w rejs, a ona chce by wrócił.

- Tak.

- Znajdujesz męża, który zaraz potem zostaje zastrzelony.

- Tak. Przez kogoś, kto doskonale umie strzelać.

- Przez żołnierza?

- Możliwe. Choć pewności nie mam. To po prostu dobry strzelec.

- Okay. Potem wracasz do Concord - konkluduje Culverson.

- Jak ci się udało tutaj dotrzeć?

- Przywieziono mnie helikopterem, ale to temat na zupełnie inną... - Potrząsam głową. - Pomińmy ten epizod. Idźmy dalej. Wróciłem, poszedłem następnego ranka do domu Marthy, ale jej już tam nie było.

- Nie wiesz, gdzie mogła pójść?

- Nie. Tak. Mam pewną teorię.

Culverson unosi brew, obraca w palcach cygaro.

- Dobra, nawijaj.

- Martha zdradzała Bretta z facetem, którego na własny użytek nazywała N.

- Zgadza się.



- N. został zabity czwartego lipca, a w każdym razie Martha tak uważała. Napisała o jego śmierci w sekretnym pamiętniku, ale Brett go znalazł, po czym uznał, że jego małżeństwo jest skończone i ma pełne prawo wyruszyć.

- Na misję.

- Na krucjatę.

- Na krucjatę.

- Odchodzi. Martha gubi się, jest wściekła. Prosi mnie, bym go odnalazł, ale kiedy ja odwalam brudną robotę, jej kochanek powstaje z martwych. Łączą się ponownie, dają Cortezowi po łbie łopata i wspólnie opuszczają miasto.

- Na grzbiecie smoka - dodaje Culverson.

- Kpisz ze mnie.

- Odrobinę.

Culverson uśmiecha się jeszcze szerzej, po czym dopija herbatę. W ciszy przywołuję z pamięci wizerunki Alyssy i Micaha. Gdzie mogli pójść? Gdzie jest Martha? Gdzie jest moja siostra?

Strasznie tutaj cicho, niepokojąco cicho. Z kuchni nie dobiegają dźwięki radia jak wcześniej, gdy kucharz, Maurice, podśpiewywał do rytmów nadawanych przez Planet Waves. Nie słyszę brzęku sztućców i stłumionego murmuranda konwersacji przy sąsiednich stolikach, nawet wentylatory nie pomrukują uspokajająco pod sufitem. W końcu dociera do mnie, że instytucja, jaką jest Somerset, właśnie chyli się ku upadkowi, nie tylko ona, ale też wszystko, co ją otacza: młody Palace streszczający przebieg dochodzenia bardziej

doświadczonemu Culversonowi, który szuka dziur w moim rozumowaniu. To już koniec. Wszyscy stoicko robimy co możemy w sprawie, która z góry jest skazana na porażkę.

- Zastanawia mnie ta kartka z pamiętnika - mówi Culverson. - Jesteś pewien, że to autentyk?

- Tak... - Milknę na moment. Spoglądam mu w oczy. - Nie. Pewności nie mam.

- Chodzi mi o charakter pisma - uściśla. - Jesteś pewien, że to ona napisała?

- Nie - odpowiadam. - Tak, u licha.

Przymykam oczy, przypominam sobie równe litery na pachnącym cynamonem papierze. NIE ŻYJE, N. NIE ŻYJE, NAPRAWDĘ NIE ŻYJE. Próbuję porównać je do tych, które widziałem w łazience Marthy nad lustrem, w cytacie ze świętej Katarzyny: JEŚLI JESTEŚ TYM, KIM POWINIENES BYĆ... Nie mam jednak całkowitej pewności, a dokładniej porównać nie mogę, ponieważ nie mam już tej różowej kartki. Leży na podłodze w blokhauzie albo tonie w błocie Fortu Riley, albo niesiona wiatrem lata nad oceanem jak ptak.

- Nie zastanawiałem się nad tym - przyznaję zawstydzony, że mogłem przeoczyć coś tak oczywistego.

- Nie szkodzi - pociesza mnie Culverson, pokazując Ruth-Ann dwa palce, co znaczy, że prosi jeszcze o wrzątek.

Nie, to nie jest w porządku. Zabawiam się przesuwaniem prawie pustych pojemników na keczup, musztardę i sól. Pomiedzy nimi spoczywa plastikowy czajnik, na jego dnie jest

może z ćwierć cała parującej wciąż wody. Ciemno i ponuro się zrobiło ostatnimi czasy w naszej ulubionej knajpie, teraz światło wpada jedynie przez przykurzone witryny. Taka prosta sprawa. Taka oczywista. Charakter pisma.

- Nie muszę chyba dodawać - rzuca Culverson - że ciągnięcie tego dochodzenia nie ma najmniejszego sensu. Nawet jeśli znajdziesz zabójcę, nikt go nie aresztuje, a ty nie dostaniesz awansu. Właśnie zamknięto biuro prokuratora generalnego. W jego siedzibie mieszkają teraz szopy pracze, poważnie.

- Tak - odpowiadam. - Obiło mi się o uszy.

- Co zamierzasz zrobić, jeśli twoja dawna opiekunka faktycznie została uprowadzona? Pójść jej z odsieczą z tym małym pistolecikiem, który skołowała ci McConnell?

- Nie. - Drapię się po głowie. - Prawdę powiedziawszy, gdzieś mi się zapodział.

Culverson przygląda mi się może przez sekundę, a potem wybucha gromkim śmiechem, więc i ja zaczynam rechotać. Trwa to dłuższą chwilę, Houdini przygląda mi się podejrzliwie z legowiska pod stołem. Ruth-Ann podchodzi, by dolać nam gorącej wody - tylko to jej zostało: wrzątek, co także wydaje nam się z jakiegoś powodu zabawne. Pękam więc dosłownie ze śmiechu, waląc dłonią w blat, aż wszystkie te pojemniki podskakują, tańczą po nim, jakby ożyły.

- Wiecie, chłopcy, że macie coś nie tak z głowami? - pyta Ruth-Ann.

Spuszczamy wzrok, potem znów spoglądamy na nią.

Koszula Culversona wygląda na moim szczupłym ciele jak zbyt obszerna peleryna. Jemu z kolei spod kusego podkoszulka wystają kępiki długich siwych włosów. Znów wybuchamy śmiechem, tym razem rechotem komentujemy własny wygląd, ale moment później mój przyjaciel przypomina sobie, co chciał mi powiedzieć o swoim znajomym Sierzancie Piorunie, tym prezenterze pogody, który siedział na ganku od szóstej rano, czekając na transport, którym miał dotrzeć do obiecanego Świata Przyszłości.

- Wiem, że ten durny sukinsyn przylezie do mnie wieczorem - dodaje - żeby pożyczyć miarkę byle czego.

Ta uwaga znów nas rozbawia do łez, chichoczymy jak dzieci. Ruth-Ann kręci głową za ladą, a potem wraca do wertowania „Monitora”, tego samego numeru, który wszyscy czytamy w kółko od ponad miesiąca.

- Dobra - mówię w końcu Culversonowi, wycierając wierzchem zdrowej dłoni ostatnie łzy z kącików oczu. - Idę.

- Do domu?

- Jeszcze nie. Wpadł mi do głowy pomysł dotyczący Marthy. Chciałbym go najpierw sprawdzić.

- Jakżeby inaczej.

Uśmiecham się.

- Opowiem ci o wszystkim.

Houdini wstaje razem ze mną, rozgląda się po kątach, a potem zamiera z przechylonym łebkiem.

- Czekaj - rzuca Culverson. - Chwila. Siadaj. Chcesz go

zobaczyć?

- Kogo?

- Ten miecz samurajski.

Siadam. Pies też siada.

- Mówiłeś, żebym o niego nie pytał.

- Wiesz, jak jest. Ludzie mówią różne rzeczy.

Wyciąga go spod stołu naprawdę powoli, prawdziwa klinga  
lśni w bladym świetle.

- Cholera.

- Wiedziałem.

- Przecież ci mówiłem, że to ma być zabawka.

- Nie mogłem znaleźć podobnej zabawki. - Odciąga  
przepony podkoszulek od klatki piersiowej. - Słuchaj,  
młody. Ty rozwiąż swoją sprawę, a ja zajmę się szukaniem  
dzieciaków.

Chciałbym ukryć zadowolenie z tej propozycji, lecz nie  
umiem. Przygryzam wargę, próbuję przybrać oschły  
sarkastyczny ton, którego uczyłem się od lat od detektywa  
Culversona.

- Przed chwilą, zdaje się, stwierdziłeś, że nie ma sensu  
zajmować się tą sprawą.

- Tak - odpowiada, wstając i unosząc miecz. - Wiem, co  
powiedziałem.

## 4.

- Nie ma mowy - rzuca Jordan, odrażający przyjaciel mojej siostry, gapiąc się na mnie zza drzwi sklepu odzieżowego. - Jaja sobie chyba ze mnie robisz.

Ma na sobie dżinsowe szorty i ray-bany, nie nosi koszuli ani butów. Włosy jak zwykle są skołtunione. Za nim na podłodze sklepu leży w śpiworze jakaś blondynka, śpi mocno, przytulając policzek do własnej ręki.

- Co ty tutaj właściwie robisz? - pytam, zerkając nad jego ramieniem na wnętrze sklepu, na wory wypchane wełnianymi skarpetami i zimowymi czapkami.

- Co ja tutaj robię? - powtarza, kładąc dłoń na obnażonej klatce piersiowej. - *Esta es mi casa, señor*. A co ty tutaj robisz? - Przygląda się przydużej koszuli Culversona. - Przyszedłeś po jakieś ciuchy?

- Nico mi powiedziała, że wszyscy wybieracie się gdzieś na Środkowy Wschód. - Nie ośmielam się dodać: „by przejąć tamtą ekipę”. Wydaje mi się to zbyt głupie. - Aby realizować dalszą część planu.

Stoimy w progu sklepu, za plecami mam opustoszałą Wilson Avenue.

- Tego typu plany bez przerwy ulegają modyfikacjom. - Jordan odrywa stopę od podłogi, by podrapać się nią po łydce. - Zmienili mi przydział. Teraz jestem w drużynie broniącej fortu.

Blondyna mruczy przez sen, przeciąga się, obraca na drugi bok. Jordan zauważa, że ją obserwuję, i szczerzy się jak wilk.

- Potrzebujesz czegoś?

- Tak - potwierdzam.

Mijam go, wchodzę do sklepu, na co on reaguje ostrzegawczym syknięciem.

- Hej, facet, to jest typowe wtargnięcie. Nie zmuszaj mnie, bym wezwał policję.

Znam ten ton, to przecież jedna z ulubionych zagrywek Nico, w taki sam sposób odezwała się do mnie na UNH, gdy zapytałem, co ma w torbie: broń, syrop klonowy, ludzkie czaszki.

Jordan zatrzymuje się przy jednym z regałów i naciąga przez głowę żółtą koszulkę. Wewnątrz sklepu cuchnie, chyba pleśnią. Spoglądam na zebrane w kącie manekiny, część z nich jest ubrana, część nie, jedne unoszą ręce w geście pozdrowienia, inne gapią się w zakurzone kąty. Dwa ustawiono tak, by wyglądały, jakby ścisnęły sobie dłonie. Jakby jeden witał drugiego na spotkaniu rady nadzorczej.

- Jordan - zaczynam - czy to możliwe, że...

- Tak?

Przeciąga to słowo, mizdrząc się przy tym jak służący lokaj. Koszulka, którą wybrał, jest ozdobiona wizerunkiem Super Maria, wąsatego gościa z wodogłowiem, parodii superbohatera. Jeśli coś pomyliłem albo wyobraziłem sobie to, co Nico niby mówiła do mnie w helikopterze, wyjdę na durnia, jestem tego świadomy. Z drugiej strony ten facet ma

mnie już za głupka: nie podoba mu się moja estetyka, postawa, a nawet samo istnienie.

- Czy to możliwe, abyście mieli jeszcze czynne łącza internetowe?

- Owszem, mamy - odpowiada bez wahania, szczerząc się dumnie. - A co? Chcesz może sprawdzić skrzynkę mailową?

- Nie - odpowiadam i w głębi duszy czuję uniesienie, nagle bowiem widzę przed sobą bezmiar nowych możliwości. - Nie, ale chciałbym skorzystać z wyszukiwarki.

\* \* \*

Mijamy na palcach Śpiącą Królową, aby dotrzeć do drzwi z tabliczką KIEROWNIK, gdzie Jordan każe mi stać przez chwilę ze wzrokiem wbitym w podłogę, gdy on wprowadza kombinację do zamka szyfrowego, abyśmy mogli wejść. Jest tam, pomiędzy trzyszufladową szafką na akta a wyłączoną od dawna, pozbawioną drzwiczek lodówką stoi na biurku z płyty i szkła wielki paskudny Dell, jego obudowa wygląda na antyczną, ale Jordan, siadając za biurkiem na obrotowym krześle, uśmiecha się krzywo, zauważywszy moje sceptyczne spojrzenie.

- Ech, wy, ludzie małej wiary - rzuca, pochylając się, by nacisnąć klawisz zasilania. - Naprawdę myślałeś, że szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego pracuje offline? Albo jego wysokość pan prezydent?

- Nie powiem, żebym się nad tym specjalnie zastanawiał - przyznałem.



- Może powinienes – stwierdza, obracając się na krześle, by puścić do mnie oczko. – Słyszałeś o siprze?

- Nie.

- Nie? – Przeliterowuje: – S-I-P-R. Nadal nie kumasz?

- Nie.

- A o niprze?

- Nie.

Kręci głową, chichocząc.

- Boże. Niesamowite. Ale Google obilo ci się o uszy, co? Zaczyna się na G.

Ignoruję ten przytyk, zerkając z nadzieją na ekran, choć czuję się, jakbym był obiektem jakiegoś wysublimowanego żartu. Szczerze powiedziawszy, gdy czekam tak całą wieczność, aż wiekowy monitor ożyje, nachodzi mnie myśl, że to wszystko jest jakimś żartem, że cały ostatni rok historii ludzkości to kawał, który zrobiono mnie, Hankowi Palace'owi, i że lada moment cały świat wyskoczy z ukrycia tutaj, w tym ciasnym biurze kierownika sklepu, zaśmiewając się i rycząc: „Niespodzianka!”. Światła znów zapłoną i wszystko wróci do normy.

- Daj spokój, Scott – mruczy rozdrażniony Jordan, wyrywając mnie z tej pięknej wizji. Gapi się we wciąż martwy ekran, bębniąc palcami po udzie.

- Coś nie tak?

- To ten pojeb z Toledo, który nigdy nie odpala sprzętu wtedy, gdy powinien.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Może dlatego, że dysponujesz tylko ograniczonym umysłem policjanta.

Znowu zaczyna, lecz nie daję się złapać na tę przynętę, nie reaguję, czekam, by dostać to, czego mi trzeba.

- Internet nie jest jakimś jednym wielkim cudactwem latającym po niebie. To masa różnych sieci, a ludzie nie mogą się do nich teraz dostać, bo sprzęt, który ich tam wpuszcza, wymaga ogromnych ilości energii. Dlatego zbudowaliśmy sobie własne sieci. Ja zdobyłem ten złom, trzy czynne linie stacjonarne, modem 12.8 oraz zbiornik benzyny wart dzisiaj fortunę, dzięki czemu mogę się połączyć ze znajomym mieszkającym w Pittsburghu, a on może mnie połączyć z Toledo i tak dalej, praktycznie w nieskończoność. Stworzyliśmy coś w rodzaju oldskulowej wielokątowej sieci. Wiesz, czym jest sieć wielokątowa? Czekaj, niech zgadnę.

Wydmuchuje balon z gumy do żucia, przebija go zaraz brudnym paluchem. To niesamowite. Mam przed sobą faceta o mentalności siedmiolatka, którego ktoś postawił u steru potężnej międzynarodowej konspiracji.

- Wszystkie te sajty są rzecz jasna mirrorami, więc kupa danych ginie bezpowrotnie albo jest uszkodzana, ale to nadal coś, nie?

- Zaimponowałbyś mi o wiele bardziej, gdybyśmy nie gapili się wciąż w pusty monitor - rzucam.

W chwili gdy to mówię, dostrzegam na antycznym ekranie logo Windows 98, ledwie widoczne, przypominające rysunek naskalny.

- O! - mruczy Jordan, pochylając się mocniej. - No i co ty na to?

Słyszę znajome dźwięki, najpierw syczenie, potem kliknięcie i następujący po nim pisk, kiedy modem nawiązuje połączenie. W zranionej ręce zaczynam odczuwać mrowienie, sięgam więc dwoma palcami do przestzelonego bicepsa i zaczynam go masować. Jordan w tym czasie wybiera z menu opcję „start” i na czarnym ekranie pojawia się migający kursor. Rozciąga stawy dłoni, ostentacyjnie, jak maestro przed koncertem, ja natomiast skupiam całą uwagę na tych trzaskach i piskach. Nagle trafiam w wir prowadzonej sprawy, muszę zdecydować, jakiej informacji potrzebuję najbardziej, czego powinienem szukać. Jordan jednak nie wykazuje chęci ustąpienia mi miejsca.

- Powiesz mi, czego mam szukać, a ja ci to znajdę.

- Nie - odpowiadam. - Na pewno nie.

- Okay, w takim razie pozostaje ci opcja zero, czyli spierdalenie stąd w podskokach. - Szczerzy się do mnie. - Tak to tutaj działa, nie możesz po prostu wpisać, czego chcesz. Muszę wprowadzić osobny kod dla każdego wyszukiwania.

- Dobrze, już dobrze.

- I tak instruktażowo: im trywialniejszej informacji szukasz, tym mniejsze jest prawdopodobieństwo, że znajdziesz ją na naszym serwerze. Ale jak pewnie już wiesz, definicja słowa „trywialny” ma dla nas całkiem inne znaczenie.

Zza naszych pleców dobiegają jakieś szmery, więc Jordan

woła:

- Abigail? Nie śpisz już?

- Nie - odkrzykuje dziewczyna. - I wcale mnie to nie cieszy.

- Możemy zaczynać? - pytam. Jordan prosi, żebym odpalał, więc odpalam: - Wyszukaj coś, co się nazywa NROS.

- Narodowy Rejestr Osób Skazanych - mamrocze Jordan, wciskając klawisze.

- Skąd wiesz, o czym mowa?

- Ja wiem wszystko, nie zauważyłeś? - rzuca, jego palce wciąż tańczą po klawiaturze. - Nie chcesz przypadkiem uzyskać dostępu do Pentagonu?

- Nie.

- Szkoda.

Podaję mu szczegóły. Rocky Milano. Biały mężczyzna, przedział wiekowy: czterdzieści pięć do sześćdziesięciu lat. Brak znanych pseudonimów.

Wpisuje. Czeka. Połączenie jest bardzo wolne, widzę przepływające strumienie danych, ekran co chwilę robi się zielony. Nie ma na nim ani jednej znajomej ikonki ludzko-komputerowego interfejsu: ani obracającej się klepsydry, ani tych wirujących lśniących kręgów. W końcu Jordan skupia wzrok na monitorze, wzrusza ramionami, potem odwraca się do mnie:

- Nic.

- Co znaczy, nic? Wyszukiwarka nie działa?

- Działa. Wszedłem do bazy, ale nie ma w niej listy skazanych.

- Czy jest możliwe, że nie uzyskałeś dostępu do całości?  
- Do całej bazy danych?  
- Tak. To coś musi być niekompletne. Jak to nazwałeś?  
- Mirror - przypomina. - Niekompletny mirror oryginalnych archiwów.

- Tak. Czy to możliwe?  
- Jasne - stwierdza. - Nawet bardzo. Wręcz prawdopodobne, szczerze mówiąc.

Mam kwaśną minę. Można było się tego spodziewać. Nie ma nic pewnego. Nie ma całości. Proszę Jordana, by opuścił stronę FBI i poszukał w sieci nazwiska Rocky'ego. Bez efektu przekopujemy się przez setki trafień odnoszących się do naszego celu i do dziesiątek ludzi o tym samym imieniu i nazwisku.

- Powiedz no, koleś, czego ty właściwie szukasz? - odzywa się w końcu Jordan.

Nie odpowiadam. Czego ja właściwie szukam? Tego samego, czego szukałem jako nastolatek, gdy wszyscy wokół wiedzieli, że ojciec Marthy jest zbrodniarzem. Że wdał się w bójkę za monopolowym i zabił jakiegoś faceta gołymi rękami. Szukam jakiegoś dowodu, który potwierdziłby mocno naciąganą tezę, że Rocky Milano miał paskudny charakter, lecz znał się także na karabinach snajperskich i mógł zastrzelić z zimną krwią zięcia, aby go nie wydał władzom za łamanie Ustawy o działaniach stabilizacyjnych i zapewnieniu bezpieczeństwa w okresie przed zderzeniem, co skończyłoby się spędzeniem reszty krótkiego życia w więzieniu.

- Oki doki, kochany - rzuca Jordan, obracając się na krześle.  
- Czas minął.

- Daj mi jeszcze pięć sekund, proszę.

Przewraca oczami, zaczyna liczyć.

- Raz...

Kręcę się po tym ciasnym kantorku za jego plecami, próbując wymyślić, jak posunąć się krok dalej, w czym nie pomaga mi poczucie zawodu i irytacja z powodu tego... tej klęski. Właśnie mi uzmysłowiono, że nie ma już sposobu na sprawdzenie każdej informacji. Era potwornej niewiedzy już trwa, choć powinna się zacząć w momencie, gdy Maja uderzy w okolice zatoki Bone, wywołując niewyobrażalnie potworny kataklizm, którego skutków nikt nie umie opisać. Ten czas lęków i niepewności rozszerza się na opak, niszcząc nie tylko przyszłość, ale także teraźniejszość, zatruwa wszystko: związki, dochodzenia, społeczeństwo, nikt już nie zna nikogo i w ogóle niczego nie może zrobić.

- Hej? Ziemia do brata Nico! - odzywa się Jordan. - Mam co innego do roboty. Coś ważnego.

- Chwila. Poczekaj.

- Nie mogę.

- Nils Ryan - rzucam. - Z policji stanowej.

- Przeliteruj jego imię.

- Nie. Czeka. Canliss. Możesz jeszcze sprawdzić nazwisko Canliss?

Jordan wzdycha teatralnie, ale odwraca się w końcu do klawiatury, dając mi do zrozumienia raz jeszcze, kto tu

rządzi. Przeliterowuję mu nazwisko, potem gapię się nad jego ramieniem, jak wpisuje kolejne komendy. Najpierw sprawdza bazę danych NROS, ale zgodnie z moimi podejrzeniami nie ma tam żadnych trafień. Potem rozpoczyna zwykle przeszukiwanie. Pochylam się mocniej, praktycznie wiszę już nad nim, wpatrując się w ożywające napisy. Tekst przepływa przez ekran, zielone litery na czarnym tle.

- Proszę - rzuca Jordan. Odsuwając się od biurka, trafia oczywiście krzesłem w moją nogę. - Czy to ci pomoże?

Nie odpowiadam. Jestem już daleko stąd, przemierzam dzikie ostępy, stoję pośrodku zawiei z uniesionymi rękoma, chwytając wirujące wokół idee, jakby to były płatki śniegu. Najpierw byłem przekonany, że to Brett oszukiwał Marthę, potem uznałem, że było odwrotnie, ale myliłem się od samego początku. Wszystko co złe miało zupełnie inne źródło.

Zapamiętałem nazwisko Jeremy'ego z logo firmy Canliss i Synowie, która miała kontrakt z naszą komendą. Byłem policjantem dopiero od trzech miesięcy, gdy sierżant Belroy zachorował na grypę, przez co utknąłem na całe trzy dni przy papierkowej robocie. Stąd pamiętam to nazwisko. Canliss i Synowie, to była lokalna firma, która zaopatrywała posterunki w całym stanie w specjalistyczny sprzęt: gogle noktowizyjne, tasery... w stroje maskujące.

Canliss i Synowie z Nowej Anglii. Znałem tę nazwę.

- Halo? Ziemia do brata Nico! - powtarza Jordan, machając

ręką nad głową. - Czy to wystarczy?

- Tak. Wystarczy - odpowiadam. - Skończyliśmy, a ja znikam.

- Łał - mamrocze, pochylając się, by wyłączyć monitor. - Coś mi się widzi, że jesteś na to uczulony.

- Na co?

- Na powiedzenie: dziękuję.

- Dziękuję, Jordan - mówię, i to szczerze. - Naprawdę ci dziękuję. Bardzo ci dziękuję.

Wyłączył tylko monitor, nie sam komputer, zauważam, opuszczając kantorek, co znaczy, że pozyskane dane wciąż tam są, podobnie jak cała historia poszukiwań, a to niespecjalnie mi się podoba. Nie mam jednak czasu na czcze pogaduszki.

Muszę iść, muszę pójść tam natychmiast.

Jordan, co było do przewidzenia, zrywa się z krzesła i staje mi na drodze. Opiera się o framugę, to jego zwyczajowa pozycja. Stanać jakby nigdy nic, luzacko, z przymilnym uśmiechem na ustach, za którym kryją się nieprzebrane pokłady złej woli, a nawet agresji. Ja natomiast mam już przed oczami wizję Marthy Cavatone, która może w tej chwili jest w piwnicy Jeremy'ego Canlissa albo w bagażniku jego wozu, albo w jakiejś skrytce pod podłogą. Muszę dotrzeć do niej, i to jak najszybciej.

- Jordan, muszę już iść.

- Tak. Wiem - odpowiada z kciukami zatkniętymi za szlufki dżinsów. - Już mówiłeś. Ale teraz ja chcę ciebie o coś



zapytać. Czy teraz już wierzysz?

- W co?

- Wiesz, tak naprawdę tylko Nico, twoja siostra, czuła się potwornie urażona tym, że nie wierzysz. W nic, co ci mówiła. O naszej grupie, naszych planach, przyszłości.

Przemawia do mnie niespiesznym adagio, robi to celowo, wykorzystując moją niecierpliwość i przekuwając ją tymi słowami w broń, która ma ranić.

- Ty chyba nie zdajesz sobie sprawy, ile dla niej znaczysz.

Obliczam, jakie mam szanse przepchnąć się obok niego i uciec z tego sklepu. Jest niski, lecz wcale nie drobny, energiczny, a ja mimo znacznej przewagi wzrostu nie mam prawie sił. Po nocy spędzonej w szpitalu łożę po mieście już prawie cały dzień, nie mówiąc o tym, że dysponuję tylko jedną zdrową ręką.

- Będę szczery: niewiele już pamiętam z tego, co mi powiedziała.

- No tak - mruczy, wzruszając ramionami. - W takim razie muszę ci przypomnieć.

Zmieniam tryb, przechodzę na typową policyjną gadkę, ale nie podnoszę głosu, staram się też, by brzmiał szczerze i otwarcie.

- Posłuchaj, Jordan. Jestem niemal pewien, że doszło do porwania pewnej kobiety, a ja muszę jej pomóc. Teraz - zaznaczam.

- Poważnie? - Robi wielkie oczy. - Mówisz poważnie? W takim razie leć już. Po drodze wpadniesz, mam nadzieję,

do jakiejś budki telefonicznej, bracie Nico? Wiesz, żeby przywdziać pelerynkę.

- Jordan - mówię, nieomal przekonany, że dałbym mu radę bez względu na to, iloma rękami się posługuję. - Zejdź mi z drogi.

- Spokojnie, koleś... - Wydmuchuje kolejny balonik z gumy, przebija go palcem. - Ja tylko pytam, czy już nam wierzysz.

- Czy wierzę w to, że możecie zmienić trasę lotu asteroidy, bo dysponujecie helikopterem i macie dostęp do Internetu? Nie, nie wierzę.

- W takim razie to już twój problem. Masz ograniczoną wyobraźnię.

Pochyliam się i napieram barkiem, ale on po prostu schodzi mi z drogi, więc wypadam jak burza z biura kierownika. Odzyskuję równowagę i gnam prosto do wyjścia. Jordan śmieje się głośno za moimi plecami. Gdy otwieram szarpnięciem drzwi, widzę Houdiniego, który siedzi grzecznie przy krawężniku, tam gdzie mu kazałem.

- Wiesz, to także problem Nico! - woła za mną Jordan, więc odwracam się, nie wypuszczając klamki. To taki niewinny komentarz, niby nic, ale forma, w jakiej został wypowiedziany, budzi mój niepokój. Więc wracam.

- Co chciałeś przez to powiedzieć?

- Nic - rzuca, uśmiechając się krzywo, zadowolony wędkarz, któremu udało się coś złowić.

Jego przyjaciółka, ta Abigail, wychodzi z łazienki, ma na sobie kwiecistą sukienkę, bezrękawnik, włosy spięła

w kucyk.

- Jordan, wiesz, że nie ma już wody? - pyta.

- W sumie wiem - odpowiada jej. - Dlatego uważam, że powinniśmy zostać tu na noc.

Mówi do niej, lecz nie spuszcza wzroku ze mnie. W jego oczach nie dostrzegam już jednak rozbawienia, tylko coś na kształt groźby.

- Chodziło mi o to, panie Palace, że twoja siostra cierpi na podobny brak wyobraźni. Nie zauważyłeś tego wcześniej?

Pokonuję pomieszczenie dwoma szybkimi susami, nie odrywając wzroku od jego twarzy. Chwytam go za ramię jedyną sprawną ręką. Abigail mówi coś, ale on nawet nie drgnie.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nic - rzuca, a na jego ustach pojawia się na powrót ten uśmiezek klauna. - Tak sobie gadam.

Zaciskam palce mocniej. Po raz pierwszy usłyszałem o jego debilnej organizacji, gdy Nico mi wyjaśniała, że jej mąż Derek - zdawało mu się, że należy do spisku i wszystko już wie - został poświęcony dla większej sprawy, o której istnieniu nie miał bladego pojęcia.

- Gdzie poleciał ten helikopter?

W tym momencie dochodzi do eksplozji. Gdzieś niedaleko, łomot jest ogłuszający, jakby zaryczał największy dinozaur.

- Oho - mruczy Jordan. - Wygląda na to, że któraś ze wspólnot dorwała się do grubszej broni.

- South Pill Hill - stwierdza Abigail.

- Myślisz?

Potakuje, rzucając mu spojrzenie w stylu: jasne, że tak.

- Ależ to będzie noc - podsumowuje Jordan. - Jak ta z czwartego lipca.

- Gorsza - dorzuca dziewczyna, znów obrzucając go wzrokiem. Ja stoję przed nimi, patrząc to na jedno, to na drugie. - O wiele gorsza.

- Co? - pytam gniewnie, choć wiem doskonale, o czym rozmawiają. O tym właśnie mówił McGully, kiedy przestrzegał nas, stojąc w drzwiach Somerset: „Poczekajcie tylko, aż skończy się woda”. - Wiesz coś o tym?

- Ja wiem wszystko, człowieku, nie pamiętasz?

- Dojdzie do czegoś w rodzaju wojny - wtrąca Abigail spokojnym rzeczowym tonem. - Jedna ze wspólnot mieszkaniowych gromadziła butle wody Poland Spring w siłowni YMCA. Ma ich tam tysiące. Inna grupa trzyma swoje zapasy w piwnicy centrum naukowego. Wszyscy słyszeli plotki na ten temat, wszyscy mają też plany, jak chronić własne zapasy i jak zdobywać cudze.

- Albo jak opanować zbiornik retencyjny - dodaje Jordan, odchylając moje palce jeden po drugim.

Abigail przytakuje.

- Tak, co do tego nie ma wątpliwości.

- To będzie coś w stylu „zdobądź flagę”, tyle że z użyciem autentycznej broni - precyzuje Jordan, a jego dziewczyna znów potakuje. - Masy autentycznej broni.

Jakby na podkreślenie prawdziwości tych słów w oddali

dochodzi do drugiej eksplozji, trudno powiedzieć, czy nastąpiła bliżej czy dalej od poprzedniej, ale na pewno była głośniejsza. Moment ciszy, a potem do naszych uszu dobiega ryk wydobywający się jednocześnie z wielu gardeł, ryk, który niknie w charakterystycznym stukocie broni maszynowej.

Przysłuchuję się temu wszystkiemu, dysząc ciężko, z mocno przekrzywioną głową. Kruchy pokój zawdzięczaliśmy wyłącznie wszechobecności policji. Wszyscy wiedzieli, że patrole i radiowozy na każdym rogu są rozmieszczane po to, by zastraszyć mieszkańców i wybić im z głów podobne zachowania. Ale dzisiaj nie widziałem ani jednego policjanta. Ani jednego wozu.

- Wiesz co, Henry? Idź już lepiej. To będzie ciężka noc.

## 5.

Jedyny atut, który mi pozostał, jedyny element wyposażenia policjanta, który - by tak rzec - mam zawsze przy sobie, to wykuty na pamięć plan miasta. Zjeździłem jego ulice na rowerze jako dzieciak, zjeździłem je samochodem jako dorosły, dzięki czemu teraz mogę przejść szybko i bezbłędnie z Wilson Avenue na Main Street.

Mój dom leży na zachodzie, za Clinton Street, ja jednak kieruję się w przeciwną stronę. Muszę - po prostu muszę - to załatwić. Definitywnie.

Jordan miał rację. Szykuje się ciężka noc. Słyszę odgłosy strzelaniny dobiegające ze wszystkich stron i widzę unoszące się zza dachów pióropusze dymu. Mijam horde ludzi, jest ich co najmniej trzydziestka; idą ławą w pseudowojskowym szyku, ciągnąc za sobą rząd wózków sklepowych powiązanych sznurem i psimi smyczami. Mijam pięcioosobową rodzinę, która ucieka pieszo środkiem jezdni; ojciec niesie dwoje dzieci na rękę, tuląc je do piersi, matka trzyma w ramionach trzecie. Wszyscy oglądają się niespokojnie za siebie, tam, skąd przyszli.

Staje mi przed oczami detektyw McGully. Z poczerwieniałą twarzą dziabie powietrze palcem i mówi: „Poczekaj tylko, aż zabraknie wody w kranach, tylko kurwa poczekaj”.

Houdini biegnie przodem, robiąc bokami i szczerząc się jak prawdziwy drapieżca. Podwija wargi i odsłania pożółkłe kły.

Aby go nie stracić z oczu, przyspieszam kroku i pochyłony mijam budynek Water West, Kapitol, McDonalda, gdzie dawno temu znalazłem w toalecie wiszące zwłoki samobójcy nazwiskiem Peter Zell.

Na Phoenix Street, gdzie w dalszym ciągu stoi kino reklamujące premierę ostatniej części „Distant Pale Glimmers” sprzed dwóch miesięcy, chłopak w czapeczce bejsbolowej założonej tyłem do przodu przetacza się obok mnie na deskorolce, trzymając w objęciach coś, co wygląda na pięciolitrowy baniak z wodą źródlaną. Strasznie mu spieszo.

Z drzwi kina wychodzi młoda kobieta w czarnych butach na płaskim obcasie i w fartuszkach kuchennym. W rękach ma strzelbę. Mierzy i strzela do skatera, raniąc go w bok. Chłopak spada z deski i przewraca się na jezdnię.

Nie zatrzymuję się. Idę coraz szybciej. Staram się wszystko wyrzucić z pamięci – uciekającą rodzinę, kobietę ze strzelbą, obleśne insynuacje Jordana, Nico w helikopterze, Alysę i Micaha Rose’ów na placu zabaw przy Quincy Street... wszystko, dosłownie wszystko. Głowę trzymam opuszczoną, a myślami krążę wokół sprawy, bo mam dość zastanawiania się, dlaczego to robię, dlaczego wciąż mi zależy. Po prostu to mi zostało, to moja praca.

Skrećam w lewo z Route 1 przed Hood Factory, potem biorę ostry zakręt w prawo, w płataninę uliczek za więzieniem.

Zmierzcha się. Słońce różowieje na linii horyzontu, przymierzając się, aby zejść.

„Jakoś tak nie po drodze mi było z rodziną”, powiedział mi Jeremy Canliss. Oddalił się od niej, ale dopiero po tym, jak przejął po firmie Canliss i Synowie trochę snajperskiego sprzętu, dopiero po tym, jak nauczył się nim posługiwać. Odwiedzał strzelnicę – nie zaadaptowaną kręgielnię, ale prawdziwą strzelnicę – gdzie nauczył się strzelać z trzystu jardów.

Narzędziem zbrodni równie dobrze mogła być snajperka ze starych zapasów jego ojca. No chyba że znalazł ją gdzieś po drodze, co byłoby niespodziewanym łutem szczęścia, istnym uśmiechem losu. Nie. Polazł za mną do UNH, ominął strażników, którzy pilnowali terenu tylko jednym okiem, i trafił prosto na zbrojownię Julii Stone. To stamtąd, tak samo jak Brett, wziął sobie broń.

Teraz nie mam już wątpliwości, co się wydarzyło: Jeremy chciał się pozbyć Bretta, ruszył więc moim śladem, aby się upewnić, że nie pokrzyżuję mu szyków.

Zaczynam biec. Już jestem prawie na miejscu.

Canliss wyjawiał mi swój adres niechęć. Siedząc naprzeciwko mnie przy stole w mojej kuchni, jękając się, opowiedział mi swoją historię i wspominał przy okazji, jak to razem z Brettem siadywał na ganku i obserwował oprychów wchodzących do więzienia i z niego wychodzących, co Brett komentował słowami: „Lepiej oni niż my”. Jest tylko jedna krótka ulica, która biegnie tuż za stanowym więzieniem dla mężczyzn – to Delaney Street.

Gdy docieram na miejsce, dochodzi za piętnaście dziewiąta.



Wtorek, mówię sobie w myślach z jakiegoś powodu, wciąż jest wtorek, mimo że w tym zaułku panują egipskie ciemności.

W normalnych okolicznościach sprawdzenie ulicy, przy której stoi dziewiętnaście domów, zajęłoby mi godzinę. Ale dziewięć z nich to opuszczone rudery: wypaczone drzwi wejściowe, powybijane i pozaklejane okna. Jeden - pod szóstką od północnej strony - nie ma części dachu, dzięki czemu można zobaczyć połamane belki na strychu. Wśród pozostałych dziesięciu domów są dwa, w których pali się światło latarek, postanawiam więc zacząć od któregoś z nich. Mój wybór pada na numer szesnasty. Pośpiesznie przecinam zachwaszczony trawnik.

Więzienie jest tuż za budynkiem, stoi całe w płomieniach. Pali się stare zachodnie skrzydło.

Unoszę dłoń zwiniętą w pięść i walę w drzwi, wołając: „Martha!”. Otwiera mi starszawe małżeństwo. Oboje są przerażeni, trzymają ręce wysoko w górze; kobieta ma na sobie koszulę nocną, a mężczyzna tylko spodnie od piżamy i kapcie. To on zaklina mnie, abym zostawił ich w spokoju. Wypuszczam wstrzymywane powietrze z płuc, robię krok w tył.

- Przepraszam za najście - mówię i odwracam się, żeby zejść po schodkach. Zanim jednak staruszkowie zatrzasną drzwi, zwracam się do nich ponownie: - Jestem policjantem. Mają państwo jedzenie?

Kiwają oboje głową.

- Ile?

- Dużo - odpowiada kobieta.

- W sam raz - rzuca mężczyzna.

- W porządku - mówię. Wstrząsa nami wybuch dobiegający od południowego zachodu, od strony Little Pond Road i zbiornika. - Wyświadczyć mi przysługę - dodaje. - Nie otwierajcie już nikomu drzwi.

Potakują, ale ze zdziwienia szeroko otwierają oczy.

- Ma pan na myśli dzisiejszy wieczór?

- Mam na myśli w ogóle. Po prostu nikomu nie otwierajcie.

Wiatr się wzmaca; letnia bryza przybrała na sile, zamieniając się w spanikowane porywy - liście fruwią po jezdni, kubły na śmieci grzechoczą o siebie. Płomienie unoszące się z dachów więzienia kołysane są tymi samymi podmuchami.

Houdini truchta w stronę kolejnego domu, drugiego z tych, w których pali się światło. Numer dziewiąty. Gdy idziemy po trawniku, szczeka z pyskiem przy ziemi, po czym jakieś nocne stworzonko czmycha przed nim i chowa się w krzakach. Chociaż słońce dawno już zaszło, nadal jest niemiłosiernie gorąco. Ręka poci mi się na temblaku.

Drewniana weranda jest rozchwierutana, zasłana rupieciami. Drzwi straszą niepomalowanymi deskami, w oknie wisi duży ręcznik plażowy z napisem „New England Patriots”.

To by się zgadzało, myślę. Właśnie w takim domu mieszkałby niby zatrudniony dwudziestoletni macher, który

zna się na wszystkim i na niczym. Właśnie w takim domu gnieździłby się z kumplami i znajomymi. Pokonuję schodki po dwa naraz, czując, jak w piersi wali mi serce; nie z wysiłku, lecz z obawy o Marthę.

Cortez oberwał w głowę dzisiaj rano, tak mi powiedział. Trzy godziny przed tym, zanim zjawiłem się na miejscu, co miało miejsce około wpół do dwunastej. To oznacza, że Martha została porwana dwanaście godzin temu. Łomoczę w drzwi, wołając „Jeremy!...”. W głowie mam wszystko poukładane i jasne.

Jeremy kochał Marthę. Martha zaś kochała swojego męża.

Ale przebiegły młody Jeremy wejrzał w jego serce i zobaczył, że Brett tak naprawdę marzy o odejściu. Domyślił się tego dzięki długim rozmowom podczas zwożenia produktów żywnościowych i jeszcze dłuższym godzinom spędzonym w pizzerii. Szlachetny dziwak Brett rwał się do ratowania świata, a przynajmniej chciał wykorzystać swoje ostatnie miesiące do zrobienia czegoś dobrego, czuł bowiem, że Bóg go do tego wzywa. Tymczasem trzymał go na uwieczni inny rodzaj szlachetności – więzy małżeńskie.

Stąd plan Jeremy'ego, sfalszowana kartka z pamiętnika, oszustwo, zupełnie jak z Szekspira, jak z opery: zniechęcić mężczyznę podstępem, kobietę wziąć siłą.

- Jeremy? - wołam ponownie, szarpiąc za klamkę.

Kolejne wystrzały rozbrzmiewają niczym odległe gromy i nagle docierają do mnie niewyraźne krzyki, po czym na pewno za sprawą wiatru urywki rozpaczliwej rozmowy -

„Nie, daj spokój, nie...”, „Zamknij się, po prostu się zamknij”  
- z drugiego krańca miasta, z całkiem innej awantury.

Nikt nie otwiera drzwi. Wiatr mierzwi mi włosy, czuję, jak na karku występuje mi gęsia skórka.

Pora wejść do środka.

- Zostań! - mówię do psa. - Waruj! - Houdini zerka na mnie, przekrzywia łeb, obnaża kły. - Gdyby ktoś tu podszedł, daj głos. Jeśli z wewnątrz wyjdzie ktoś inny niż ja, bierz go! Zrozumiałeś?

Houdini siada na ostatnim stopniu, skupiony i czujny. Ja biorę zamach i kopię niepomalowane drewno prawą nogą, mocno. Lecą drzazgi, mnie w oczach pokazują się gwiazdy. Zszyta ręka wyje z bólu. Wrzeszczę, zginam się w pół i znowu wrzeszczę, trzymam głowę opuszczoną, dopóki ból nie odbędzie całej drogi od stopy przez ramię z powrotem do ziemi. Houdini wpatruje się we mnie ślepiami pełnymi współczucia i zdziwienia, ale nie schodzi z posterunku.

- Dobry piesek - mruczę, oddychając miarowo. - Dobry piesek.

Gdy już jestem w stanie się poruszyć, przekraczam próg. Wita mnie ciemny zagracony salon, w którym jedynym źródłem światła jest dopalająca się świeca w wazonie. Pod dalszą ścianą stoi na w pół otwarta walizka, wysypuje się z niej kilka T-shirtów przypominających kłębowisko węży. Wyłączona z kontaktu lodówka leży przewrócona na bok niczym wyrzucony na plażę wieloryb. Ktoś sprayem wymalował na niej napis: NIE DZIAŁA.

- Martha? - wołam raz po raz. Stawiam ostrożnie kroki, prac naprzód bez broni, tylko z wyciągniętą przed siebie zdrową ręką. - Martha?...

Po prawej mam łukowate przejście do kuchni, po lewej długi korytarz. Skręcam w korytarz i potykam się o coś - jak się okazuje, o parę trampek z wywalonymi obscenicznie językami, bez sznurówek. Potrafię sobie wyobrazić to wnętrze zaśmiecone pudełkami po pizzy i puszkami po piwie; niegdyś telewizor chodził tu na okrągło, ktoś wiecznie upalał się na kanapie, bywalcy kręcili się, wchodząc do łazienki i wychodząc z niej już przebrani do nic nie znaczących występów. Teraz panują tu ciemności, nie ostał się żaden z tych młodych ludzi. Jeden wrócił do domu rodziców, drugi wziął przyspieszony ślub pod wpływem zagrożenia upadkiem asteroidy, trzeci wyjechał do Nowego Orleanu.

Ktoś jednak pozostał na miejscu. Porywacz. Morderca.

Słyszę go w tym samym momencie, w którym pada na niego mój wzrok. Leży jak kupa szmat na podeście schodów i jęczy.

- Ej - odzywa się niewyraźnie. - Jest tam kto?

Jeremy Canliss osunął się plecami po słupkach balustrady i teraz jakby wisi mi nad głową. Widzę ludzką sylwetkę odcinającą się na tle mroku, przypomina ducha w pół drogi do nieba. Kucyk ma Jeremy rozkudłany, włosy tłuste, całe w strąkach, okalają jego drobną przestraszoną twarz. Strzela przepelnionymi smutkiem oczami i czerwieni się jak burak, zupełnie jakby był zakochanym szczyłem, szczyłem, który uderza do Marthy.

Obok niego na podłodze spoczywa strzelba z lunetą, ta sama, z której zastrzelił Bretta Cavatone'a. Lufa jest zwrócona w stronę ściany, kolba wpija się mocno w lewy pośladek leżącego.

- Jeremy, to ja, Palace! - mówię donośnie, kierując swoje słowa w górę klatki schodowej. Dobrze mi robi podniesienie głosu i przybranie tonu twardego gliniarza. - Zostań tam, gdzie jesteś.

- Ty jesteś jak jakiś potwór, człowieku - odpowiada Jeremy. Z jego napiętego głosu z kolei przebija rozbawienie. - Z filmu o potworach. Nigdy się nie poddajesz, co?

- Chcę, żebyś wstał i podniósł ręce do góry.

Wybuch śmiechem, po czym mamrocze:

- Jasne, człowieku.

Tylko że nie rusza się z miejsca, co najwyżej jego głowa drga lekko na karku. Przywodzi mi na myśl niedobitka imprezy uczelnianej, porzuconego przez kumpli na podeście schodów, żeby odespał, choć grozi mu, że stoczy się na sam dół.

Nie mam nad nim żadnej władzy. Nie mam broni. Wspinam się o jeden stopień, idę w stronę zabójcy.

- Gdzie jest Martha, Jeremy?

- Nie wiem.

- Gdzie ona jest?

- Sam chciałbym wiedzieć.

Pokonuję kolejny stopień.

- Kto to jest N.?

- Nikt - szepcze, po czym się śmieje. - N. to jest „nikt”.  
Zabawne, co?

Nie reaguję. Stawiam nogę znów o stopień wyżej; jestem coraz bliżej niego. Jeremy w dalszym ciągu ani drgnie.

- Dlaczego to zrobiłeś? - pyta mnie infantylnie nadąsany.

- O co ci chodzi, Jeremy?

- Czemu po niego polazłeś? Mówiłem ci, żebyś tego nie robił. Mówiłem ci! - Przygląda mi się ze szczerym zdumieniem, zarazem zaintrygowany i smutny. - Chciałem tylko dostać swoją szansę, wiesz? Chciałem mieć szansę u niej. Do tego musiała być sama, żebym mógł z nią porozmawiać, żebym mógł ją przekonać.

To wszystko już wiem. Pokusił się o fałszerstwo, wyrwał kartkę z pachnącego cynamonem różowego pamiętnika, po czym sprokurował obciążający ją akapit, „wpadł na niego przypadkiem”, i przekazał Brettowi. „Rany, stary... Nie wiem, jak ci to powiedzieć... Ale wiesz, leżał otwarty w twoim domu... Przykro mi... Naprawdę mi przykro”.

Każdy mąż zachowałby sceptycyzm, pogadałby z żoną, zażądał wyjaśnień, licząc, że doszło do nieporozumienia. Każdy oprócz Bretta; on chciał odejść, chciał końca małżeństwa, chciał unieważnienia kontraktu - byle mógł czynić dzieło Boże w puszczy.

- On nawet jej nie kochał - mówi teraz Jeremy, potrząsając głową ze wzrokiem utkwionym w sufit. - Wiesz? Nawet jej nie kochał. A ja ją kocham.

- Gdzie ona jest? - pytam ponownie, a on znów nie

odpowiada.

Jeszcze jeden krok i jestem w połowie schodów, wystarczy rzucić się szybko, żeby dopaść tego przeklętego karabinu. Oczywiście wyobraźni widzę poszczególne ruchy: pokonuję resztę stopni jednym susem, podejrznego przesuwam w lewo ciężarem swojego ciała, wyrywam spod niego broń prawą ręką... Tyle że nie mogę użyć prawej ręki.

- Gdzie ona jest, Jeremy?

- Powiedziałem ci już. Nie wiem.

- Nieprawda.

Staram się utrzymać głos na wodzy, zachować spokój, zgrywać równiachę. Staram się sprawić, aby Jeremy mi zaufał. Wewnątrz jednak aż kipię z gniewu na tego głupiego chłopaka, na jego durną niepotrzebną, pełną przemocy miłość. Zaledwie półtora roku temu skończyłoby się na niewinnym zauroczeniu dwudziestolatka, na mrzonkach o żonie kumpla. Tymczasem w cieniu Mai uczucie to zamieniło się w obsesję i poskutkowało śmiertelną intrygą.

Jeremy oblizuje wargi, unosi rękę i ociera twarz. Zaczynam podejrzewać, że jest na haju, poza czyimkolwiek zasięgiem.

- Martha! - wołam głośno, lecz nie wywołuje to żadnej reakcji. Ani Jeremy'ego, ani z głębi domu, z najodleglejszego zakątka, z jakiegoś schowka czy zakamarka. - Martha! To ja, Henry Palace! Krzyknij, jeśli mnie słyszysz!

- Zamknij się - rzuca ostro Jeremy. Wściekłość zmienia mu głos. Poprawia się na swoim miejscu i sięga do kolby. Błyska



mi jego rzadka bródka, twarzyczka chłopca. – Tutaj jej nie ma. Chciałbym, żeby była, ale jej nie ma.

Ostatnie słowa – „Chciałbym, żeby tu była, ale jej nie ma” – wypowiada tak cicho i łagodnie, że przechodzi mnie dreszcz, zupełnie jakby moje wnętrzności były podwodną pieczarą, którą właśnie zalała lodowata woda.

– Czy Martha nie żyje? Czy ty ją zabiłeś, Jeremy? – dopytuje.

– Nie. Chciałem z nią tylko porozmawiać.

– Poszedłeś po nią, tak? Dzisiaj rano?

– Tak... – Jeremy kiwa głową, usta ma rozchylone.

– Co się potem stało?

– Nic. Nie zastałem jej. – Patrzy na mnie bezradnie zmieszany. – Był za to jakiś facet. Widziałem go...

– To był Cortez. Zaatakował go. Na ganku.

– Nie... nie. On był w środku. A Marthy nie było. Nic z tego nie rozumiałem. Poszedłem sobie...

– Nie mówisz mi prawdy, Jeremy. – Kręcę głową, przybieram łagodny, nęcący głos. – Powiedz, co jej zrobiłeś.

– Głuchy jesteś? Nie było jej tam! – Porusza się nagle, skomle i nieoczekiwanie podnosi się na nogi. – Głuchy jesteś? Ja ją kocham!

Kieruje się niepewnie w moją stronę, trzyma broń w dłoniach. Cofam się o stopień, wyciągając przed siebie zdrową rękę, jakbym był w stanie pochwycić wystrzeloną kulę, jakbym był Supermanem, który złapie pocisk i odrzuci go w kierunku napastnika. Półtora roku temu byłbym detektywem, przesłuchiwałbym podejrzanych. Zaraz, zaraz,

wrócić. Byłbym nadal zwykłym funkcjonariuszem, krawężnikiem kursującym po Loudon Road, i zgarniałbym co najwyżej kieszonkowców i osoby śmiejące w miejscach publicznych.

- Jeremy...

- Dostyc tego - mówi, a ja odpowiadam:

- Proszę, nie...

Jeremy zstępuje ze schodów, wymachując karabinem; przez moment celuje w ścianę, potem w podłogę, wreszcie we mnie, prosto w twarz.

Serce mi trzepocze i nurkuje. Nie chcę umierać - nie chcę!  
- nawet teraz, w tych okolicznościach pragnę żyć dalej.

- Daj spokój, Jeremy - mówię. - Proszę.

W dole schodów rozlega się rumor głośny jak wybuch fajerwerku. Jeremy robi wielkie oczy, ja także okręcam się gwałtownie wokół własnej osi, aby zobaczyć, na co takiego patrzy. To wiatr otworzył na oścież zniszczone drzwi, odsłaniając Houdiniego, który siedzi przed domem i gapi się do środka, milczący i okrutny, z obnażonymi zębiskami i z bokami utyłanymi popiołem i błotem. Psa podświetla od tyłu łuna pożaru, która bije od strony więzienia.

Jeremy wydaje z siebie pisk, gdy Houdini zadziera łeb, aby na nas spojrzeć, taki straszny i wściekły. Wykorzystując okazję, pokonuję trzema susami odległość dzielącą mnie od chłopaka i wciskając mu przedramię w grdykę, przyszpilam go do ściany.

- Gdzie ona jest?

- Przysięgam... - Jeremy walczy o oddech, nie przestając spoglądać na psa oczami, które wyłazą mu na wierzch. - Przysięgam, że nie wiem.

- Kłamiesz. - Spozieram na chłopaka z góry. Duszę go przedramieniem, wiem o tym, ale wszystko mi jedno. - Zobaczyłeś Corteza i załatwiłeś go łopata.

Jeremy charczy, wyciska z siebie słowa.

- Nie mam pojęcia, o kim mówisz. - Próbuje się oswobodzić. - Nigdy bym jej nie skrzywdził.

Patrzę na jego wykrzywioną przerażeniem twarz i usiłuję się skupić. „Odprawiła mnie”, powiedział Cortez. „Potraktowała jak jehowitę”. Czemu to zrobiła? Czemu pozbyła się obrońcy? „Miała walizkę”, dodał. „Czekała na kogoś”. Na pewno nie na Jeremy’ego - na kogo więc? Zaczynam się zastanawiać nad chronologią wydarzeń. Przypominam sobie, kiedy zginął Brett i kiedy Jeremy pokazał się ponownie, a także o której godzinie dziś rano Martha powiedziała Cortezowi, aby zostawił ją w spokoju. W głowie zaczyna mi się kręcić, dni i wydarzenia wirują, obijając się o siebie niczym kamyczki w worku.

- Umrę - sapie Jeremy.

Opanowuję się i puszczam go wolno.

- Nic ci nie będzie.

- Nie rozumiesz - odpowiada. - Już jestem trupem.

Nagle to dostrzegam - w jego oczach, w niezdrowej cerze, w zwężonych źrenicach. A niech to szlag!

- Chodź - mówię, kucając. Ciągnę go za lewą rękę swoją

lewą ręką. – Idziemy do łazienki.

Jeremy odprawia mnie gestem i znowu osuwa się po słupkach balustrady.

Staczam go więc po schodach, zaciągam do łazienki, gdzie spostrzegam na jego szyi pojawiający się siniak. Nie mam pojęcia, kiedy zażył tabletki ani jak długo tam siedział, zanim się pokazałem. Jeśli dowlokę go do sedesu, zegnę go w pół i zmuszę do wymiotów. Dzięki temu pozbędzie się choć części tego gówna, które połknął. Tyle jestem w stanie zrobić. Raczej nie zmetabolizował jeszcze wszystkiego, na to minęło zbyt mało czasu.

– Jeremy?

Z wysiłkiem usadzam go na klęczkach przed sedesem, a on bezwolnie zaczyna się kiwać w przód i w tył. Łapię go za twarz, czuję, jak głowa mu opada, a całe ciało wiotczeje.

– Jeremy!

Sięgam do kurków przy umywalce, żeby ochlapać chłopakowi twarz wodą, ale oczywiście z kranu nic nie leci. Jeremy zniecka robi się gorący, jakby zaraz miał się stopić niczym wosk, przejść ze stanu stałego w stan płynny i przecieknąć mi między palcami.

Przypuszczam jeszcze jeden atak.

– Gdzie jest Martha, Jeremy?

– Znajdziesz ją – mówi łagodnie, niemal zachęcająco, jak nie przymierzając, trener. W wypadku osoby, która przedawkowała, poznać to po oczach, widać, jak dosłownie

gaśnie w nich blask. - Założę się, że każdego potrafisz znaleźć...

\* \* \*

Razem z Houdinim przeszukuję cały dom. Zaglądam do każdego kąta, pod każde łóżko i materac. Nie odpuszczam nawet ciasnej spizarni, w której roi się od karaluchów i pluskiew. Nie zapominam o pokrytych pajęczynami zakamarkach piwnicy.

Ręka mi spuchła, zaczęła pulsować bólem i ciepłem. Pot cieknie mi ciurkiem po twarzy i wpada do oczu. Nie przestajemy szukać.

Jednakże dom nie jest specjalnie duży, a ja przecież nie rozglądam się za zawieruszonymi kluczami czy okularami. Chodzi o człowieka. O moją przyjaciółkę, skrępowaną i drżącą ze strachu, albo już tylko o jej ciało, puste i wpatrzone nieruchomo w przestrzeń. Choć zajrzałem już wszędzie, gdzie można było zajrzeć, nie przerywam poszukiwań. W budynku nie ma strychu, pokoje na piętrze mają łukowate sklepienie, ale ja i tak wchodzę na krzesło, żeby postukać w sufit, upewnić się, czy nie znajdę ukrytej przestrzeni albo sekretnego pomieszczenia, do którego Jeremy mógł wcisnąć zakneblowaną i opierającą się ze wszystkich sił Marthę. Szafy, kuchnia, znowu szafy; wypatroszam wszystko, kopię w boazerię, licząc, że usłyszę głuchy odgłos sugerujący istnienie wolnej przestrzeni.

Houdini szczerka i obwąchuje podłogę. W spiżarni znajduje skrzynkę z narzędziami, a w niej młotek z rozcięciem, którym podważam deski podłogowe w salonie, kolejno jedną po drugiej, aż nie czuję pleców. Ignoruję fale bólu i mdłości, sukcesywnie demontuję podłogę, jakbym obierał jakiś uparty owoc, ale pod spodem widzę tylko izolację i rury. Miejscami prześwituje wolna przestrzeń piwnicy.

Zaglądam tam jeszcze raz, ale Marthy nigdzie nie ma - ani w piwnicy, ani na parterze, ani na piętrze.

Mimo to dalej się rozglądam. Na zewnątrz rozlegają się strzały i krzyki, okna rozświetlają płomienie pożaru, a ja szukam i szukam jeszcze długo po tym, jak każdy inny detektyw uznałby, że Marthy Milano nigdy nie było w tym budynku.

Szukam i wołam jej imię, dopóki nie ochrypnę.

\* \* \*

Ciało Jeremy'ego zostawiam w wannie. Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Tak się bowiem składa, że dom pogrzebowy przy Willard Street zaanektowała banda mesjaszy sądowego dnia, a kostnica w podziemiach miejskiego szpitala stoi opuszczona, odkąd doktor Fenton przeniosła się wyżej, by - wspólnie z tym kimś, kto akurat jest pod ręką - decydować o kolejności leczenia rannych.

Nie mam komu zgłosić zgonu ani dostarczyć zwłok, ponieważ miasto stoi w ogniu, a nasz kraj stał się dziką

ziemią. Układam więc Jeremy'ego schludnie w jego wannie zaopatrzonej w lwie łapy, zamykam mu powieki i odchodzę.

## 6.

Mój dom przestał istnieć.

Gdy w końcu Houdini i ja docieramy pod mój adres na Clinton Street, zastajemy na miejscu szkielet budynku, same dźwigary, które chylą się niebezpiecznie w letnich ciemnościach pośród klonów. Ktoś rozszabrował metal, elewację panelową i cegły, po czym podłożył ogień; a może najpierw wybuchł pożar, a dopiero potem pojawili się szabrownicy, którzy wynieśli szczątki. Wokół pełno jest popiołu niesionego wiatrem; tu i ówdzie leży jakiś mebel. Moje zapasy - słoiki z masłem orzechowym, maska przeciwgazowa, butle z wodą, które schowałem pod podłogą salonu, tam gdzie stała sofa - wszystko zniknęło. Zapasy przepadły. Deski podłogowe zniknęły. Sofa zniknęła. Salon zniknął.

Houdini i ja spacerujemy wśród zgliszcz, czując się jak na Księżycu. Nienaruszony pozostał tylko fundament; dzięki temu jestem w stanie mniej więcej ustalić, gdzie znajdowały się poszczególne pomieszczenia: salon, łazienka, kuchnia. Widzę rozpadające się płyty gipsowe, który służyły za ściany. Houdini gmera kufą w rumowisku i w pewnym momencie podnosi łeb, trzymając w zaciśniętych szczękach nogę stołową, jakby to była piszczel. Znajduję swój egzemplarz „Dochodzenia kryminalnego” Farleya i Leonarda - nadwęglony, ale wciąż rozpoznawalny po kolorze okładki.



Klawisze pianina szczerzą się niczym zęby. Rozrzucone polaroidy przypominają przeszłość: moi rodzice na jakimś świątecznym przyjęciu, tata w wianku z jemioły, mama z ustami przy jego policzku.

Na poziomie czysto intelektualnym zdaję sobie sprawę, że to katastrofa. Ostateczne odliczanie już się rozpoczęło; wszystkie prowizoryczne instytucje - pseudorestauracje, sklepy działające na zasadzie handlu wymiennego, wspólnoty mieszkańców mające udawać normalność - rozpadają się i odchodzą w przeszłość. Od tej pory każdy musi zadbać o siebie, a tu proszę... Zostałem bez domu, bez pistoletu, bez niczego, co by należało do mnie. Jedną rękę mam niesprawną. Noszę pożyczoną koszulę i rozdarte spodnie od garnituru.

Na poziomie emocjonalnym jestem jak kamień. Czuję odrętwienie i chłód. Sam jestem niczym wypalony dom.

Obiecałem Marcie, że nie ustane w wysiłkach, dopóki nie odnajdę jej męża i nie sprowadzę go do domu. Obiecałem, że to w zasięgu moich możliwości.

Tymczasem mężczyzna, którego kochała, nie żyje. Ona zaś - jeśli nawet przetrwała - właśnie gdzieś umiera w samotności, a jedynym człowiekiem, który zna miejsce jej pobytu, jest inny nieżywy mężczyzna. Świat się rozpada, staje się śmiercią, znika na moich oczach.

Usadziłem ją przy stole kuchennym, cieszyłem się, że znów ją widzę po tylu latach, popatrzyłem jej prosto w zmartwioną twarz i złożyłem obietnicę.

Houdini biega w kółko, węszy, chwyta w pysk kawałki gipsu i zaraz je upuszcza poznaczone dziurkami po ostrych zębach.

Od strony centrum roztacza się krwawa piękna poświata. Coś na podobieństwo abażuru chroniącego silną żarówkę. Dopiero po dłuższej chwili dociera do mnie, że to kopuła Kapitolu stanu New Hampshire i że ona także stoi w ogniu.

Trudno mi ogarnąć praktyczne aspekty położenia, w którym się znalazłem. Potrzebna mi pomoc, ale kto może mi jej udzielić? Doktor Fenton? Culverson?

Opadam na ziemię, tam gdzie stoję. Krzyżuję nogi, a Houdini waruje u mojego boku. Dyszy, ale zachowuje czujność. Podnoszę z ziemi jedno ze zdjęć – przedstawia Nico i mnie, obejmujemy się po uroczystości rozdania świadectw maturalnych jej rocznika. Na fotografii mam poważny, dorosły wyraz twarzy, w głębi ducha jestem z siebie dumny, że udało mi się dopilnować, aby zrobiła maturę. Dla odmiany Nico szczerzy się w uśmiechu od ucha do ucha, bo oczywiście jest na haju.

Nie powinienem był wysiadać z tamtego helikoptera. Teraz już byłbym w Idaho albo Illinois, przejmowałbym tę ekipę. Ratowałbym świat.

Myśl o Nico mnie rozwala; nawet przed samym sobą nie jestem w stanie zgrywać cynika. Ja jestem tutaj, a ona tam. Co ja najlepszego zrobiłem? Co ja zrobiłem? Powinienem być zostać w helikopterze. Źle uczyniłem, puszczając ją samą. Siedząc w kraterze po moim niegdysiejszym domu, zastanawiam się, jakie mam opcje. Mogę nazywać siostrę

idiotką za to, że postanowiła skorzystać z jednej na milion szansy na ocalenie, podczas gdy ja pogodziłem się ze stuprocentową pewnością śmierci.

Pisk opon i trzaśnięcie drzwi samochodowych, dawne i zarazem znajome odgłosy wyrywają mnie z zamyślenia. Obracam gwałtownie głowę, a Houdini przybiera postawę bojową i zaczyna szczekać. Po przekątnej od mojego frontowego ogródka stoi zaparkowany chevrolet impala, typowy wóz służbowy komendy policji w Concord. Promień księżycy tańczy na jego masce.

Słyszę czyjeś kroki. Podnoszę się do pozycji stojącej. Houdini szczeka głośniejsze.

- Chodźmy, Henry.

To Trisha McConnell. Gapię się na nią z otwartymi ustami, a ona demonstruje uśmiech niesforne dziecka.

- Co ty tutaj robisz?

- Ratuję ci życie, chudy. - Funkcjonariuszka McConnell z jakiegoś powodu bardziej przypomina policjantkę, kiedy jest bez munduru; w niebieskich džinsach i czarnym T-shircie wydaje się niska, lecz twarda. - Co ci się stało w rękę?

- Och... - Poruszam ramieniem na temblaku. Przenika mnie ból. - Nic takiego. Ale poważnie, co tutaj robisz?

- Opowiem ci w samochodzie. Chodźmy.

Patrzę na Trishę, a potem zerkam ku centrum, ku płomieniom i szaleństwu. W powietrzu czuć silną woń dymu.

- Nie powinnaś być na patrolu?

- Nikt niczego nie patroluje. Dostaliśmy rozkaz nie

interweniować, nie narażać zasobów ludzkich wydziału. To gównem ma się samo wypalić. Chłopcy siedzą na School Street, piją piwo i przeglądają świerszczyki.

- Czemu nie ma cię z nimi?

- Nie lubię świerszczyków. - Wybuch śmiechem. McConnell jest podekscytowana, tyle widzę wyraźnie. Jest w swoim żywiole, gotowa do akcji. - Zdezercerowałam, detektywice Palace. I nie zamierzam wracać. Chevroleta pożyczyłam sobie od Departamentu Sprawiedliwości. Spływam stąd, a ty razem ze mną.

- Dlaczego właśnie ja?

Trisha McConnell uśmiecha się zagadkowo.

- No chodźże już, głupolu.

Samochód stoi na jałowym biegu, popyrkując. Z jego rury wydechowej wydobywają się spaliny prawdziwej benzyny bezołowiowej.

Chevrolet impala to wspaniała maszyna, naprawdę; ma czystą linię, jest wydajny - ideał wozu policyjnego. Houdini przy nim siedzi, zadziera łeb i przygląda się przyciemnionym szybom. Głównie gorączkowo, staram się przetrwać wszystkie nowe informacje. Kapitol płonie w oddali; jeszcze jeden fajerwerk, który rozświetla nasz mały wycinek horyzontu.

- Idziemy, Palace - mówi McConnell od drzwi kierowcy. - Największe zamieszanie panuje przy zbiorniku, ale my jedziemy dokładnie w przeciwnym kierunku. - Grzmoci w maskę samochodu. - Gotowy do drogi?

- Tak - odpowiadam. - Pozwól tylko, że... - Rozglądam się. Nie mam walizki. Nie mam ubrań do spakowania. Ktoś odebrał mi dom. Owijam się szczelniej koszulą Culversona i ruszam w stronę chevroleta. - Nie, nic. Możemy jechać.

Miejsce pasażera jest zawałone walizkami i kartonami z jedzeniem i butelkami Gatorade. Zajmuję więc miejsce z tyłu, obok dzieci Trishy, Houdini lokuje się między nami.

- Cześć - zwracam się do Kelli i Robbiego, gdy ich matka dodaje gazu i z piskiem opon wyjeżdża na Clinton Road. Robbie trzyma kciuk w buzi, tuląc obszarpanego niebieskiego misia.

Kelli sprawia wrażenie poważnej, ale też przestraszonej.

- Co to za rasa? - pyta mnie.

- Bichon frisé - odpowiadam. - Ostrzejsza z niego sztuka, niż się wydaje.

- Naprawdę? - dziwi się dziewczynka. - Mnie tam wydaje się całkiem ostry.

\* \* \*

McConnell jedzie wzdłuż Clinton Road, kierując się w stronę przeciwną niż centrum, ku autostradzie. Kiedy Houdini pozwala się podrapać Robbiemu za uchem, nachylam się do przodu i z twarzą przy kracie pytam Trishę, dokąd właściwie jedziemy.

- Do posiadłości.

- Do jakiej posiadłości?

- Mówiłam ci, Henry. - Trisha się śmieje. - Ja i paru innych, tych zasiedziałyach... Michelson, Capshaw, Rodriguez... zaplanowaliśmy to już parę miesięcy wcześniej.

- Aha - bąkam. - Rozumiem.

- Zachodnie Massachusetts. Małe miasteczko o nazwie Furman. Niedaleko granicy ze stanem Nowy Jork. Wszystko tam mamy przygotowane. Zapasy wody, zapasy jedzenia. Olej spożywczy. Nie zapomnieliśmy o ostrożności. - Zerka w lusterko wsteczne i podnosi głos: - Są tam też dzieci, inne dzieci. Na przykład Rogers ma chłopców bliźniaków.

- To głupki - kwituje Kelli, na co Trisha rzuca:

- Nie wyrażaj się, kochanie.

Dodaje gazu, teraz jedziemy już z prędkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę, co nie znaczy, że mniej pewnie. Trisha chce wydostać się z miasta zaułkami.

- Myślałem, że to tylko żarty. Posiadłości na wsi. I w ogóle...

- Ja nigdy nie żartuję.

McConnell uśmiecha się chytrze, przelotnie, z dumą, nie przestając mknąć po autostradzie numer jeden. Brązowa wstęga rzeki Merrimack wije się po naszej lewej. Cholera, myślę sobie, o cholera... I rozpieram się wygodniej na siedzeniu.

Zachodnie Massachusetts.

Kelli prosi o butelkę wody, żeby Houdini mógł się napić. Trisha przepycha dwie butelki przez otwór w kracie, aczkolwiek krzywi się przy tym lekko z niepokojem -

w dzisiejszych czasach nie ma niczego cenniejszego od wody. Dziękuję w imieniu psa, a ona odpowiada:

- Nie ma sprawy. Drugą wypij ty, wyglądasz jak strach na wróble.

Trisha McConnell da się lubić, zawsze to mówiłem.

Księżyc świeci do środka wozu przez przyciemnioną szybę, kiedy tak sobie skaczemy na wybojach nieremontowanych dróg, przez mostek, ku skrzyżowaniu z Osiemdziesiątą Dziewiątą Ulicą, cały czas mając wokół siebie płonące miasto. W pewnym momencie Robbie zasypia. Z rykiem silnika mijamy długą kolumnę ludzi ciągnącą się na półtorej przecznicy; każdy dźwiga plecak albo worek marynarski, ciągnie za sobą walizkę na kółkach - wspólnoty mieszkańców udają się na dobrowolne wygnanie, kierując się poza miasto, Bóg jednak raczy wiedzieć, gdzie dokładnie.

Mimo wszystko odchyłam się na oparcie i pozwalam, aby zmęczenie wzięło nade mną górę. Houdini leży bezpiecznie na kolanach Kelli tuż obok, powieki mi więc trzepoczą i opadają; czuję, jak ogarnia mnie błoga magia nocnej przejażdżki samochodem.

Przeszukuję umysł w poszukiwaniu pewnego słowa.

Zapytałem McConnell: „Co ty tutaj robisz?“, a ona odparła: „Ratuję ci życie, chudy”.

Jakiego słowa szukam?

Siedziałem na zgliszczach swego domu, a ona przyjechała chevroletem i zaproponowała mi - właśnie, co mi zaproponowała?

„Powiedz mu, żeby wrócił do domu”, rzekła Martha nagłoco i błagalnie. „Powiedz mu, że od tego zależy jego ocalenie”.

Otwieram gwałtownie oczy.

Kelli i Houdini pochrapiują cicho; jesteśmy już na dalekich przedmieściach, zbliżamy się do rogatek i do zjazdu na autostradę prowadzącą na zachód.

„Ocalenie”.

Wszyscy ci ludzie pokonujący rozszalałe morza, zabijani bądź wyławiani w sieciach, dążą do nieznanym brzegów w nadziei na... na to samo, czego moja siostra szuka po drugiej stronie kontynentu w ukradzionym helikopterze.

Ocalenie. Ale nie jakieś mgliste i podniosłe nie wiadomo kiedy, nie majestatyczne w niebiesiech, tylko tu i teraz.

Nie mam swojego brulionu. Nie mam nawet ołówka. Zaciskam powieki i usiłuję rozpracować chronologię w myślach. Przekonać się, czy dobrze rozumiuję.

Sierżant Piorun dostał tę głupią broszurę w zeszłym tygodniu i także w zeszłym tygodniu przehandlował cały swój doczesny dobytek, jednakże dzień ewakuacji jest dzisiaj – Culverson widział go dziś, jak na ganku czeka smutny i samotny. Tak, to było dziś!

- Trisha?

- No, co tam?

Cortez zobaczył Marthę, jak czeka na kogoś na ganku – powiedzmy o wpół do dziewiątej rano. Jeremy pojawił się tam o dziewiątej lub dziesiątej, zdesperowany i podekscytowany, gotów wyznać jej miłość, ale Marthy już nie było. Od dawna.



- Trisha, musimy się na chwilę zatrzymać.
- Że co?
- Albo... po prostu możesz mnie wysadzić.
- Henry!
- Dogonię was. Podaj mi adres. Muszę się dostać do pizzerii.
- Do pizzerii?!
- Tak, do Rocky's. Koło Steeplegate Mall. McConnell nawet nie zwolniła.
- Tylko jeden krótki postój - nalegam, pochylając się do kraty niczym skruszony przestępca, niczym gorliwy penitent.
- Proszę. To zajmie tylko chwilę.

## 7.

McConnell powarkuje, ale idzie na całość, włącza światła i syrenę, po czym zamaszyście zawraca i z prędkością tysiąca mil na godzinę zabiera nas do Rocky's Rock 'n' Bowl obok galerii. Na skrzyżowaniu Loudon Road i Herndon Street musi wjechać na chodnik, aby ominąć gęsty tłum okupujący jezdnię. Połowa ludzi ma wielkie latarki, większość jest uzbrojona w broń ręczną, a wszyscy skupiają się wokół zgromadzonych w kupie wózków sklepowych.

Jakiś człowiek w skórzanej kurtce i kasku motocyklowym, wspiąwszy się wysoko na słup latarni, wykrzykuje do nich polecenia albo ostrzeżenia. Gdy go mijamy, przyglądam mu się uważniej i rozpoznaję w nim dentystę ze swego dzieciństwa.

Zatrzymujemy się z piskiem hamulców pod pizzerią. Natychmiast dostrzegam dwa słupy ognia bijące z różnych skrzydeł Steeplegate Mall.

- Minuty - cedzi przez zęby McConnell - zostały nam tylko minuty. Zaraz cała ta dzielnica stanie w płomieniach.

- Wiem.

Kelli się budzi i rozgląda, ale ja już wyskakuję z samochodu.

- Mówię poważnie, Trisha! - wołam. - Jedź, jeśli musisz.

- Pojadę - odpowiada krzykiem, jej głos goni mnie w drodze do pizzerii. - Zobaczysz, że pojadę.

Drzwi są zamknięte i zabezpieczone łańcuchem. Zastanawiam się, czy się spóźniłem, ale nie wydaje mi się. Martha i jej ojciec Rocky nadal powinni tam być. Miasto płonie, a oni się kulą, czekając jak Sierżant Piorun na ocalenie, które nie nadchodzi. Kulą się na środku tego ogromnego pomieszczenia, gigantycznej przestrzeni ogołoconej ze wszystkiego: z piecyka na drewno, sprzętu do paintballa, ciężkich urządzeń zawierających tony miedzi, hektolitry chłodziwa i butle z gazem...

Dobijam się do drzwi ponownie, kopię w szybę. Wyobrażam sobie Marthę i Rocky'ego siedzących w środku, odchodzących od zmysłów z przerażenia. Tkwią tam od dzisiejszego ranka, odkąd Rocky przyjechał po córkę, bo dzisiaj jest ten dzień, koniec z czekaniem na męża uciekiniera. Cortez miał pecha, że pojawił się akurat wtedy, gdy przyjechał Rocky, któremu się śpieszyło i który ani myślał dyskutować o swoich planach. Potrzebna mu była tylko córka, i to natychmiast. Bo dzisiaj był ten dzień, nie miał czasu do stracenia.

Ruszam w lewo, wzdłuż ściany budynku, od czasu do czasu bębniąc w szybę okienną wnętrzem zdrowej ręki. Wiem, że drzwi nie rozbiję – to grube pleksi. Jeśli Jeremy zatrzymał się tutaj po wizycie w domu Marthy, a założę się, że to zrobił, znów spudłował, ponieważ jego ukochana także stąd zdążyła zniknąć. Nic dziwnego, że wrócił do domu i nażarł się prochów.

Ale oni są tutaj. I czekają. Czuję to. Mimo że świat wokół

nich się rozpada, oni nadal czekają na ludzi, którzy obiecali, że się zjawią.

- Hej! - wołam, bębniąc w okno. - Hej!

Oślaniam oczy i staram się zajrzeć przez przyciemnione szkło, ale nic nie widzę, może jednak nikogo tam nie ma, może jednak się pomyliłem. Nie znajdę Marthy, a tylko niepotrzebnie ryzykuję własne życie, a także życie Trishy i jej dwojga dzieci. Oglądam się przez ramię i widzę, że McConnell miota gromy z fotela kierowcy. Mam nadzieję, że to zrobi, mam nadzieję, że odjedzie, że zabierze swoje dzieci i mojego psa, a mnie porzuci, aby odnaleźć bezpieczeństwo.

Jest gorąco, cholernie gorąco, chociaż to środek nocy. Czarnej letniej nocy podświetlonej pomarańczem i żółcią płomieni.

Raz jeszcze wołam ich po imieniu - „Rocky! Martha!” - ale widać musi być jakieś hasło, jakiś szybolet, którego wyuczyli się na pamięć za poduszczeniem wygadane go komiwojażera ze Świata Przyszłości i który spodziewają się usłyszeć, gdy mili mężczyźni z konwoju ratunkowego podjadą w swoich czarnych wozach i czarnych kombinezonach. Odwracam się. McConnell nadal tam jest. Dźgam palcem powietrze i wykonuję nim ruch wirowy, co powinno być dla niej zrozumiałe w języku migowym gliniarzy, ale na wypadek gdyby mnie nie widziała albo jednak nie zrozumiała, drę się:

- Kogut! Włącz koguta, Trisha!

McConnell robi, o co proszę. Na dachu chevroleta rozbłyskują klasyczne niebiesko-czerwone światła. To

niebezpieczna sztuczka, ale chcę mieć Marthę tutaj, na zewnątrz. Musi do mnie wyjść, a raczej nie odróżni wozu patrolowego od wozu służbowego Departamentu Sprawiedliwości, na pewno nie z wnętrza zaciemnionej restauracji. Okazuje się, że mam rację. Martha widzi to, co chce zobaczyć, zupełnie jak w swoim śnie. Drzwi otwierają się z trzaskiem i moja przyjaciółka biegnie w stronę chevroleta.

- Martha!

Nie zatrzymuje się, mija mnie pędem, dobiega do wozu i zagląda do środka przez szyby. Widzę, jak McConnell i Kelli z tyłu instynktownie się cofają przed zdesperowanym widmem. Gdy Martha pojmuję, że w środku nie ma Bretta, odwraca się do wychodzącego właśnie z pizzerii ciężkim krokiem Rocky'ego Milana, który nie ma na sobie fartucha, tylko dres. Na jego łysym czole perlą się krople potu.

Martha biegnie do mnie, rozglądając się na boki; policzki ma zaczerwienione, oczy rozszerzone potrzebą.

- Gdzie... gdzie on jest?

- Martho...

- Gdzie on jest?! - wykrzykuje, rzucając się w moją stronę przez parking.

Nie wiem, co powiedzieć, nie wiem, ile tej historii zasługuje na opowiedzenie. Chłopak się w tobie kochał. Podstępem skłonił twojego męża do odejścia. Brett udał się na krucjatę szaleńca. Zginął od kuli, ostatnie, co widział, to pole przy plaży.

- Gdzie on jest?

- Martho, wracaj do środka - odzywa się Rocky. - Na zewnątrz jest niebezpiecznie.

- To prawda - przytakuje. - Pora się zbierać.

Rocky zerka na mnie obojętnym wzrokiem. Chyba mnie nie poznaje. Skupia się na następnym etapie swego życia, oczekuje spełnienia obietnicy ucieczki, którą mu złożono, ratunku dla siebie, córki i zięcia, gdyby tylko ów zięć tak nagle nie zniknął.

Ciekawi mnie, czy poprosił ludzi ze Świata Przyszłości o dopuszczenie także Bretta. „Ej, czy on też może się załapać? Moja córka bez niego nigdzie się nie wybierze”. Zastanawiam się, czy komiwojażerzy utyskiwali najpierw, a potem niechętnie się zgodzili, wiedząc, że niczego nie tracą, przecież handlowali nieistniejącymi miejscami w nieistniejącym podziemnym bunkrze.

- Henry, gdzie jest Brett? - pyta mnie nieszczęsna Martha.

Odpowiadam po prostu:

- Nie żyje.

Martha pada na ziemię na kolana, chowa twarz w dłoniach i wyje. Z jej gardła dobywa się jedna przeciągła niezrozumiała sylaba. Dla Marthy Milano świat skończył się tu i teraz.

- Skarbie? - Rocky nie stracił głowy, podnosi córkę z ziemi pod pachy, obejmuje ją potężnymi ramionami. - Już dobrze. Będziemy go opłakiwać, ale najpierw musimy zrealizować nasz plan. Chodźmy. Pora na nas.

Ciągnie ją w kierunku budynku, który lada moment stanie w płomieniach. McConnell trąbi. Ja jednak nie mogę jeszcze odejść. Nie mogę jej tutaj tak zostawić. Nie mogę pozwolić, by umarła.

- Martha! - wołam. - Miałaś rację. Nie było innej kobiety. On tylko... chciał wypełnić wolę Boga.

Martha wyrywa się ojcu. Spogląda na mnie, potem patrzy na niebo, może na asteroidę, a może na Boga.

- Naprawdę? - pyta.

- Naprawdę - potwierdzam i robię krok w jej stronę, ale Rocky znowu ją szarpie.

- Dostyc tego - rzuca opryskliwie. - Musimy wrócić do środka i czekać na nich, aż przyjadą.

- Nie przyjadą - zwracam się do niego. - Nikt nie przyjedzie.

- Co? Co ty niby wiesz? - Rocky robi krok w moją stronę, żyły występują mu na czoło.

Lecz rozumie - musi rozumieć, na pewno rozumie jakąś część siebie. Którąkolwiek godzinę mu podali jako czas pojawienia się konwoju, pora ta bez wątpienia dawno minęła. Nawet stary Sierżant Piorun przyznał to sam przed sobą wiele godzin temu.

Odzywam się głosem spokojnym, równym, autorytarnym - tyleż przez wzgląd na Marthę, co na jej ojca:

- Nie ma czegoś takiego jak Świat Przyszłości. Padliście ofiarą oszustwa. Nikt po was nie przyjedzie.

- Bzdura - oponuje Rocky, uderzając mnie w pierś, aż

chyboczę się na piętach. - Kosmiczna bzdura. - Odwraca się do Marthy i posyła jej niepewny uśmiech. - Nie martw się, skarbie. Zrobiłem wszystko, o co prosili ci ludzie. Wszystko.

Za naszymi plecami rozlega się przeciągły hurgot. Oczywiście wszyscy się odwracamy - to dach Steeplegate Mall zapadł się pod własnym ciężarem. McConnell z całych sił naciska klakson i trzyma przez dłuższą chwilę. Okręcam się na pięcie i wołam:

- Idę, już idę! - Wyciągam do Marthy zdrową rękę. - Martho?

- Nie - odpowiada za nią Rocky. - Przyjadą po nas. Przyjadą, kurwa. Zawarliśmy umowę.

Umowa. Tego będzie się trzymał do samego końca. Nie sposób nim wstrząsnąć. Nie sposób przemówić mu do rozsądku. Dlaczego? Dlatego, że w tych okolicznościach to jest rozsądne. Nic więcej ludziom nie pozostało. Zresztą helikopter przyleciał po Nico, nie mogę temu zaprzeczyć. Może nawet Jesus Man poszedł do Jezusa. Nie da się wykluczyć, że Sierżant Piorun czekał na inny konwój, który może być już w drodze, tuż za zakrętem. Oszukano ich lub nie. Albowiem nic, nic, nic nie jest już pewne.

- Ty zostań - zwracam się do Rocky'ego. - Ale pozwól Marcie pojechać ze mną.

Kręci przecząco głową, zaczyna coś mówić, lecz Martha mu przerywa. Nagle jest opanowana, spokojna, rozsądna jak nigdy.

- Pojechać? - podchwytuje z ciekawością moja przyjaciółka.



- A dokąd?

Na to pytanie nie znam odpowiedzi. Kobieta czeka na płonącym parkingu na wymagany konwój, a ja nie mogę jej zaproponować nic lepszego. Posiadłość na wsi, urządzona przez Trishę i innych gliniarzy, nie należy do mnie. Mój dom zamienił się w ruinę. Na tym świecie nie zostało wiele bezpiecznych miejsc.

- Dziękuję, Henry - mówi Martha Milano, pochyła się i całuje mnie delikatnie, pozostawiając na moim policzku ledwie zauważalny ślad błyszczyka do warg.

Unoszę zdrową rękę, aby dotknąć tego miejsca dwoma palcami. W tym czasie Martha zdążyła się już oddalić, prowadzona stanowczo przez ojca do pizzerii, gdzie będą dalej czekać na sądny dzień.

- Strasznie cię przepraszam, Trisho - mówię, wskazując z powrotem do wozu. - Możemy już jechać.

# Epilog

Niedziela, 12 sierpnia

Rektascensja 19 03 39,1

Deklinacja -68 41 32

Elongacja 122,0

Delta 0,677 j.a.

Wszyscy słyszymy to równocześnie. Jest środek nocy, ale dom nagle ożywa: gliniarze gramolą się z łóżek albo zrywają z materacy, zatykają pistolety za pasek dresu; gliniarze zagląдают do pokoi pełnych dzieci i szepczą: „Nie ruszajcie się stąd, szkraby” i: „Nic się nie dzieje”; gliniarze wysypują się na zewnątrz, aby udzielić wsparcia funkcjonariuszowi Melwynowi i funkcjonariuszowi Kelly’emu, którzy pełnią tej nocy służbę wartowniczą na ganku i dzięki temu przejmują dowodzenie, jak ustaliliśmy między sobą.

- Trzy ostre szczęknięcia - melduje Melwyn, trzymając berettę pionowo przy piersi. - Na terenie posiadłości albo kawałek dalej.

- Potrzebny nam zespół do zbadania południowego trawnika - obwieszcza Kelly.

Wszyscy potakują skinieniami, wyciągają broń. Ja mam na wyposażeniu sig-sauera, ten sam pistolet, który nosiłem przy sobie jako krawężnik. Rozdzielamy się na grupki, gotowi w każdej chwili ruszyć przed siebie, gdy wtem odgłos rozlega się ponownie: głośny szczęk, coś jak zgrzyt metalu o metal. Sztywniejemy jak jeden mąż.

- Niedźwiedź - ocenia Trisha McConnell.

- Co? - pyta szeptem Melwyn.

- Patrzcie. Niedźwiedź.

Oczy wszystkich zwracają się we wskazanym kierunku. Grupa policjantów stoi na ganku domu w lasach zachodniego Massachusetts o drugiej, może o trzeciej w nocy i zalana adrenaliną po uszy przygląda się zwalistej sylwetce

niedźwiedzia brunatnego, który łapami dobiera się do drzwi szopy. To tylko jeden z kilku odrębnych budynków na terenie posiadłości. Trzymamy tam bloki lodu, beczki z cukrem trzcinowym, sól, ziarno owsa, pudełka tabletek jodyny, wybielacz, zapasy amunicji i kilka funtów materiałów wybuchowych. Truchlejemy na moment pod wielkim wrażeniem majestatyczności zwierzęcia. W końcu niedźwiedź daje spokój szopie i rusza na przełaj przez trawnik, kierując się ku gęstym zaroślom.

- Jaki on śliczny - szepcze Trisha.

- O tak - zgadzam się z nią.

- Powinniśmy go zastrzelić - stwierdza Capshaw.

Nikt się nie sprzeciwia. Capshaw - mężczyzna o twarzy jak księżyc w pełni i regulaminowej fryzurze na jeża - zstępuje ze schodów. W blasku księżycy mierzy do ofiary i powala ją dwoma szybkimi strzałami. Bam, bam.

Ochotnicy mają się zająć oskórowaniem i poćwiartowaniem zdobyczy, a reszta kładzie się z powrotem spać.

\* \* \*

Po wielu dyskusjach i kłótniach dzieci postanowiły, że przerobiony ze stodoły duży wiejski dom w Furman, niemal na granicy ze stanem Nowy Jork, będzie nosił po prostu nazwę Police House. Najmłodsze spędziły całe popołudnie w części wydzielonej na zajęcia artystyczne i rzemieślnicze, mozoląc się nad odpowiednim szyldem, na którym widnieje napis, ale też złote odznaki, tęcze, pacyfy i srebrne gwiazdki.

Z kolei dorośli - ku konsternacji dzieciarni - spędzili trochę czasu na zawziętej debacie, czy to aby roztropne wieszać taką rzucającą się w oczy reklamę nad wejściem czegoś, co de facto ma służyć jako kryjówka. Ja byłem wśród największych sceptyków tego pomysłu. Za to Trisha stanęła po stronie dzieci:

- I tak trudno nas nie zauważyć, prawda?

W sumie jest nas dziewiętnaścioro dorosłych i trzynaścioro dzieci, wszystko policjanci i policjantki, partnerzy tychże oraz ich potomkowie, a do tego troje członków personelu pomocniczego, w tym Rod Duncan, posepny, lecz uwielbiany przez wszystkich były kryminalista, który dwadzieścia dziewięć lat przepracował jako woźny na komendzie policji w Concord. Dzieci są w wieku od czterech do piętnastu lat. Poza Houdinim mamy tu więcej zwierzaków domowych: dwa koty, jednego królika i złotą rybkę, którą z dużym poświęceniem przetransportowali razem z kulistym akwarium dwaj bliźniacy funkcjonariusza Rogersa. Musieli - przy prędkości dziewięćdziesięciu mil na godzinę na dystansie dwustu czterdziestu mil - trzymać akwarium na przemian na własnych kolanach. Jest jeszcze Alexander, potężny pies pasterski będący własnością funkcjonariuszki Rhondy Carstairs; to powłóczący nogami staruszek o wiecznie załzawionych oczach i przytępionym wzroku, który - choć jest z dziesięć razy większy od Houdiniego - chodzi krok w krok za moim psem niczym adiutant za dowódcą.

Mimo że dom jest przestronny i nie brak mu przybudówek, mamy ograniczoną powierzchnię sypialną. W którymś momencie Trisha i ja podjęliśmy bez większych ceregieli decyzję, że będziemy dzielić sypialnię. Zapytałem, czy jej zdaniem powinniśmy porozmawiać na ten temat z Robbiem i Kelli, oferując na przykład jakieś delikatne wyjaśnienie nowego stanu rzeczy, jednakże Trisha powiedziała, że nie trzeba.

- Lubię cię - oświadczyła. - Będą szczęśliwi.

- A ty jesteś szczęśliwa? - zapytałem ją.

- No kurde. - Wsparła się na moim torsie. - Szczęśliwsza już chyba nie będę. Jak tam twoja ręka?

- Czuję ją. Jak się dźgnę, boli.

- No to przestań się dźgać.

To było w sobotni poranek tydzień temu. Staliśmy na ganku i przypatrywaliśmy się, jak Kelli z dwojgiem innych dzieci bawi się w paradę. Houdini kręcił im się pod nogami, jakby był agentem Secret Service. Alexander oczywiście nie odstępował go ani na krok.

\* \* \*

Capshaw i ja pełnimy wartę. Mój towarzysz udał się do lasku na granicy posiadłości, aby ulżyć sobie pod drzewem. Wtem w oddali pojawia się wolno poruszający się pojazd. Przyćmione światła podskakują jakieś sto jardów ode mnie, w dole alei, która prowadzi pod sam dom.

Wstaję. Houdini idzie w moje ślady, zadziera ogon pod ostrym kątem, pysk wyciąga w stronę drogi i dobiegającego od jej strony dziwnego hałasu. Klik-klak, klik-klak – odgłosu kopyt uderzających o ziemię nie da się pomylić z niczym innym.

Houdini szczeka.

- Wiem - uspokajam go. - Wiem.

Z mroku wynurza się – zupełnie jak w jakiejś baśni – powóz ciągniony przez konia. Ośki jego kół skrzypią, gdy żwirową aleją zmierza w stronę ganek, na którym stoję. Na miejscu woźnicy siedzi uśmiechnięty Cortez w cylindrze. Lejce cętkowanej klaczy trzyma zadziwiająco lekką ręką.

- O, witaj – odzywa się, ściągając lejce i uchylając cylindra. Włosy ma uczesane w luźny kucyk, zupełnie jak Thomas Jefferson.

Nie opuszczam broni.

- Jak mnie tu odnalazłeś?

- Nie wolisz zapytać, skąd wytrzasnąłem konia i powóz?

- Chcę wiedzieć, jak mnie odnalazłeś.

- No dobrze. - Cortez zeskakuje z kozła i rzuca cylinder na ganek, tak jakby wrócił do domu i bardzo się z tego cieszył. - Ale wierz mi, historia o koniu jest lepsza.

Z westchnieniem zaczyna opowieść, po czym gdy kończy, proszę o powtórzenie wszystkiego od początku. Jak się okazuje, pewien młody funkcjonariusz nazwiskiem Martin Porter był wtajemniczony w plany moich towarzyszy, tyle że rozmyślił się w ostatniej chwili, gdyż poznał w Concord

dziewczynę, która chciała się wybrać do Atlantic City, ponieważ usłyszała, że ma się tam odbyć impreza z okazji ostatecznego odliczania. Cortez znał Portera stąd, że dostał od niego metamfetaminę, którą Porter podwędził z policyjnego magazynu, zanim została zewidencjonowana. Cortez sprzedawał ją w jego imieniu, dzieląc się zyskiem fifty-fifty. Jego odbiorcami byli plażowi narkomani z Seacost.

- W każdym razie w zeszłym tygodniu posprzeczałem się trochę z Ellen... - Cortez macha lewą dłonią, a ja pomimo słabego światła gankowych pochodni dostrzegam, że koniuszek palca wskazującego ma odstrzelony. - Pomyśleć, że miała pod swoją pieczę cały nasz Office Depot. Od Portera usłyszałem o tym szalonym pomysle ukrycia się w lasach zachodniego Massachusetts. Jak usłyszałem, że to kryjówka tylko dla policjantów, pomyślałem sobie: ejże, przecież ja znam niejednego policjanta!

Właśnie staram się zareagować na którąś część opowieści Corteza, gdy z lasu wraca Capshaw i robi od razu dramatyczne wejście, celując w niespodziewanego gościa.

- Ręce do góry! - warczy.

- Przecież trzymam je w górze.

- Coś ty za jeden, do kurwy nędzy?

- Capshaw, wszystko gra - wtrącam się. - Ja go znam.

- Nie pytałem, czy go znasz, tylko co to za jeden.

Capshaw jest cały podniecony, gotów dokonać aresztowania, zbudować więzienie i wtrącić do niego ludzi. Twarz ma poczerwieniałą, wzrok chmurny, a brew ściągniętą



pod fryzurą na jeża. Napis na jego T-shircie głosi: *Señor Frog's Spring Break Fiesta Canun 1997*.

- Hej, wiesz, co powinieneś zrobić? - podrzuca mu spokojnie Cortez. - Przeszukać powóz.

Capshaw zerka na mnie, a ja tylko wzruszam ramionami. Schodzi więc ciężko po stopniach i zaczyna przekopywać powóz, podczas gdy klacz potrząsa łbem i drży. Nie przestaję mierzyć do Corteza z sig-sauera, ale on jakby nigdy nic opiera się o balustradę ganku plecami - chociaż ręce dalej trzyma w górze - i zaczyna nucić. „Golden years” Davida Bowiego.

- Ubrania, rzeczy osobiste - zgłasza Capshaw, zaciągając suwak czarnej kosmetyczki, którą moment później ciska na ziemię.

- Jest tam też ecstasy - informuje mnie konfidencjonalnie Cortez. - Przegapił ecstasy.

- Olej spożywczy! - wykrzykuje Capshaw, wyciągając dwie wielkie butle. - I pudło pełne czasopism.

- To głównie pornografia.

- Noże - melduje dalej Capshaw. - Więcej noży.

Cortez zerka na mnie i mruga.

- Zaraz to znajdzie, nie przejmuj się.

Nagle rozlega się grzechot, jakby żetonów w kasynie. Albo ziaren. O Boże. Grzechot ziaren ocierających się o siebie w foliowej torebce. Serce podchodzi mi do gardła. Cortez się szczyrzy. Capshaw przygląda się z niedowierzaniem, przerzucając woreczek z jednej ręki do drugiej, zupełnie

jakby próbował ocenić jego wagę na podobieństwo herszta piratów.

- Kawa - stwierdza, gapiąc się otwarcie na Corteza, który w tym momencie opuszcza rękę.

- Wiele funtów kawy. Chcecie wiedzieć, gdzie ją znalazłem? To dopiero historia...

\* \* \*

W miarę jak zbliżamy się do końca, w większość dni raduje mnie po prostu istnienie, czekanie, towarzystwo Trishy i reszty, sumienne wypełnianie mojej porcji obowiązków. Zazwyczaj udaje mi się koncentrować na chwili obecnej bądź też na najbliższej przyszłości, byle nie wybiegać myślą zbyt daleko w przód ani zbyt daleko wstecz.

Trisha i ja na ogół wstajemy wcześnie, tak jak dziś. Jest rano, a my pijemy kawę w kuchni i wyglądamy przez okno na trawnik, na szopę i na las, który przesłania nam świat. Zaczyna się jesień. W zachodnim Massachusetts oznacza to, że zielone liście nabierają na brzegach złotej barwy. Trisha siedzi przy stole naprzeciwko mnie i opowiada o irytującej rozmowie, którą minionego dnia przeprowadziła z funkcjonariuszem Michelsonem.

- Mówię poważnie, miałam ochotę udusić tego zjeba - mówi. - Bo on twierdzi, że gdyby teraz ta cała asteroida nie uderzyła w Ziemię... gdyby doszło do jakiegoś nieprzewidzianego zdarzenia, takiego jak... sama nie wiem... gdyby na przykład ją rozbili na atomy albo gdyby zmienili jej

kurs, albo gdyby ludzie siłą swojej wiary zdołali ją zniszczyć modlitwą... to wtedy, zdaniem Michelsona znaczy się, byłoby to nawet gorsze od impaktu. Znasz go, to wiesz, że z nim nigdy nic nie wiadomo, wiecznie ma na twarzy ten swój uśmieszek, nie sposób więc zrozumieć, czy mówi poważnie czy żartuje. W każdym razie zapytał mnie, czy sobie wyobrażam odkręcenie tego wszystkiego. Po tym, co się nawyrabiało. Jak po takim kurewstwie zacząć wszystko od nowa? A ja mu na to: „Człowieku, wszystko jest lepsze od śmierci. Wszystko”.

- Tak - mówię - oczywiście.

Kiwam głową i udaję, że słucham uważnie, ledwie jednak usłyszałem „zmienili jej kurs”, pomyślałem o Nico i od tej chwili głowę mam przepełnioną wspomnieniami o zaginionej siostrze, zupełnie jakby to były nie myśli, ale fala imigrantów zalewająca mi umysł. Nico ma cztery latka i spada z rowerka; ma sześć lat i stropiona przygląda się tłumom na pogrzebie; ma dziesięć lat i jest pijana, a ja ją zapewniam, że nigdy jej opuszczę. Helikopter opada, aby odebrać mnie z blokhauzu w Forcie Riley; Nico przytyka kłęb białej tkaniny do mojej zranionej ręki, zapewnia, że wszystko będzie dobrze.

- Hank?

- Tak? - Mrugam oczami.

- Nic ci nie jest?

W ciągu pięciu minut wyrzucam z siebie wszystko. Mówię o Jordanie, blondynce, komputerze, o śmigłowcu. Kiedy

Trisha zadaje mi pytania, staram się przywołać w pamięci szczegóły techniczne pomysłu z odpaleniem atomówki wystarczająco daleko od asteroidy, by ją spowolnić, lecz nie rozbić, o sekrecie naukowca gnijącego w rządowym więzieniu.

- Jezu kurwa Chryste - szepcze Trisha.

- Wiem. - Kawa mi wystygła. Wstaję, żeby dolać sobie świeżej.

- Skoro rząd za żadną cenę nie chce do tego dopuścić, czemu po prostu nie zabije tego naukowca?

- O, świetnie pytanie. Sam na to nie wpadłem.

- Posłuchaj, nie masz sobie nic do zarzucenia - mamrocze Trisha. - Nico i tak postąpiłaby wedle własnego widzimisie. Chciała jechać, to pojechała.

Spotkały się kilka razy na przestrzeni tych lat - na policyjnych imprezach, na posterunku, u mnie w domu raz czy dwa.

- Pojechała dokąd? - pyta Kelli w koszulce nocnej z motywem Śpiącej Królowny.

- Donikąd, kochanie.

Kelli trzyma się za rękę z bratem i właśnie otwiera spiżarnię, żeby wziąć sobie ciasteczko. W Police House panuje zasada, że dzieci mogą jeść, cokolwiek zapragną.

- Mógłbyś ją odszukać.

Nie zauważyliśmy pojawienia się Corteza. Stoi teraz w drzwiach z nienaturalnie poważną miną.

- A po co? - pyta Trisha, obrzucając go spojrzeniem.

Ci dwoje jeszcze nie przekonali się do siebie.

- W końcu to jego siostra - odpowiada jej Cortez. - Czy mogę się też poczęstować?

Kelli wręcza mu ciastko, Cortez je odpakuje, nie przestając mówić:

- Nico to rodzina. Wiele dla niego znaczy. Spójrz tylko. Wszystko jest inne. Asteroida uderzy w Ziemię za półtora miesiąca. Co będzie, jeśli Nico wpadnie w jakieś kłopoty? Jeśli będzie potrzebować pomocy?

Odgryzając kawałek ciastka, Cortez nie spuszcza ze mnie wzroku. Trisha także mi się przygląda, trzyma dłoń na moim przedramieniu. Ja wpatruję się w parę unoszącą się z kubka.

Tak, myślę sobie. Co będzie, jeśli...?

# PODZIĘKOWANIA

Niechaj je przyjmą:

doktor Timothy Spahr, dyrektor Minor Planet Center przy Harvard-Smithsonian Center for Astrophysics; funkcjonariusz Joseph Wright i pozostałe osoby z komendy policji w Concord w New Hampshire; Andrew Winters; moja rodzina w Quirk Books: Jason, Nicole, Eric, Doogie, Mary Ellen, Jane, Dave, Brett i - serio - wszyscy inni, którzy tam pracują; moja rodzina w domu: Diana, Rosalie, Ike i Milly; moja agentka Joelle Delbourgo; mądrzy ludzie: autor książek o biznesie i ekonomii Eduardo Porter; Mitch Renkow, profesor rolnictwa i ekonomii zasobów na North Carolina State University; Christopher Rudolf ze School of International Service na American University; Joe Loughmiller z Indiana American Water; doktor Zara Cooper; doktor Nora Osman, doktor Gerardo Gomez i jego koledzy z Wishard Hospital w Indianapolis; Dani Sher, asystentka medyczna, oraz jej koledzy z Mount Sinai Hospital w Chicago; podpułkownik Eric Stewart z Zielonych Beretów; ekipa ze Snipercraft Inc. w Sebring na Florydzie; Betaczytelnicy: Kevin Maher, Laura Gutin, Erik Jackson i szczególnie Nick Tamarkin, mój osobisty detektyw Culverson; koledzy, studenci i przyjaciele z Butler University w Indianapolis; koledzy, studenci i przyjaciele z Grub Street w Bostonie.

Szczególne podziękowania składam wszystkim, którzy zamieścili posty „WhatWouldYouDo” na TheLastPoliceman.com - nie przestawajcie nadsyłać kolejnych!

# Spis treści

## Męczyzna myślący o kobiecie

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.

## Długa droga

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.

## Znaki i szybolety

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.
- 5.

## Nie żyje, N. nie żyje, naprawdę nie żyje

- 1.

## Dziki kraj

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.
- 5.
- 6.



## 7. Epilog